# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Nr 9/131 1958




• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. CZAPSKI:
**NARODOWOŚĆ CZY WYŁĄCZNOŚĆ**

M. PANKOWSKI:
**KTO TY JESTEŚ ? POLAK MAŁY...**

B. CZAYKOWSKI i B. SULIK:
**POLACY W SZKOCJI**

# SPIS RZECZY



## ARCHIWUM POLITYCZNE



## K R A J



## SPRAWY I TROSKI



## NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI



## KRONIKA KULTURALNA



## K S I Ą Ż K I





# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1958

INSTYTUT  LITERACKI

# NOTA BIOGRAFICZNA

Stanisław Leonard ANDRZEJEWSKI, ur. w Częstochowie, wychowany w Poznaniu, gdzie rozpoczął studia uniwersyteckie. Po kampanii wrześniowej i kilkumiesięcznym pobycie pod okupacjami dostał się do Francji, a po jej upadku do Wielkiej Brytanii, gdzie służąc w wojsku polskim uzyskał dyplom uniwersytetu londyńskiego jako eksternista. Służył w dywizji Maczka do końca 1945 roku, po czym odkomenderowany na studia, otrzymał doktorat na Uniwersytecie londyńskim. Przez sześć lat wykładał socjologię na Rhodes University, Afryka Południowa, potem na uniwersytecie manczesterskim, a obecnie wykłada teorię organizacji przemysłowej na nowym Brunel College of Technology w Londynie. W międzyczasie spędził prawie rok w Hiszpanii studiując język, społeczeństwo i kulturę hiszpańską. Jest autorem szeregu artykułów w czasopismach angielskich i amerykańskich oraz książki „Military Organization and Society" (International Library of Sociology 1954). Wkrótce ukaże się jego książka na temat ogólnej teorii organizacji. Andrzejewski prowadzi seminarium socjologii teoretycznej i porównawczej w British Sociological Society.

◆

# DALSZE WPŁATY NA DOM „KULTURY"

| | |
|---|---|
| Mirosław Wierzbicki, Elmhurst, N.Y. (USA) ............... | 2.100 f |
| Władysław Szul, Bronxville, N.Y. (USA) ................. | 4.100 " |
| Bezimiennie, Pasadena, Cal. (USA) ........................ | 1.600 " |
| Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada) ................. | 4.200 " |

DZIĘKUJEMY

◆

# NA POMOC ŻYDOM-REPATRIANTOM ZE ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

Józef Bieniasz, Los Angeles, Cal. (USA) ................... 2.100 "

◆

# SPROSTOWANIE

*W numerze 129/130 „Kultury" w dziale „Najnowsza Historia Polski", w artykule Ludwika Honigwilla pt. „Polemiki" zostały z winy drukarni, w czasie druku, przestawione strony 187 i 188 za co przepraszamy autora i naszych czytelników.*

Imprimé en France.

# Narodowość czy wyłączność

„Tutaj kłamać to ochraniać społeczeństwo, mówić prawdę to rozwalać Państwo".
„Milczenie straszliwsze niż samo nieszczęście".

Custine, *Listy z Rosji*, 1839.

Może najbardziej uderza mnie przy spotkaniu z przyjezdnymi z Polski, to, że odnajduję w nich nie tylko te same co dawniej problemy, ale te same obsesje, nieuciszone, nierozwiązane, ale, jakby na odwrót, przez egzasperację spotęgowane. Wojna, okupacja niemiecka, piętnaście lat Polski ludowej, Październik, zdają się wówczas faktami względnie powierzchownymi.

Lata spędzone w warunkach tak różnych, które powinnyby między nami wykopać przepaść, jeżeli naprawdę byt, i tylko byt, określa świadomość, dają prędzej odkrycie trwania i to trwania nie tylko tego, co najbardziej istotne tak dla ludzi w kraju, jak i dla tych o których Mickiewicz pisał, że mają „geografię i politykę podeszwianą" bo „wydeptali nie mało krajów", ale trwania odruchów, urazów tego wszystkiego co nas zamyka, co stwarza tę „morale clause", odcinającą nas od wszystkiego co inne.



Pisałem w „Nieludzkiej Ziemi" o mojej rozmowie w 1919 roku ze Stasową, członkiem triumwiratu Siewiernoj Komuny, w jej pokoiku-celi w Smolnym w Piotrogrodzie.

Idąc do niej, w salach przez które przechodziłem by do niej dotrzeć, mijałem sterty broszur propagandowych, tyczących kołchozów.

,,Czy pani wierzy w propagandę sowiecką za kołchozami na wsi?'' — spytałem. Stasowa popatrzyła na mnie tak, jak człowiek wiary patrzy na biednego niedowiarka:

,,Byt określa świadomość, zmieniliśmy byt, *idieja nasażdajets'a,* niech pan wróci za dwadzieścia lat, wtedy pan zobaczy'' — odpowiedziała spokojnie.

To zdanie utkwiło mi wówczas w pamięci do tego stopnia, że gdy równe dwadzieścia lat później wywożono nas w głąb Rosji w bydlęcych wagonach patrzyłem łapczywie, prawie wierzyłem, że zobaczę na twarzach ludzi choć najlżejszy odblask nowej socjalistycznej ziemi i nowego nieba. Niewielu godzin było potrzeba, żeby odczytać prawdę na zgaszonych twarzach stacyjnych tłumów. Potem widziałem, poznałem chłopów w kołchozach. Pasja, marzenie posiadania, wydawało mi się w tych ludziach nadal tak samo trwałe, wkorzenione, jakby nawet wzmożone przez egzasperację. Proroctwo — pewnik ,,naukowy'' Stasowej, ,,sumienia rewolucji'', jak ją wówczas nazywano — okazał się złudnym marzeniem. Trwała, odwieczna namiętność posiadania.



Kiedy w obozie Starobielskim słuchałem wierszy Mickiewicza i nawet Or-Ota o Syberiach i zsyłkach, byłem wstrząśnięty nową dla mnie, a całkowicie identyczną, jak w chwili powstawania, ich aktualnością, ich siłą magiczną dzięki temu ustokrotnioną. Wtedy również wyczułem nie mijanie, a trwanie świata krzywd i urazów, które jeszcze parę lat wcześniej zdawały się nam przeszłością.



Dziś, podobnie, w rozmowach z niejednym przyjezdnym z kraju uderza mnie temperatura, siła *do egzasperacji* doprowadzonego urazu wobec Rosji.

Miłosz w swoim studium o Conradzie wykazuje jak jego stosunek do Rosji podobny był do przeciętnej opinii kresowego szlachcica z tamtych lat. Tak dla tego pisarza angielskiego, od dawna oderwanego od Polski, jak i dla sfery z której Conrad się wywodził, Rosja to świat okrutny i zły, to, jak pisał jeszcze ojciec Conrada, Apollo Korzeniowski, ,,hosudarstwo co rozsiadło się jak złodziej domowy na rządach europejskich''.

I tu znowu, po dwudziestu latach rozstania z krajem, zdaje mi się, że uraz antyrosyjski ma siłę większą niż nawet za czasów kiedy zesłania i doznane krzywdy żłobiły świat odczuć Conrada i formowały jego światopogląd. Na zapytanie o Rosję ileż razy słyszę odpowiedź odruchową: ,,nie wiem o niej *nic*'' Te same słowa, jakie Conrad — autor ,,W oczach Zachodu'' — który miał odrazę do Dostojewskiego (wyznał przecie kiedyś ,,że Dostojewski jest głęboki jak morze''), który dzieciństwo w Rosji

przeżył i tam na zesłaniu w Wołogdzie stracił matkę, napisał do Garnetta : ,,nie wiem o Rosji *nic*''. Kiedy słucham opowieści ludzi, którzy w Rosji czy przez Rosjan stracili najbliższych, kiedy oni swój sąd o Rosji wypowiadają, czuję jakby tu każdy z nich dotykał jakiejś granicy magicznej, której przekroczyć nie ma sił, czy nie jest w stanie, granicy poza którą jest spojrzenie na Rosję, wizja Rosji, bardziej złożona i bardziej sprawiedliwa. Ten stosunek przez pryzmat ,,łez swoich świętych i przeklętych'' odcina nas nie tylko od Rosji, ale od całego świata, który widzi Rosję albo w barwie równie uproszczonej, tylko że różowej, albo też pełną sprzeczności i nadziei, oczami Dostojewskiego.

Nasze spojrzenie na kraj, który jest i będzie naszym sąsiadem ,,bo nie jesteśmy otoczeni morzem jak półwysep italski'', ma naprzeciw siebie, musimy o tym pamiętać, spojrzenie na Polskę równie uproszczone i na pewno niemniej wrogie. ,,Kiczliwyj Lach'' Puszkina i różne Paliacziszki Dostojewskiego, genialne karykatury polskiej hipokryzji, pańskiej pychy i patetycznej frazeologii bez pokrycia, tak samo fałszują i niszczą prawdziwy obraz Polski w oczach milionów Rosjan.

Miłosz, cytując najbardziej antyrosyjskie wypowiedzi Custine'a, czy Marksa, twierdzi słusznie, że to co na Zachodzie zdawać się mogło i *było* odkrywcze — bo tak różne od przyjętej o Rosji opinii, w literaturze polskiej było banałem (Miłosz mówi ,,stereotypem''), że to spojrzenie na Rosję szło jeszcze od dawnej Rzeczypospolitej gdzie narastały między Polską a Rosją kompleksy ,,niższości-wyższości'' i że to wszystko nie przeszkadzało kresowemu szlachcicowi, który fizycznie i psychicznie był Conradowi bliski, mieć do Rosjan pewną skłonność; nie poszczególni Rosjanie byli przecie winni, ale typ cywilizacyjny, który wszystkich i każdego musi zdegradować.

Ten stereotyp znowu zdaje się panować w Polsce, zasilony nowymi i *jakimi* faktami, argumentami.

Ta wizja Rosji nieludzkiej, która niesie i nieść może tylko zagładę i zło, jakże mogła nie rozwinąć się i nie spopularyzować w Polsce, na Węgrzech i we wszystkich krajach, gdzie jej panowanie sięga. Dla dzisiejszego Polaka, Rosjanie to ci, którzy półtora miliona obywateli polskich wywieźli na wschód, skazując ich ogromny procent na zagładę, to oni wymordowali tysiące w Katyniu, to oni wywieźli podstępnie szesnastu i z bronią u nogi patrzyli na zagładę Warszawy, to oni kierowali bezpieką, która torturowała, to oni zdławili bohaterskie powstanie Węgrów sowieckimi czołgami, to oni *teraz* zgładzili Nagy'ego i jego towarzyszy, półtora roku po zdławieniu powstania. Więc nic, nic się nie zmieniło i zmienić się nie może, bo to zawsze ta sama Rosja, mieli rację i Mickiewicz w III-ej części ,,Dziadów'' i Conrad i Custine i Marks, który pisał, że Moskwa ukształtowała się ,,w szkole upodlenia, jaką było straszliwe jarzmo mongolskie, poprzez Piotra, który połączył z polityczną zręcznością mongol-

skiego niewolnika, dumne aspiracje władcy, któremu Dżingis Chan przekazał zadanie podboju świata''.

Więc znów jak nad szlachtą kresową XIX wieku, jak nad Conradem, panuje ta wizja Rosji z ,,Dziadów'', z ,,Przeglądu Wojska'' :

> ...*heroizm* (wiernego niewolnika), *śmierć taka*
> *jest psu zasługą, człowiekowi grzechem...*

Ale czy tkwi również w świadomości naszej ten inny aspekt Mickiewicza *przyjaciela Moskali?*

> ... *Wy czy mnie wspominacie? — Ja ilekroć marzę*
> *o mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach*
> *o was marzę...*

Każdy kto choć parę lat przeżył w Rosji, czytając ten wiersz podkłada podeń twarze *swoich* przyjaciół, swoje własne o Rosji i Rosjanach *piękne* wspomnienia.

Któż słyszy dzisiaj samotny głos Norwida, jego uwagi o Rosji zgubione, w przedwojennym dziś już nie do dostania, wydaniu jego listów. Ale właśnie Norwid, wróg ,,purytanizmu patriotycznego'' powstaje przeciw ocenom jednostronnym i mowa jego jest twarda dla każdego ulegającego stereotypowi, któremu nawet Conrad uległ, a któremu Norwid na tyle się nie poddał, że właśnie w latach 63-64 atakował nawet Mickiewicza — uważał, że nie jest on pisarzem narodowym, ale jedynie *wyłącznym.*

,,... Nieświadomość krytyczna w sferze myśli'' — pisał Norwid. — ,,W sferze prac ducha, toż samo przeto napotykać się da w historycznej rzeczywistości. Tak jak wyłączność Mickiewicza nazwali narodowością i nazywają z uniesieniem febrze podobnym, bo dyskusji nie znoszą, tak samo w rzeczywistości wezmą *wyłączność za narodowość.* Jak Duchiński im wyrżnie krzepko 'Moskal-Chińczyk' to będą uradowani, a jak kto ostrzeże, że dziś: *naród się składa nie tylko z ducha, który się różni z innymi, ale i z tego co łączy,* i że nie można wyciąć w pień na 20 mil kwadratowych koło Polski, aby w niej był narodowy poeta i narodowy historyk, to oni pluną na ciebie — aż tym sposobem *podniosą separatyzm nieprzyjaciela, jak to zrobili, i wściekłość wrogów, aż zręczne usunięcie przyjaciół spowodują. Każdy anachronizm zawsze te ma owoce!''.*

*,,Tylko wolni ludzie''* — pisze Norwid w innym liście — *,,tylko ci, co nie są od kolebki żelazem napiętnowani jako NIEWOLNICY, wiedzą o tem, że granicząc z Rosyją trzeba w niej mieć SWĄ PARTYĘ, inaczej albowiem spotykają się zawsze dwa MONOLITY, nic pośredniego nie mające, a skoro dwa monolity się zetrą ze sobą, zostaje nicestwo i trzaskanie się sił ostateczne''.*

Ale moje uwagi pesymistyczne o zamurowaniu naszym w polskiej ,,morale clause'', o niezdolności obiektywizacji naszych urazów są może również jednostronne.

Widziałem i znam niejednego Polaka reagującego na te sprawy bliżej Norwida niż ,,stereotypu'', znam ludzi męczonych, nawet torturowanych, którzy do Rosjan urazu nie zachowali, więcej, którzy opuszczając Rosję, żegnali ją ze łzami, bo od Rosjan równocześnie doznali tyle braterstwa, tyle współczucia, bo poznali takich, którzy to samo co oni cierpieli i tak samo jak oni z gwałtem próbowali walczyć. Czy jest takich Polaków wielu — nie wiem.

Ludzi o takim stosunku do Rosji spotykałem również wśród wyznawców rosyjskiej literatury. Wrogowie Rosji wszelkiej, carskiej, sowieckiej czy ,,republikanskiej'', nawet oni nie odmawiają wielkości i głębi literaturze rosyjskiej, tylko że próbują sądzić odrywając ją od rzeczywistości rosyjskiej, przekreślając te związki organiczne, a przecież koszmar rosyjski i geniusz rosyjski, okrucieństwo i miłosierdzie, najwyszukańsza, najbardziej europejska kultura i barbarzyństwo, to wszystko łączy się w jedną rzeczywistość i kto tę *całość* przekreśla, ten nawet będąc Conradem, myśli nie kategoriami rzeczywistości a fikcjami. Ta literatura rosyjska, której wszechludzkiego wkładu i wielkości nikt już chyba, poza W. A. Zbyszewskim, nie neguje, jest z tą rosyjską rzeczywistością związana. To prawda elementarna.

W ,,Dzienniku'' Tołstoja z 1903 roku jest brulion opowiadania ,,Boskie i ludzkie''; ten brulion właśnie zdawał mi się wzorem surowej i pełnej prozy, ,,bezbłędnej wierności prawdzie'', jak powiedzieć miał o Tołstoju Pasternak. Na pięciu zaledwie stronach Tołstoj daje obraz skazanego na powieszenie wroga wszelkiego gwałtu, młodego Swietłoguba, służbisty generała, który go na śmierć skazuje, matki skazanego, terrorysty, który marzy o wymordowaniu tysięcy ludzi i chłopa-sekciarza, który latami tkwi w więzieniach za to, że szuka prawdy. Cały świat rosyjski wieczny, bo konflikty tego opowiadania są wieczne: religia, wolność, gwałt, fanatyzm wiary, miłość i poświęcenie. W pełnym moskiewskim wydaniu Tołstoja znajduję opis jak to opowiadanie powstało. Cóż za absolutna, zaledwie przetransponowana wierność rzeczywistości. Bohater opowiadania, Swietłogub, to powieszony w Odessie, w latach siedemdziesiątych, Lizogub, syn rosyjskiego ziemianina i chyba Polki, bo Dunin-Borkowskiej. Tkanka tego opowiadania jest tak wrośnięta w rosyjską rzeczywistość, że jej w żaden sposób oddzielić nie można. To jeden z miliona przykładów tego stopu literatury i rzeczywistości do zacytowania.



Czy wizja Rosji, wyłącznie okrutnej i zbrodniczej, która chyba nigdzie nie była tak generalnie uznawana jak w krajach przez Rosję czy Związek Sowiecki wchłoniętych czy sobie

podporządkowanych, może dziwić Rosjan, choćby tych najlepszych, którzy nad dzisiejszym stanem rzeczy cierpią niemniej okrutnie? Przepaść wykopana między Rosją, a tymi krajami ujarzmionymi, myślę tu szczególnie o Polsce i o Węgrzech, jest na tyle głęboka, że rozbicie, przełamanie tego wzmożonego, ustokrotnionego stereotypu, w Polsce na przykład, wydawałoby się wręcz niemożliwe gdyby nie jedna myśl, jedna prawda bardziej niż kiedykolwiek oczywista, że wolność jest jedna i że terror dławiący wszystkich jest jeden. Wyjście robotników na ulice Berlina, wypadki poznańskie, Październik, powstanie węgierskie, zacięte, zaciekłe walki wewnętrzne partyj komunistycznych wszystkich krajów po przemówieniu Chruszczowa na XX zjeździe — partyj „monolitycznych" jedynie w mowach ich przywódców — wszystko to zdaje się gestami tragicznymi, beznadziejnymi jeżeli Rosja się do tej walki nie włączy, jeżeli nie tylko polscy, niemieccy czy węgierscy robotnicy, intelektualiści czy chłopi gotowi są walczyć za te stare, zdarte, tyle razy zafałszowane i nadużywane, a przecież jedyne hasło wolności. Zasłona „milczenia straszliwszego niż nieszczęście" pokrywa Rosję, jeszcze bardziej niż sto dwadzieścia lat temu kiedy Custine pisał te słowa. Ale *wiemy* o buncie w Workucie, *wiemy* o fermentach na uniwersytetach, w Wuzach, *wiemy* o nastrojach skrajnie antysowieckich wśród młodzieży najmłodszej, której świadomość polityczna kształtowała się w okresie XX Zjazdu. Wszędzie gdzie tylko na najwęższym chociaż odcinku ukazuje się wolność myśli, ta wolność rodzi wolność. Dlatego też spojrzenie na Rosję jako jedynie na kraj, który ma „jeden fanatyzm-posłuszeństwo", jest spojrzeniem przez swoją jednostronność fałszywym.

Tołstoj opisuje w *Zmartwychwstaniu* młodą trawę, która z wiosną próbuje rosnąć nawet wśród kamieni więziennych. Bez tej nadziei, że i w Rosji nie wygasła wola walki, że i tam można zdobyć życie bardziej wolne, dla którego tyle pokoleń Rosjan ginęło, wszystkie próby liberalizacji, wszystkie próby rewizjonistyczne w krajach przez Rosję ujarzmionych, zdają się gestami rozpaczy tonących.

Tylko wtedy ludzie, którzy Rosję znają nie jedynie jako szkołę upodlenia, ale także jako świat walki i miłości człowieka, tylko wtedy ci przyjaciele Moskali mogą głos podnieść i walczyć z tym obrazem Rosji, wyłącznie okrutnej i wyłącznie nieludzkiej. Jeżeli potrafi się stworzyć na nowo instynkt *zatraconej solidarności* z tą Rosją inną, która nigdy istnieć nie przestała, tylko wtedy marzyć możemy o przyszłości, która nie będzie, jak pisze Norwid, „starciem dwóch monolitów, nicestwem i strzaskaniem sił ostatecznym".

*Józef CZAPSKI*

# Powrót Francji ?

*„Mon Dieu, mon Dieu, qu'est-ce qu'il y a donc? De tous temps, hélas! dans tous les temps on s'est perdu, mais depuis quarante ans, hélas! on ne fait plus que cela, on ne fait plus que de se perdre".*

Charles Péguy, 1912.

*„Les affaires de la France sont difficiles. Mais, hier, elles semblaient insolubles. Aujourd'hui, non! N'est-ce pas un progrès?".*

Charles de Gaule, w czerwcu 1958.

I

Ustrój upada, gdy przestaje odpowiadać potrzebom, wytworzonym przez ewolucję narodu, lub narzuconym przez warunki obiektywne, z którymi naród musi się liczyć, aby zachować swoje możliwości rozwojowe. Im później odbywa się reforma ustroju, który przestał odpowiadać potrzebom, im bardziej okazuje się on niezdolny do samoreformy, tym dramatyczniejsze są z reguły okoliczności, towarzyszące jego zamianie.

Czwarta Republika okazała się niezdolna do zreformowania swego ustroju zwykłymi środkami parlamentarnymi, gdyż dystans, który się wytworzył pomiędzy rzeczywistością legalną a potrzebami nowej epoki, nie mógł być przekroczony bez daleko idących poświęceń ze strony elity politycznej, do czego nie było ochoty. Teoretycznie potrzeba reformy państwa i to w duchu wzmocnienia egzekutywy uznawana była przez wszystkich, od skrajnej prawicy do socjalistów. Po upływie przeszło dwuch miesięcy od objęcia władzy przez generała de Gaulle nie odezwał się ani jeden głos w obronie dawnego systemu. W decydujących chwilach został on opuszczony przez wszystkich, przez wojsko i administrację, przy akompaniamencie obojętności mas na jego

losy. Temu ostatniemu i rozstrzygającemu zjawisku przypisać należy niepozbawioną melancholii, ale i ukrytej intencji, wypowiedź Duclos, faktycznego przywódcy partii komunistycznej, że w razie obalenia, lub ustąpienia de Gaulle'a nie może już być mowy o powrocie do starego systemu.

Rządy Zgromadzenia, cechujące system polityczny Czwartej Republiki, mogły być do pomyślenia w okresie rozwoju kapitalizmu, opartego na wolnej grze interesów, kiedy tempo przemian w technice i zmiany w układzie stosunków międzynarodowych odbywały się powolnie, pozwalając na dostosowanie się do nich po fakcie. Ustrój liberalno-parlamentarny miał w historii Francji swój okres wielkości w końcu XIX w. Przedłużony po pierwszej wojnie światowej, zaczął podważać pozycję Francji, jako wielkiego mocarstwa, zmniejszając jej siły moralne i materialne, głównie wskutek towarzyszącemu mu maltuzjanizmowi biologicznemu i gospodarczemu. Po drugiej wojnie światowej, wobec przemian w układzie stosunków międzynarodowych, wobec dokonywującej się w zawrotnym tempie rewolucji technicznej, wobec ewolucji narodu francuskiego, system rządów Zgromadzenia w państwie, którego los zależy od utrzymania się na obszarze jego dawnego zasięgu kolonizacyjnego, okazał się paraliżującym anachronizmem.

## II

Przede wszystkim naród francuski przestał być tym, czym był w okresie między dwiema wojnami, zjawisko maltuzjanizmu należy do przeszłości, sama tylko ewolucja wewnętrzna spowodowała nacisk nie do wytrzymania na krępujące ją ramy systemu.

Osobiście podzielam opinię tych polityków i socjologów, którzy dopatrują się zdolności rozwojowych narodu w jego dynamice demograficznej. Dekadencji Francji, jako wielkiego mocarstwa, towarzyszył, między dwiema wojnami, zanik przyrostu naturalnego i starzenie się narodu francuskiego. Błędnie tłumaczono to zjawisko stratami, poniesionymi przez Francję w pierwszej wojnie światowej, gdyż proporcjonalnie zbliżone straty nie zahamowały na długo przyrostu naturalnego Niemiec. Rozstrzygającą zresztą odpowiedź dają statystyki urodzeń w małżeństwach, dostarczając najniższych cyfr w ciągu wielu lat dla Francji (obok Szwecji). Istotną przyczyną był konserwatyzm polityczny i gospodarczy, dążenie do utrzymania dobrobytu materialnego przez zachowanie bogactw, dawniej nabytych, a nie przez stwarzanie nowych.

Jesteśmy dzisiaj świadkami fenomenalnego zjawiska, jakim jest odmładzanie się narodu francuskiego. W tym starym i do niedawna starzejącym się narodzie, o którym zbyt pochopnie wyrokowano, że zakończył swoją rolę historyczną, przyrost ludności po zakończeniu wojny i po powrocie jeńców utrzymuje się

na najwyższym poziomie spośród wszystkich narodów europejskich poza orbitą sowiecką. Mniejsza o to, czy jest to zjawisko spontaniczne, spowodowane normalną reakcją organizmu na grożące mu niebezpieczeństwo zamarcia, czy skutek rozbudowanego, jak nigdzie na świecie, systemu opieki i ubezpieczeń społecznych. W tym drugim wypadku mielibyśmy dowód, że odpowiednią polityką społeczną można wywołać wzrost urodzeń, a to nie byłoby bez znaczenia.

Faktem jest, że przy 2,35 jednostek urodzeń na małżeństwo 45% ludności stanowią obecnie dzieci do 15-go roku życia. W ciągu trzynastu lat ludność Francji z 40 milionów w roku 1945 wzrosła do przeszło 44 milionów, a w roku 1975 wynosić powinna 48 milionów. Stosunek do Niemiec Zachodnich, kształtujący się dzisiaj, jak 44 do 50, wyniesie w 1975 48 do 52,5, powodując wyraźne zmniejszenie się rozpiętości liczbowej. W roku 1961 zaczną wchodzić w życie pierwsze roczniki powojenne, o 150 tysięcy jednostek liczniejsze od roczników obecnych, liczących 500 do 550 tysięcy.

Dynamika demograficzna Francji powojennej wystarcza sama, aby pobudzić aktywność gospodarczą, stwarzając problemy, których żadne państwo nowoczesne, o ludności przyzwyczajonej do życia na wysokiej stopie materialnej, nie może nie zaspokoić. Konieczność zwiększenia dochodów rodzin, budowa mieszkań i szkół, zwiększenie kadr nauczania na wszystkich szczeblach, a wreszcie — konieczność stwarzania, poczynając od 1961 roku, 150.000 nowych zajęć rocznie — oto najpilniejsze imperatywy. Rozstanie się z maltuzjanizmem biologicznym powoduje automatycznie porzucenie maltuzjanizmu gospodarczego. Zachowanie dawniej nabytych dóbr nie rozwiązuje już problemu, narzuca się konieczność zdobycia nowych dóbr.

## III

Francuski organizm gospodarczy, znalazłszy się pod naciskiem demograficznym z jednej strony, a wobec perspektyw, związanych z utworzeniem Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (C.E.C.A.), oraz z zamierzonym na 1959 rok otwarciem Wspólnego Rynku Europejskiego, z drugiej strony, uległ z kolei odrodzeniu, którego dynamika przewyższyła w ostatnich latach osiągnięcia innych krajów zachodnio-europejskich, a w skali światowej — jeżeli wyłączyć obszar sowiecki — ustępowała tylko i to nie wiele, szybkości rozwoju gospodarczego Japonii.

Połączone wysiłki: inspiratorski ze strony utworzonego przez de Gaulle'a przed odejściem od władzy w roku 1946 Komisariatu Planu Modernizacji i Wyekwipowania, oraz realizatorski ze strony poszczególnych ministrów finansów i ze strony sfer gospodarczych, zagrożonych konkurencją w miarę zbliżania się europeizacji poszczególnych dziedzin gospodarki, spowodowały najpierw proces wytężonej modernizacji, a od roku 1952

równie wytężonej ekspansji. Od roku 1954 rozwój gospodarczy odbywa się jednocześnie pod znakiem modernizacji i ekspansji.

Nie tutaj miejsce na analizę rozwoju gospodarki francuskiej po wojnie światowej. Dla rozwinięcia idei przewodniej tego artykułu wystarczy zanotowanie osiągniętych wyników i otwartych perspektyw, pozwalające na udowodnienie związku pomiędzy koniecznościami gospodarczymi i ustrojem państwa.

W wyniku wojny 90 procent wyposażenia przemysłowego uległo zniszczeniu, wywiezieniu przez okupanta, lub przestarzeniu na skutek przymusowej nieobecności Francji w postępie technicznym, cechującym gospodarkę narodów, zaangażowanych suwerennie w produkcję wojenną. W roku 1946 Francja produkowała o 33% mniej, niż w roku 1938, kiedy produkowała o 14% mniej ,niż w roku 1929. Spadek w porównaniu z ostatnią z tych dat wynosił prawie połowę.

W roku 1957 Francja podwoiła swoją produkcję w porównaniu z najlepszym wynikiem rocznym przed wojną.

Wskaźnik rozwoju produkcji utrzymuje się od roku 1954 na poziomie koło 10, przewyższając wskaźnik rozwoju produkcji niemieckiej, uchodzącej w pierwszych latach powojennych za najbardziej dynamiczną.

Jest rzeczą godną zanotowania, że Francja, w przeciwieństwie do Anglii, Niemiec, a nawet Włoch, najpóźniej zaczęła odczuwać skutki recesji amerykańskiej i dopiero w ostatnich miesiącach została zmuszona do pewnego zmniejszenia tempa rozwoju produkcji przemysłowej zbliżając się do wskaźnika 7.

Należący przed wojną do najbardziej przestarzałych na świecie, francuski park maszynowy jest jeszcze daleki od całkowitej modernizacji, ale posiada już 38% maszyn poniżej dziesięciu lat wobec 50% w Niemczech Zachodnich, a 62% w Stanach Zjednoczonych.

Wydobycie rudy żelaznej wzrosło z 15 milionów ton w roku 1946 na 50 milionów ton w roku 1956, wynosząc 61% ogólnej produkcji sześciu krajów C.E.C.A.

Przy wzroście produkcji węgla w porównaniu z 1938 rokiem o 20%, a energii hydraulicznej o 160%, niedobór energetyczny, pokrywany importem, wynosi jeszcze 38%, stanowiąc główną przyczynę deficytu bilansu handlowego.

W podstawowym przemyśle stalowym Francja osiągnęła więcej, niż podwojenie produkcji, przechodząc z 7 milionów ton w roku 1938 na 14,2 milionów ton w roku 1957 (bez Saary) i zajmując piąte miejsce wśród światowych producentów stali, po Stanach Zjednoczonych, Związku Sowieckim, Niemczech Zachodnich i Anglii. Stosunek do produkcji zachodnio-niemieckiej zmienił się z 7 do 16 przed wojną na 14,2 do 24 w roku 1957. Ulegnie on poprawie na korzyść Niemiec po przejściu Saary z jej dwoma milionami ton z orbity francuskiej do niemieckiej, ale produkcja Francji osiągnie, w wykonaniu realizowanego obecnie trzeciego planu modernizacji, 18,5 miliona ton w roku 1961, gdy połączona produkcja Niemiec i Saary wynosić bę-

dzie około 28 milionów ton. I w tej dziedzinie zatem dysproporcja w porównaniu z okresem przedwojennym uległa zmniejszeniu o połowę.

Francuski przemysł samochodowy ze swoimi czterema milionami samochodów prywatnych zajmuje czwarte z kolei miejsce na świecie po Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Anglii, ale z wyraźnym postępem, gdyż wskaźnik produkcji trzech głównych wytwórców europejskich usytuował się w roku 1956 w porównaniu z 1937 na: Niemcy — 414, Francja — 350, Anglia — 187.

Prawie we wszystkich dziedzinach wytwórczości przemysłowej Francja pozostaje w tyle za Ameryką, Rosją, Niemcami i Anglią, ale dystans, dzielący ją od tych dwuch ostatnich kurczy się stosunkowo szybko. Zachodzą przy tym zjawiska, na pozór paradoksalne, które upoważniają do postawienia tezy, że możliwości rozwojowych przemysłu francuskiego nie należy mierzyć wyłącznie wynikami produkcji, należącej zresztą do najbardziej dynamicznych na świecie.

Będąc wprawdzie piątym z kolei wytwórcą światowym, francuski przemysł stalowy posiada najnowocześniejsze w Europie walcownie blach cienkich o największych na świecie możliwościach wymiarowych.

Francja cierpi wprawdzie jeszcze na niedobór energetyczny, ale posiada dwie centrale wodne, Genissiat i Donzer-Mondragon, należące do najpotężniejszych w Europie, a kilka innych w budowie.

Francuski przemysł telekomunikacyjny i elektroniczny należy do najnowocześniejszych na świecie i w niektórych dziedzinach bije rekordy światowe. Radary francuskie w zastosowaniu do kontroli lotnisk są w użyciu w wielu krajach świata, między innymi w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

Dwa największe na świecie piece do produkcji cementu, jeden dla Belgii, drugi dla Rosji Sowieckiej, zostały wybudowane przez przemysł francuski.

Turbiny o wielkiej mocy, wytwarzane przez zakłady Neyrpic w Grenobli, należą do najbardziej poszukiwanych na świecie.

Koleje francuskie, które biją od szeregu lat wszystkie rekordy światowe w zakresie szybkości i regularności, dzielą się swoimi doświadczeniami z wielu krajami, oraz uczestniczą w budowie, lub w modernizacji sieci kolejowych na wszystkich kontyngentach, a francuskie lokomotywy o napędzie elektrycznym zdobyły sobie reputację światową.

Przedsiębiorstwa francuskie budują lub modernizują drogi, mosty, porty, centrale elektryczne, wodne i termiczne; cukrownie, cementownie, fabryki chemiczne w przeszło trzydziestu krajach pięciu kontynentów, a od zakończenia wojny objęły swoją działalnością 54 kraje.

Francja buduje dla siebie i dla innych najnowocześniejsze, a często największe rafinerie nafty.

W Peru i w Kolumbii konstruktorzy francuscy wybudowali, przy udziale kapitałowym przemysłu francuskiego, duże kompleksy stalowe, położone najwyżej na świecie, bo na poziomie przeszło 2.000 metrów, pokonywując nieprawdopodobne trudności techniczne i klimatyczne.

Francuski przemysł samolotowy, pracujący przy coraz bardziej ograniczonych kredytach, należy do przodujących w zakresie produkcji myśliwców i transportowców, bijąc światowe rekordy w niektórych dziedzinach współzawodnictwa. Air France bije rekord światowy długości sieci lotniczej.

Pomimo skromnych środków, w oparciu o własną rudę uranową, Francja zaangażowała się śmiało w produkcji energii atomowej dla celów pokojowych, budując potężne baterie, jedną pod Paryżem, dwie w Mercoule, na południu. Pierwsza w Europie atomowa łódź podwodna jest w budowie w jednej ze stoczni bretońskich. W ciągu tego roku przewidywany jest wybuch pierwszej, francuskiej bomby atomowej w bazie Colomb-Bechar, w zachodniej części Sahary, mający otworzyć Francji dostęp do klubu nuklearnego.

Odkrycie źródeł ropy naftowej w metropolii (w okolicach Parentis i koło Meaux), oraz źródeł gazu ziemnego w miejscowości Lacq, w południowo-zachodniej części Francji, zwiększyło w wysokim stopniu możliwości produkcji energii, ale wydarzeniem prawdziwie rewolucyjnym było odkrycie i rozpoczęcie eksploatacji olbrzymich złóż ropy na Saharze.

Prowadzone z iście pionierskim rozpędem prace eksploracyjne na obszarze francuskiej Afryki Północnej, Zachodniej i Równikowej zostały uwieńczone odkryciem bogatych złóż rudy żelaznej, cynku, ołowiu, miedzi, niklu, boksytu, grafitu i manganezu.

Francuski przemysł chemiczny, ustępujący jeszcze, gdy chodzi o produkcję globalną, swym konkurentom : niemieckiemu i angielskiemu, przebił się na jedno z pierwszych miejsc na świecie, jeśli chodzi o wydoskonalenie techniczne i zmysł odkrywczy. Zakłady Rhône-Poulenc i Rhodiaceta zajmują czołowe miejsce w produkcji plastyku i sztucznej fibry tekstylnej a wspólnie z Pechiney, St. Gobain, Kuhlman'em i Ugine są dostawcami licznych patentów i licencji dla kilkudziesięciu krajów świata.

Aby ten olbrzymi potencjał możliwości wykorzystać i w pełni rozwinąć, Francja musi kontynuować i ciągle powiększać swój wysiłek inwestycyjny, wymagający finansowania.

Jeżeli chodzi o wytwórczość intratną, przedsiębiorstwa francuskie oparły swoją ekspansję na samofinansowaniu i na apelu do oszczędności prywatnej, poprzez ogłaszanie pożyczek. Udział państwa w wydatkach inwestycyjnych, zarówno natychmiastowo intratnych, jak obliczonych na dalszą przyszłość, na ogół znaczny, utrzymuje się na poziomie około 20%. Zwiększenie finansowania wydatków inwestycyjnych hamują ograniczenia kredytowe, wynikające z trudności państwa.

Chroniczny deficyt budżetowy przekracza zazwyczaj przewidywania i utrzymuje się w ostatnich latach na poziomie około 20%, zmuszając administrację do odwoływania się do awansów Banku Francji, drenując w ten sposób możliwości kredytowe, niezbędne dla przyspieszenia rytmu ekspansji gospodarczej.

Ani jeden z rządów nie zdobył się do tej pory na przeprowadzenie radykalnych ograniczeń budżetu państwowego, pomimo, że nie było takiego, który by sobie z tej konieczności nie zdawał sprawy. Było dobrze, jeżeli niektórzy premierzy i ministrowie finansów mieli dosyć energii , aby się oprzeć uchwaleniu przez parlament nowych wydatków, na które nie było pokrycia. Wysiłek kolejnych delegacji parlamentarnych, nazywanych eufemicznie rządem, ograniczał się do obrony, niezawsze skutecznej, tak zwanego impasu budżetowego. Dzięki usprawnieniu aparatu podatkowego dochody państwa stale wzrastały, pochłaniając w 1952 roku 16,2% dochodu narodowego, a w roku 1957 aż 18,1%. Wspólnie z chronicznym deficytem pozwoliło to podnieść wydatki publiczne z 3.600 miliardów w 1952 roku na 5.087 miliardów w roku 1957, ale jednocześnie wydatki inwestycyjne spadły na 19%, hamując, między innymi rozwój przemysłu lotniczego, ograniczając naturalne możliwości powiększenia produkcji energii, odkładając ad calendas graecas modernizację dróg, budowę autostrad i kanałów, czyli usprawnienie i rozwój transportu.

Przy całej dynamice rozwojowej przedsiębiorstw przemysłowych i rolnych, zapewniających intratność, uległy katastrofalnemu zaniedbaniu dwie dziedziny, nie mogące interesować kapitału prywatnego, jako niedochodowe i które powinny były w decydującej mierze korzystać z finansowania przez państwo (*). Mam na myśli budownictwo mieszkaniowe i badania naukowe.

Pośród piętnastu krajów Europejskiej Organizacji Współpracy Gospodarczej (O.E.C.E.) Francja zajmowała w roku 1954 dwunaste miejsce, gdy chodzi o budownictwo mieszkaniowe, ze średnią roczną za okres lat : 1950-1954 — 102.000 mieszkań, wobec 260.000 w Wielkiej Brytanii i 380.000 w Niemczech. Wprawdzie od roku 1954 tempo budowy mieszkań znacznie wzrosło, ale Francja posunęła się w tym zespole zaledwie z dwunastego miejsca na dziewiąte. W roku 1957 w mieszkaniach, uznanych za krytycznie przepełnione, mieszkało 1.460.000 rodzin, czyli ponad 5 milionów osób. Za objaw krytycznego przepełnienia przyjęto trzy osoby, lub więcej, na izbę. W tym bogatym kraju 30% rodzin mieszka w mieszkaniach bez wody bieżącej, 46% bez W.C. w mieszkaniu, a zaledwie 14% posiada wannę lub prysznic.

---

(*) Mowa o kapitale przeznaczonym na spekulację. Przemysł francuski budował i buduje ciągle osiedla robotnicze, a nawet pracownie i Instytuty Badawcze.

Jedną z pierwszych decyzji de Gaulle'a było udzielenie specjalnych pełnomocnictw ministrowi budownictwa i wydatne zwiększenie pozycji na ten cel w budżecie państwa.

Jeżeli chodzi o badania naukowe, wystarczy wskazać na jedną tylko pozycję, produkcji inżynierów, aby sobie zdać sprawę z rozmiarów zaniedbania.

Francja potrzebuje w okresie trzeciego planu modernizacji, w latach: 1956-1961 około 51.000 inżynierów, a szkoły wyższe wypuszczają zaledwie 4.000 dyplomantów rocznie, czyli połowę zapotrzebowania aktualnego, które wzrośnie w latach: 1961-1966 do 12.000 rocznie. Jeszcze jeden hamulec dla badań naukowych i ekspansji gospodarczej, którego usunięcie zależy w decydującej mierze od państwa i jego polityki budżetowej.

## IV

W ciągu pierwszej połowy 1958 roku Francja prawie nie znała objawów recesyjnych, panujących od połowy 1957 roku w otaczającym ją świecie. Pomimo to zarówno ekspansja przemysłowa, jak modernizacja rolnictwa, znalazły się u progu katastrofy, częściowo wskutek rozpędu rozwojowego wszystkich gałęzi działalności gospodarczej na raz, wynikającego z braku koordynacji i ustalenia hierarchii potrzeb, a w głównej mierze na skutek chronicznego braku równowagi pomiędzy eksportem i importem, powodującego deficyt dewizowy.

Deficyt handlu zagranicznego, wynoszący w roku 1954 — 145 miliardów franków, a w roku następnym 82 miliardy, rósł w tempie błyskawicznym, osiągając cyfrę 413 miliardów w roku 1956 i 500 miliardów w roku 1957. Rezerwy złota w Banku Francji spadły z 300 miliardów w roku 1956 do 200 miliardów w lecie 1957, z 765 ton na 511. Rezerwy dewizowe, wynoszące w roku 1955 jeszcze 300 miliardów franków (857 milionów dolarów) spadły w listopadzie 1957 roku do zera. Francja musiała zaapelować o pomoc do Stanów Zjednoczonych, Europejskiej Organizacji Współpracy Gospodarczej (O.E.C.E.) i Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, uzyskując z tych źródeł około 600 milionów dolarów. Po chwilowym zmniejszaniu, deficyt handlu zagranicznego zaczął w roku 1958 wzrastać na nowo osiągając w maju rekordową wysokość.

Francja stanęła w końcu pierwszej połowy tego roku w sytuacji, która groziła, w razie nieuniknionego, zdawało się, wyczerpania dewiz, wstrzymaniem ,a przynajmniej bardzo poważnym ograniczeniem importu surowców i energii, co musiałoby pociągnąć za sobą zahamowanie ekspansji, zmniejszenie produkcji dóbr eksportowych i bezrobocie. Środki zaradcze, które rząd próbował stosować, były nieśmiałe i sięgały za płytko. System zachęt i różnego rodzaju premii eksportowych nie skutkował wobec wyższych cen na rynku wewnętrznym i jego utrzymują-

cej się, a nawet wzrastającej pojemności. Zarządzenia, ograniczające spożycie, sięgały za płytko i były zbyt ogólne, uderzając jednocześnie w działy gospodarki, produkujące nadwyżki eksportowe, a więc przynoszące dewizy. Ograniczenie kredytu i podwyżka stopy procentowej powodowały ograniczenie inwestycji, nie wywierając wielkiego wpływu na spożycie wewnętrzne w kraju, którego ludność, na skutek wadliwej polityki fiskalnej, przyzwyczaiła się ukrywać dochody i tezauryzować dolary i złoto (Rezerwy złota tezauryzowanego są oceniane na 3 do 4 tysięcy ton, czyli około 3,5 miliardów dolarów, stawiając Francję na trzecim miejscu, po USA i Sowietach, jako posiadacza złota). Niebezpieczeństwo chaosu inflacyjnego zawisło nad krajem o najbardziej dynamicznej ekspansji gospodarczej, która dopiero w drugim kwartale tego roku zaczęła odczuwać pierwsze skutki recesji światowej i zwalniać, w pewnych przynajmniej gałęziach wytwórczości, tempo trwającego od przeszło czterech lat rozpędu. Dopiero rząd Gaillarda opracował, a rząd Pflimlina zamierzał wprowadzić w życie ograniczenie importu o 100 miliardów franków (238 milionów dolarów) w drugiej połowie 1958 roku, starając się rozplanować ten zabieg w taki sposób, aby oszczędzić gałęzie wytwórczości, pracujące także na eksport. Na podstawie doświadczeń ostatnich dwunastu lat nie można mieć żadnej pewności, czy takie rozplanowanie utrzymałoby się w praktyce.

## V

Kraj, należący do przodujących w zakresie ekspansji gospodarczej, kraj o nieoczekiwanej dynamice demograficznej, był jednocześnie uwikłany w permanentną wojnę. Trwająca do 1955 roku wojna w Indochinach kosztowała Francję więcej, niż pomoc z planu Marshala. Wojna w Algerze pochłania blisko 10 procent budżetu państwa.

Jeżeli, mimo takich obciążeń, bilans gospodarczy i demograficzny ukształtował się tak bardzo dodatnio, świadczy to jednocześnie o niezwykłej żywotności narodu i niedołężnej, albo raczej nieistniejącej polityce.

Deklaracja de Gaulle'a, ogłoszona w czasie wojny w Brazzaville, wynikała ze zrozumienia kierunku przemian, zachodzących wśród narodów skolonizowanych i sprawiała wrażenie zapowiedzi polityki liberalnej, uwzględniającej ewolucję poszczególnych części francuskiego imperium zamorskiego. Przy rządach Zgromadzenia poszła w zapomnienie. Nie znaczy to wcale, aby w parlamencie i w zespołach ministerialnych, lub na ich czele nie było ludzi, oceniających trzeźwo rzeczywistość i zdolnych do opracowania koncepcji politycznych. Znaczy to tylko, że Zgromadzenie bez większości, heterokliczne, było sceną, na której ścierały się, równoważyły i wzajemnie niwelowały koncepcje sprzeczne, powodując w rezultacie niezdolność do powzięcia jakiejkolwiek de-

cyzji. Nacisk wypadków doprowadzał do rozwiązań spóźnionych,
które zostawały martwą literą. Kolejne gabinety, zmuszone do
kompromisów pomiędzy instynktem zachowawczym i myślą libe-
ralną, nie mogły się zdobyć ani na wyciągnięcie wniosków
z przemian, zaszłych na zrewoltowanych obszarach, ani na pro-
wadzenie wojny w prawdziwym tego słowa znaczeniu, wyma-
gającej mobilizacji wszystkich sił narodu. Francja straciła Indo-
chiny wskutek połowicznie zastosowanych środków, zarówno po-
litycznych jak wojskowych. Dien-Bien-Phu był klęską drobnej
części armii francuskiej, postawionej wobec niewykonalnego za-
dania. Wydarzenie to wstrząsnęło francuskimi siłami zbrojnymi,
jak żadne inne i stało się przyczyną głębokich przemian w psy-
chice żołnierza i oficera. Rozpoczął się proces wewnętrzny, któ-
ry, poprzez etap suezki doprowadził do kryzysu w Algerze.

Bo oto wśród odrodzeniowych zjawisk francuskich odbywa-
ła się także, mało widoczna dla ogółu przemiana w organizmie
,,wielkiej niemowy''. Nowe wojsko francuskie wychowało się
nie w koszarach i nie w doktrynie defensywnej, jak w okresie lat
1918-1940, ale na polach bitew i potyczek, w klimacie zasadzek,
w warunkach, które wytworzyły konieczność ciągłej czujności,
pogotowia, błyskawicznych decyzji. Warunki wojny w Indo-
chinach i w Algerze wymagały osobistego męstwa, inicjatywy
i sprawności technicznej na wszystkich szczeblach: od szere-
gowca do generała. Wojsko francuskie walczy od dziesięciu la
i zdobyło świadomość swej wartości i dobrze spełnionego obo-
wiązku. Korpus oficerski tracił rocznie, w kampanii indochiń-
skiej, równowartość liczbową jednej promocji francuskich szkó
wojskowych. W kampanii suezkiej oddziały francuskie, zwłasz-
cza spadochronowe, dały dowód wyższości technicznej nad an-
gielskim korpusem ekspedycyjnym, co zostało oficjalnie stwier-
dzone przez sfery wojskowe w Anglii. Rozkaz załadowania na
statki na 24 godziny przed osiągnięciem celów został odczuty
jako upokorzenie.

Francuski oficer i żołnierz znalazł się w Algerze w nowym
potrzasku. Nie mając możliwości osiągnięcia wojskowego zwy-
cięstwa nad nieuchwytnym przeciwnikiem, zdaje sobie jedno-
cześnie sprawę z tego, że nie może przegrać tej wojny wojsko-
wo. Stąd niechęć do rządów, nie umiejących znaleźć rozwiązania
politycznego, a następnie — poszukiwanie tego rozwiązania na
własną rękę i rozbrat z systemem politycznym państwa.

Wojsko francuskie wyniosło z kampanii indochińskiej nie
tylko doświadczenie bojowe, ale i polityczne. Poznało problem
ludności bliżej i głębiej, niż władze cywilne, a zwłaszcza — od-
ległe władze centralne. Wzorując się na komunistycznym syste-
mie przenikania do ludności Indochin i tworzenia wśród niej kad
przywódców wojskowych i politycznych, zastosowało tę metod
w Algerze, przy pomocy sieci oficerów, rozrzuconych po osiec-
ach pojedyńczo, w roli doradców, nauczycieli, instruktorów. Po-
czucie niedocenienia i niezrozumienia ze strony metropolii umoż-
liwiło wprowadzenie w szeregach żelaznej karności, ale jedno-

cześnie solidarności i koleżeństwa. Armia roku 1958 wykluczała możliwość nowego upokorzenia. Powiększające się z każdym dniem rozejście z rzeczywistością legalną, istniejącą w metropolii, spowodowało zbliżenie z elementami politycznymi europejskiej ludności Algeru, których skrajny i fermentujący nacjonalizm doprowadził do inicjatywy otwartego zaatakowania systemu. W tym klimacie i w tych warunkach nastąpił wybuch 13 maja. Między armią i aktywistami Algeru istniało jednak tylko zbliżenie, nie zaś utożsamienie. Armia wystąpiła w obronie, na swój sposób rozumianych, interesów państwa, ludności Algeru, zarówno europejskiej, jak muzułmańskiej i w obronie własnego honoru. Na obronę interesów, mogących się rozwijać w warunkach polityki kolonialnej, tak czy inaczej upozorowanej, pozostała właściwie obojętna. Ułatwiło to generałowi de Gaulle porozumienie się z armią w czasie pierwszej, po dojściu do władzy, podróży do Algeru, a rozładowaniu znaczenia politycznego czynników skrajnych, tak zwanych aktywistycznych, w czasie podróży drugiej, w początkach lipca.

## VI

Losy Francji znalazły się po raz drugi w rękach człowieka, zajmującego od dwudziestu blisko lat jedno z czołowych miejsc na kartach historii naszej epoki.

Osobistość jest kontrowersyjna, jak każda osobistość aktywna i obdarzona silnym charakterem.

Z okresów drugiej wojny światowej pozostawił złe wspomnienia wśród Anglosasów, którzy nie mogli zrozumieć, że ktoś, prowadzący swoją działalność za ich pieniądze i przy ich pomocy materiałowej, może sobie pozwolić na samodzielność polityczną. Nieporozumienie wynikało z błędu w ocenie człowieka. Churchill, lansując w czerwcu 1940 roku skromnego generała brygady, odmawiającego zgody na kapitulację, poszukiwał narzędzia dywersji i nacisku na rząd Petain'a, który uważał za legalny i z którym przewidywał możliwość porozumienia. Z tego samego założenia wychodziła polityka francuska Roosevelta. Siłą de Gaulle'a była wiara w jego misję. Zadanie, jakie sobie postawił, polegało na obronie nienaruszalności terytorialnej państwa francuskiego i jego praw politycznych przez udział we wspólnym wysiłku wojennym zwycięskiej koalicji. Przywódca wolnych Francuzów utożsamiał się z Francją. Pomiędzy tymi dwoma punktami wyjścia nie mogło być porozumienia. Zostało ono zastąpione przez serię faktów dokonanych, które pozwoliły generałowi wykonać swą misję do końca.

Osobistość była kontrowersyjna także w opinii francuskiej, której potężny liczbowo odłam orientował się na Petain'a, a w pewnym stopniu dochowuje mu wierności jeszcze obecnie. Zarzucano de Gaulle'owi, że w końcowym stadium wojny nie porozumiał się ze starym marszałkiem, że nie umożliwił legalnego

przekazania władzy, przerywając ciągłość historyczną Republiki i stawiając Francję w roku 1944 u progu rewolucji przez dopuszczenie komunistów do swego rządu. Nieporozumienie wynikało stąd, że przywódca wolnych Francuzów uważał za swoją misję odrodzenie Francji przede wszystkim przez wyzwolenie Francuzów z kompleksu klęski, co wymagało zerwania z symbolem kapitulacji, bez względu na to, jaka była ocena pobudek działania postaci, symbolizującej kapitulację i uległość wobec okupanta. Współpraca z komunistami w tym okresie wynikała zarówno z pobudek idealistycznych, z woli skupienia koło siebie wszystkich żywych sił narodu, walczących z okupantem, jak z konieczności. Zbyt szybko zapomniano, że w tym okresie czynniki kierownicze świata anglosaskiego z Rooseveltem na czele były u szczytu złudzeń i zachwytów na temat Sowietów i Stalina. Odmowa wciągnięcia komunistów do wspólnego wysiłku wojennego byłaby poczytywana za jeszcze jeden objaw antydemokratycznych skłonności, przypisywanych szefowi Wolnej Francji.

Siłą generała de Gaulle jest nadal wiara w misję. Nie ulega wątpliwości, że naczelnym jego dążeniem jest przywrócenie Francji roli wielkiego mocarstwa i zapewnienie jej udziału w decyzjach politycznych na skalę światową.

## VII

O zwycięstwie lub klęsce de Gaulle'a zadecyduje przede wszystkim to, czy uda mu się natchnąć społeczeństwo francuskie jego własną wiarą we Francję i jej możliwości.

Do ostatnich miesięcy, na skutek klęski wojennej i paraliżu politycznego, trwającego dwanaście lat francuska myśl polityczna nie nadążała za dynamiką demograficzną i gospodarczą. Opinia publiczna w metropolii dzieliła się, z grubsza, pomiędzy dwa kierunki: liberalny, poszukujący wyjścia z trudności drogą ustępstw, pozbawionych dalszej wizji i zachowawczy, zmierzający do utrzymania dorobku przeszłości przez odmowę ustępstw, nie popartą siłą, ani wolą użycia siły. W Algerze zarysował się niezwykle aktywnie kierunek trzeci : bojowy nacjonalizm, mający w niektórych swych odłamach cechy faszyzujące, zmierzający do utrzymania ostatniej, północno-afrykańskiej pozycji Francji drogą siły i do narzucenia tej koncepcji metropolii poprzez obalenie rządów Zgromadzenia i zastąpienie ich rządem autorytatywnym. Mimo całej dynamiczności nacjonalizm Francuzów algerskich zmierzał do celów ograniczonych i zachowawczych.

U podstaw wszystkich trzech kierunków leżał brak wiary w możliwość dokonania czegoś większego, brak wiary w możliwość ekspansji Francji.

Wydaje się, że de Gaulle zamierza prowadzić politykę ekspansji i że dokonany przez niego inwentarz możliwości dostarcza mu realnej podstawy dla takiej polityki.

Jest objawem charakterystycznym, że, doszedłszy do władzy pod naciskiem aktywistów algerskich, uniknął związania się z ich polityczną koncepcją. Z jego ust nie padło dotychczas ani razu słowo: integracja. Zastąpił je zwrotem: ,,Français à part entière'', sprowadzającym się do przyznania ludności Algeru, zarówno europejskiej jak muzułmańskiej, równych praw. W praktyce oznacza to, na razie, przyznanie równych praw politycznych.

Integracja taka, jak ją sobie wyobrażają aktywiści algerscy, jest sloganem bez realnego pokrycia. Wśród ekonomistów francuskich panuje co do tego jednomyślność: Francji nie stać i długo nie będzie stać na zapewnienie ludności Algeru takiej stopy życia, na jakiej żyje ludność metropolii.

Zapewnienie de Gaulle'a, że Alger pozostanie na zawsze ziemią francuską, nie stoi w sprzeczności z jego koncepcją, ani nie oznacza przyjęcia programu integracji. W pewnym kontekście Alger może pozostać ziemią francuską, podobnie, jak inne obszary afrykańskie. Nie musi to oznaczać przedłużania fikcji departamentów afrykańskich, takich samych, jak departamenty Vaucluse, lub Corrèze. Następstwem zasady: ,,Français à part entière'' będzie udział ludności Algeru w referendum konstytucyjnym i w wyborach w jednym wspólnym kolegium. W wyniku tych wyborów, jeżeli ludność muzułmańska weźmie w nich masowy udział, powinno powstać przedstawicielstwo z ogromną większością arabską. De Gaulle zarezerwował sobie możliwość rozważenia z tym przedstawicielstwem, jak dokonać reszty.

Nie ulega wątpliwości, że Alger zajmuje kluczową pozycję w afrykańskim aspekcie polityki de Gaulle'a. Decyduje o tym węzłowa pozycja tego kraju w stosunku do Tunisu i Maroka, oraz w stosunku do Sahary i możliwości eksploatacji jej bogactw.

Francję stać na to, aby zrealizować ideał aktywistów i utrzymać Alger przez dłuższy czas siłą. Musiałoby się to odbyć kosztem stałego, wojskowego związania Francji w Afryce, osłabieniem jej pozycji w Europie, popchnięciem Maroka i Tunisu w ramiona nacjonalizmu wschodnio-arabskiego, zagrożeniem Sahary i wpływów francuskich w Afryce czarnej.

Afrykańską i w ogóle zamorską koncepcję de Gaulle'a odzwierciadlają dosyć wyraźnie odpowiednie rozdziały opracowanego pod jego inspiracją i kierownictwem wstępnego projektu nowej konstytucji. Pozostawiają one poszczególnym obszarom dawnego, francuskiego imperium kolonialnego możliwość wyboru pomiędzy zachowaniem statutu prowincji francuskich, autonomią, niepodległością w federacji z Francją, lub w związku konfederalnym. W trwającym od lat dwunastu impasie otwiera się okno na szersze horyzonty. Oczywiście, że w tym układzie zasadnicza rola musi przypaść Algerowi i nie może być taka, jak ta, którą usiłowało narzucić skrajne skrzydło Komitetu Ocalenia Publicznego.

Zamiar jest olbrzymi. Jeżeli uda się go zrealizować, zamiast ideału Wielkiej Francji o 54 milionach mieszkańców powstałby

związek konfederalny, którego trzon francusko-afrykański liczył-by 83 miliony mieszkańców (Francja 44,2 miliony, Alger, Afryka Równikowa i Zachodnia 34 miliony, terytoria mandatowe Kamerun i Togo blisko 5 milionów), państwa stowarzyszone byłych Indochin 6 do 18 milionów (zależnie od postawy południowego Vietnamu), Antyle, Nowa Kaledonia około 700.000, czyli w sumie 90 do 100 milionów mieszkańców. W razie, gdyby państwa suwerenne, Maroko i Tunis, zdecydowały się przystąpić do tak zakreślonego związku konfederalnego lub przynajmniej pozostać w strefie frankowej i związać się z Francją sojuszem opartym na zasadzie współzależności, sfera francuska zwiększyłaby się jeszcze o 14 milionów ludności.

Położenie geograficzne francusko-afrykańskiego trzonu tej sfery zapewniałoby mu wyjątkową pozycję w strategii politycznej, wojskowej i gospodarczej. Francja metropolitalna posiada na swoim wybrzeżu atlantyckim i w swych licznych, znakomicie zmodernizowanych portach, dostęp do wszystkich obszarów i rynków świata. Jej porty morskie i lotnicze na wybrzeżu śródziemnomorskim zapewniają jej połączenia z obszarem afrykańskim w ciągu 1 do 24 godzin, zależnie od środka przewozowego. Wokół źródeł energetycznych metropolii i Sahary mogłaby nastąpić krystalizacja gospodarcza olbrzymiego obszaru euro-afrykańskiego, który z czasem stawałby się coraz bardziej jednolity, pomimo zróżniczkowania politycznego, etnograficznego kulturalnego. Gospodarka francuska, a zwłaszcza przemysł, znalazłaby ujście dla swego dynamicznego rozpędu na obszarach w ten sposób zespolonych, ucieczka kapitałów do hemisfery zachodniej straciłaby w znacznej mierze na atrakcyjności. Francja już dzisiaj jest piątą potęgą gospodarczą świata. Przebudowa sfery francuskiej i wynikające z niej możliwości otworzyłyby przed nią warunki dla dopędzenia Niemiec i Wielkiej Brytanii, jak chodzi o produkcję totalną.

Trudności i niebezpieczeństwa są równie olbrzymie, jak zamiar. Piętrzą się one zarówno w samej Francji, jak na obszarze zainteresowanym, jak z zewnątrz.

Największym problemem wewnętrzno-francuskim jest obudzenie wiary w nową koncepcję i wyrzeczenie się rozwiązań zachowawczych, ciasno nacjonalistycznych. Za kilka lat, w miarę jak nowe roczniki zaczną wchodzić w życie aktywne, szukając dla siebie miejsca, obudzenie wiary w wielką przyszłość Francji będzie łatwiejsze. Ale pokolenie obecnie aktywne, odznacza się sceptycyzmem. Składa się ono z roczników starych, wychowanych w okresie zastoju, jaki panował pomiędzy dwiema wojnami i z roczników dojrzałych, które w ciągu trwania IV Republiki utraciły wiarę w możliwości Francji, wyładowując swój dynamizm w poszukiwaniu korzyści materialnych, jako celu jedynego. Nad całym pokoleniem, obecnie aktywnym, ciąży świadomość klęski 1940 roku i przekonanie, że pomiędzy olbrzymem amerykańskim i sowieckim jedynym rozwiązaniem jest przetrwanie, przetrwanie za każdą cenę. Jest objawem charakterys-

tycznym, że cudzoziemcy, zamieszkujący Francję od dawna i przygotowani do oceny możliwości, mają często więcej wiary w przyszłość Francji, niż sami Francuzi.

Jedną z największych trudności na obszarach zainteresowanych, pomijając ich zróżniczkowanie, jest wybujały, świeżo przebudzony nacjonalizm, już nie tylko arabski, ale i murzyński. Wychowane na francuskiej kulturze elity afrykańskie, biorące dzisiaj w swe ręce ster dążeń emancypacyjnych i kierownictwa nowych organizmów państwowych, posiadają, w przytłaczającej większości, orientację prozachodnią. Zdają sobie sprawę z tego, że zupełne zerwanie związków z Francją wpędziłoby ich kraje w chaos polityczny i gospodarczy. Znajdują się jednak pod naciskiem mas, niezdolnych jeszcze do samodzielnego myślenia i wystawionych na oddziaływanie propagandy nacjonalistycznej, zwłaszcza pan-arabskiej przychodzącej z zewnątrz. Położenie Tunisu odzwierciadla może najbardziej rozmiar tych trudności. Udzielając temu małemu krajowi niepodległości, IV Republika nie wyposażyła go w jeden z zasadniczych atrybutów, jakim jest siła wojskowa, żądając jednocześnie od prezydenta Burguiby zachowania ścisłej neutralności wobec powstańców algerskich. Warunkiem zachowania neutralności, nawet w Afryce, jest posiadanie siły. Obozy szkoleniowe powstańców algerskich na obszarze Tunisu stworzyły większą masę zbrojną, anizeli szczupłe siły policyjne, jakimi dysponuje rząd lokalny. Były okresy, że pro-francuski i pro-zachodni Burguiba utrzymywał się przy władzy tylko dzięki lękowi powstańców algerskich, że obalenie go spowodowałoby ponowną okupację Tunisu przez wojska francuskie.

Afryka Północna a nawet i Środkowa, stała się także terenem penetracji sił światowych, sowieckich i, w słabszym stopniu, amerykańskich, które aż na ten teren przeniosły rozgałęzienia swej rywalizacji, podniecając, z jednej strony, nastroje nacjonalistyczne, popierając, z drugiej strony, dążenia emancypacyjne.

Jeżeli polityka afrykańska de Gaulle'a się powiedzie, przyszły związek konfederalny przestanie być zjawiskiem europejskim i afrykańskim, a stanie się pozycją światową. W razie zawalenia się tej koncepcji Francja ulegnie wyeliminowaniu, jako czynnik polityki światowej i będzie musiała zejść do roli jednego ze składników małej Europy sześciu, czy piętnastu.

## VIII

Analiza opracowanego pod kierownictwem de Gaulle'a wstępnego projektu konstytucji wymagałaby oddzielnego studium. Dla celów tego artykułu wystarczy stwierdzić, że projekt nowej ustawy ustrojowej, pomyślany bardzo ramowo, o połowę krótszy od konstytucji IV Republiki i unikający przeciążenia tak ulubionymi we Francji precyzjami prawnymi, zrywa rady-

kalnie z rządami Zgromadzenia, wzmacniając w wysokim stopniu władzę wykonawczą. Zasada podziału władz zostaje posunięta aż do przerwania związku pomiędzy funkcją deputowanego i funkcją ministra. Deputowany, mianowany ministrem, zobowiązany będzie zrzec się mandatu poselskiego. Postanowienie to nie zamyka możliwości rekrutowania członków rządu wśród parlamentarzystów, ale uwalnia ich od zależności i od konieczności poszukiwania popularności. Projekt przewiduje wyposażenie Prezydenta Republiki, który sprawować będzie jednocześnie prezydenturę federacji, czy konfederacji, w zakres władzy, jakiej dotychczas nie posiadał żaden szef Francji republikańskiej. Do jego uprawnień należeć będzie, między innymi: powoływanie i odwoływanie premiera i członków gabinetu, odwoływanie się do referendum na wniosek rządu, lub obydwuch Izb, rozwiązywanie parlamentu po wysłuchaniu opinii premiera i prezesów Izb, nominacje na wysokie szczeble cywilne i wojskowe, negocjowanie i zawieranie traktatów i wreszcie (echo wydarzeń czerwcowych 1940 roku), pobieranie decyzji, podyktowanych przez okoliczności, w razie poważnego i nagłego zagrożenia niepodległości i całości państwa, oraz możliwości wykonania zobowiązań międzynarodowych.

W tym układzie premier kieruje pracą wykonawczą rządu, za którą odpowiada przed parlamentem.

Parlament jest dwuizbowy, składa się ze Zgromadzenia i Senatu.

Uprawnienia Zgromadzenia ulegają znacznemu ograniczeniu. Sprowadzają się one do kontroli pracy rządu przez uchwalanie budżetu i do pracy ustawodawczej w określonym zakresie. Wypowiedzenie zaufania rządowi może się odbyć tylko absolutną większością głosów, głosowanie odbywać się będzie osobiście. Zgromadzenie zbiera się w ciągu roku na dwie sesje, trwające po dwa i pół miesiąca.

Senat otrzymuje pewne wzmocnienie swych uprawnień w porównaniu z senatem IV Republiki. Uzyskuje inicjatywę zgłaszania projektów ustaw, na równi z deputowanymi i może być konsultowany przez rząd. Prezes Senatu wykonuje funkcje prezydenta republiki w razie jego ustąpienia lub śmierci, a przed wyborem nowego. Wchodzi więc w uprawnienia, które należały dawniej do prezesa Zgromadzenia.

Rada Ekonomiczna i Społeczna, mająca zastąpić dotychczasową Radę Ekonomiczną, będzie w większej mierze organem doradczym rządu niż parlamentu.

Utworzona będzie Rada Konstytucyjna, nieistniejąca za IV Republiki, z zadaniem kontroli wyborów prezydenta i parlamentu i czuwania nad zgodnością ustaw z konstytucją.

Konstytucja wejdzie w życie z chwilą zaakceptowania przez naród w referendum, które odbędzie się w początkach października tego roku.

Jakikolwiek będzie los projektu wstępnego, a dozna on na pewno niejednej poprawki w czasie studium, dokonywanego

obecnie przez Komitet Doradczy, jest pewne, że zasada silnej władzy wykonawczej o zapewnionej ciągłości prac będzie utrzymana i uchwalona. Opinia publiczna w ogromnej większości pragnie zmiany, system rządów Zgromadzenia wzbudza jak najgorsze wspomnienia, a referendum, polegające na odpowiedzi: „tak" lub „nie" w tych warunkach nie pozostawia żadnych wątpliwości, tym bardziej, że opozycja, zarówno komunistyczna, jak centrowo-lewicowa, złożona z cząstki radykałów i z mniejszości socjalistów, ogranicza się do propagandy negatywnej, nie przeciwstawiając, jak dotychczas, własnej koncepcji ustrojowej.

Projekt wyraża kompromis pomiędzy ideami de Gaulle'a z okresu tworzenia Zgromadzenia Ludu Francuskiego w roku 1948 i wpływem moderującym dwuch byłych premierów, którzy są obecnie członkami rządu : Guy Mollet'a i Pflimlin'a. Oznacza także przejście do porządku dziennego nad projektami, mniej lub bardziej autorytatywnymi, głoszonymi przez aktywistów algerskich.

Nowa konstytucja opiera rekrutację Zgromadzenia na wyborach powszechnych, ale prawo wyborcze będzie ogłoszone po referendum. W sumie przedstawia ona kompromis pomiędzy amerykańskim systemem prezydenckim i francuskim systemem rządów parlamentarnych.

O tym, czy się okaże dobra, czy zła, zadecyduje doświadczenie. Nie ma konstytucji idealnych, wszystko zależy od tego, jakie zwyczaje wytworzą się w stosowaniu prawa zasadniczego.

Utrzymując zasadę wyborów powszechnych i wprowadzając rozdział pomiędzy funkcją deputowanego i członka rządu, de Gaulle porzucił świadomie dawne, zdecydowanie negatywne stanowisko wobec partii politycznych. Indywidualistyczne społeczeństwo francuskie odznacza się wielokierunkowością poglądów politycznych i trudno wyobrazić sobie w dającej się przewidzieć przyszłości jegoześrodkowania się koło dwuch, czy trzech kierunków zasadniczych. Partie będą więc istniały i działały, ale, skanalizowane w parlamencie, bez wpływu na egzekutywę, poza możliwością jej zmiany przez odmowę zaufania, przestaną odgrywać rolę hamulca, zachowując możność krytyki. W tym sensie przyszły ustrój francuski będzie demokratyczny, choć będzie się wybitnie różnił od dotychczasowego. Ustrojom takim, jak amerykański, angielski, szwajcarski czy szwedzki nikt nie może zarzucić niezgodności z zasadami demokracji. Można powątpiewać czy dotychczasowy ustrój francuski był najlepszym wyrazem demokracji.

Istota zmiany polega na zapewnieniu skuteczności i stałości władzy wykonawczej. Aby sobie zdać sprawę z doniosłości tej zmiany, wystarczy stwierdzić, że w okresie dwunastu lat istnienia IV Republiki Francja ofiarowała sobie luksus 24 gabinetów i stratę 360 dni na przesilenia rządowe. W tym samym czasie Niemcy Zachodnie mają od dziesięciu lat ten sam rząd Adenauera, Stany Zjednoczone miały dwa rządy, Anglia cztery. Francja nie posiadała rządów w czasie tak krytycznych wyda-

rzeń międzynarodowych, jak: blokada Berlina, początek wojny w Korei, podpisanie paktu w Bagdadzie, dyskusja nad sprawą Algeru w Organizacji Stanów Zjednoczonych w roku 1957.

W ślad za reformą konstytucyjną i reformą systemu wyborczego przyjdzie reforma systemu administracyjnego. Zachowany z czasów Konsulatu podział Francji na 90 departamentów jest już od dawna anachronizmem i powoduje pokratkowanie Francji różnymi podziałami logistycznymi w sposób chaotyczny. Podział ten przyczynił się w wysokim stopniu do koncentracji przemysłu i szkolnictwa wyższego w obszarze Paryża, kosztem wyludnienia i zubożenia wielkich nieraz obszarów kraju. Francja wkracza na drogę decentralizacji, która znajdzie swój wyraz prawdopodobnie w podziale kraju na 20 prowincji, stanowiących logistyczne kompleksy gospodarcze, szkolne, sądowe, skarbowe i wojskowe. Dokończeniem modernizacji państwa będzie prawdopodobnie reforma polityki fiskalnej, opartej, jak dotychczas, w wyniku słabych rządów, na nierównym i niesprawiedliwym podziale obciążeń, które spadają głównie na dochody, nie mające możliwości ukrycia się przed kontrolą.

## IX

Eksperyment, rozpoczęty w czerwcu, zaczyna dawać pewne wyniki. Opinia publiczna ze zdumieniem dowiaduje się o osiągnięciach gospodarczych ostatnich lat i o wynikających z nich możliwościach na przyszłość. Z pożyczki de Gaulle-Pinay wpłynęło 350 miliardów, a 150 ton złota przeszło z pończoch do piwnic Banku Francji. Jest to jeszcze bardzo mało, zaledwie 5% złota tezauryzowanego, ale początek został zrobiony, świadcząc o powrocie zaufania przeciętnego Francuza, który w dziedzinie gospodarczej jest przede wszystkim ciułaczem. Bilans płatniczy, deficytowy w latach i miesiącach poprzednich, wykazał nadwyżkę 75 miliardów dolarów w czerwcu, a 138 milionów w lipcu, czyli razem, w ciągu dwuch miesięcy, 213 milionów dolarów wobec 165 milionów deficytu w maju. Mimo drenażu płynnego pieniądza przez pożyczkę, wkłady oszczędnościowe wzrosły w lipcu o 9 miliardów franków.

Francja dopiero od trzech miesięcy wchodzi w okres ograniczonej recesji, spowodowanej głównie restrykcjami kredytowymi i spadkiem eksportu na skutek kryzysu, trwającego od przeszło roku w głównych krajach importujących. Objawy kryzysowe dotykają, jak dotychczas, przemysły przetwórcze: tekstylny, artykułów użytku domowego (maszyny do prania, lodówki) i skuterów. W ostatnich dniach ogłoszono rozluźnienie ograniczeń kredytowych przy nabywaniu artykułów użytku domowego, aby wywołać w ten sposób wzrost zapotrzebowania. Wskaźnik wzrostu cen, po bardzo szybkim wzroście od listopada 1957 do czerwca bieżącego roku, wykazuje skłonność do stabilizacji co pozwala rządowi odsunąć sprawę rewizji płac do jesieni. Fran-

cja, jedyny w wolnym świecie kraj pełnego zatrudnienia, a nawet importu rąk roboczych, zaczyna w minimalnym stopniu odczuwać bezrobocie, najczęściej przejściowe i wynikające z konieczności readaptacji z jednych gałęzi wytwórczości do innych. Sytuacja gospodarcza jest nadal dobra, finansowa uległa znacznej poprawie. Powstaje pytanie, czy zarządzenia, mające na celu ograniczenie spożycia, oraz presja fiskalna, nie połączona z reformą polityki podatkowej, słowem — czy całość środków, przedsięwziętych przez Piney'a, zwolennika klasycznego liberalizmu, nie sięgnęła za płytko. Gdyby Francja została znów zmuszona, po wyczerpaniu wpływów z pożyczki, zwrócić się o pomoc finansową do Stanów Zjednoczonych i Europejskiej Organizacji Współpracy Gospodarczej, jak to czyniły poprzednie rządy, przedsięwzięta przez de Gaulle'a próba przywrócenia samodzielności francuskiej polityce zagranicznej uległaby poważnemu zagrożeniu.

Na razie jednak powraca Francja do roli międzynarodowej z całym, stosunkowo wielkim zasobem środków i możliwości, z nową ideą ustrojową, z nową ideą przekształcenia dawnego imperium kolonialnego na Wspólnotę Wolnych Narodów. Natychmiastowy wzrost jej znaczenia międzynarodowego i prestiżu jej polityki zagranicznej stwierdza trafność celu i tonu, nadanego od trzech miesięcy przez gen. de Gaulle'a.

Przekształcenie Francji w związek wolnych narodów skieruje na pewno znaczną część energii metropolii w kierunku Afryki. Nie ma jednak obaw, aby to było związanie całkowite. Nie istnieją żadne powody do wycofania się Francji ze Wspólnoty Węgla i Stali, lub do rezygnacji z wejścia na Wolny Rynek Europejski, którego otwarcie zostało ustalone na 1 stycznia 1959 roku. Proces powstawania Europy wydaje się być nieodwracalnym, żadne z wchodzących w jej skład państw nie posiada już możliwości powrotu do konkurencji międzynarodowej na europejskim obszarze. Przeciwnie, postępy europeizacji mogą w wysokim stopniu przyczynić się do kapitałowego i technicznego zagospodarowania Afryki. Mogą także zaważyć na układzie stosunków i sił międzynarodowych. Dzięki Wspólnocie Węgla i Stali produkcja sześciu jej członków (Niemcy, Francja, Włochy, Belgia, Holandia, Luksemburg), w podstawowym przemyśle stalowym osiągnęła w 1957 roku 60 milionów ton, przewyższając produkcję sowiecką o 9 milionów ton. Reperkusje przewagi w tej dziedzinie na inne gałęzie wytwórczości, zwłaszcza po wejściu w życie Wspólnego Rynku i Euratomu, zapewnią wolnej Europie (nawet bez Anglii) tak poważną przewagę gospodarczą nad blokiem sowieckim, że będzie jej brakowało tylko dopełnienia wojskowego dla odegrania własnej roli pomiędzy Rosją i Ameryką.

Powrót Francji do pierwszoplanowej roli politycznej nie może być obojętny dla narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Nawet w okresie marazmu IV Republiki atrakcyjność Francji po drugiej stronie żelaznej kurtyny, choć ograniczona do zagad-

nień kulturalnych, była większa, niż jakiegokolwiek innego kraju zachodniego. Francuskie czynniki oficjalne, intelektualne i gospodarcze są świadome tej atrakcyjności. Czy rząd generała de Gaulle zdobędzie się na to, aby ją przekształcić na kapitał polityczny? Czy zdecyduje się na inicjatywy, które, przez stworzenie rozległej strefy zdemilitaryzowanej i zneutralizowanej w Europie środkowej i wschodniej prowadziłyby do rozwiązania takich problemów, jak zjednoczenie Niemiec, ustabilizowanie granicy zachodniej Polski na Odrze i Nysie i zwiększenie zakresu samodzielności demokracji ludowych? Czy zdecyduje się wypełnić pustkę, która zapanowała w Europie, a może nawet w świecie całym, na skutek jej nieobecności politycznej w ciągu ostatnich osiemnastu lat?

Odpowiedzi na te pytania zależą od powodzenia eksperymentu generała de Gaulle'a.

*Aleksander KAWAŁKOWSKI*

# O smutnym stanie socjologii współczesnej

W ciągu ostatniego półwiecza literatura socjologiczna pomnożyła się niezmiernie. Jej ogrom wprost przytłacza. Nawet najbardziej pilny czytelnik nie mógłby przez całe swoje życie (choćby bardzo długie) przeczytać publikacji wydanych w okresie jednego z ostatnich lat. Zdawałoby się więc, że rozkwit... Niestety jednak okazuje się, że jest to postęp ilościowy, któremu towarzyszy jakościowy upadek. Tu i tam, co prawda, znajdują się ważne przyczynki, wszakże mam wrażenie, że nie tylko ich ilość zmniejszyła się w stosunku do masy publikacji, ale że pojawia się ich nawet bezwzględnie mniej niż 50 lat temu. Nie ma obecnie żadnego czasopisma, moim zdaniem, które dorównałoby dawnemu „Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik". Poziom takich czasopism jak „American Journal of Sociology" albo „Année Sociologique" widomie się obniżył. Istnieją też nowsze czasopisma, w których dotąd bodajże jeszcze nic osobliwego się nie ukazało.

Powyższe twierdzenia niejeden z czytelników uznać może za skrajne, a niestety udowodnić ich w ramach krótkiego artykułu niesposób — na to trzeba by omówić wszystkie główne dzieła oraz dać próbkę artykułów, tak jak to zrobił Pitirim Sorokin w „Fads and Foibles in Modern Sociology", z którym, mówiąc nawiasem, nie we wszystkim się zgadzam. Warto by wymienić również Armanda Cuvilliera „Ou va la sociologie française?". Tutaj mogę jedynie jako tako wyjaśnić, na czym opieram swe mniemanie, a potem, zakładając słuszność swej diagnozy, zasugerować wytłumaczenie tego zjawiska. Ale zanim do tego przystąpię muszę prewencyjnie odparować możliwy zarzut, mianowicie że nie wolno wydawać sądu o olbrzymiej literaturze, z którą nie można się w całości zaznajomić. Na to odpowiem, jak dawny dr Johnson, że nie potrzeba spożyć całego wołu ażeby móc stwierdzić, że mięso jest twarde.

Pierwszym zarzutem, który podniósłbym przeciwko współ-czesnej socjologii jest to, że składa się ona w zbyt dużej mierze z czystej rejestracji faktów. Wcześni socjologowie często da-wali się ponosić wyobraźni i niewątpliwie wysuwali czasami zu-pełnie gołosłowne twierdzenia. Chociaż trzeba pamiętać, że już Arystoteles zebrał przeszło 120 opisów konstytucji rozmaitych państewek greckich i na tych danych w pewnej mierze budował swe twierdzenia. Montesquieu, Condorcet, Malthus, Ferguson, Herder i inni starali się rozumować indukcyjnie i posiadali roz-ległą znajomość dzieł historyków i podróżników. A niedociąg-nięcia tych pionierów socjologii były w znacznym stopniu wy-nikiem niedoskonałości źródeł ich informacji. Rozwój historio-grafii w wieku XIX wydatnie poprawił sytuację, i wielkie osiąg-nięcia Maxa Webera stały się możliwe dzięki oparciu na olbrzymim materiale danych historycznych, o wiele już pewniej-szych, rozciąglejszych w czasie i przestrzeni, i wnikliwszych. Pod koniec XIX wieku przestano dowierzać podróżnikom i powsta-ło zajęcie opisywacza ludów pierwotnych, zwanego etnografem. W początku obecnego stulecia ludzie myślący o sprawach spo-łecznych wreszcie zdali sobie sprawę, że nawet społeczeństwa, w których żyją, zawierają wiele tajemnic. Zaczęto więc opisy-wać zjawiska społeczne; nazywano to socjografią lub socjologi opisową, także geografią społeczną.

Pożyteczność tego rodzaju badań nie ulega kwestii ani z punktu widzenia czystej ciekawości naukowej ani pod wzglę-dem działalności praktyczno-administracyjnej. Lecz zła jest jed-nostronność. Wielu myślicieli wspomagało początkującą socjo-grafię w nadziei, że stworzy ona lepsze indukcyjne podstawy dla teorii socjologicznej, a oto pochłonęła ona socjologię prawie bez reszty.

Samo gromadzenie informacji nie stanowi wielkiego postę-pu. Pamięć ludzka jest ograniczona, a poprawne obserwacje astronomiczne, botaniczne, socjograficzne czy z jakiejkolwiek innej dziedziny już od dawna prześcigały jej pojemność. Współ-czesny socjolog ma większy wybór danych, z którymi mógłby się zaznajomić, jednakże co do sumy istotnie posiadanych wia-domości nie przewyższa on swego dawnego poprzednika. Pos-tęp naukowy polega na tworzeniu teorematów, które pozwalają na wywnioskowanie szczegółów, tak iż nie potrzeba tymi szcze-gółami pamięci obarczać. Tak np. teorie Kopernika, Keplera i Newtona zwolniły astronomów od konieczności znania detali Ptolemejskich epicyklów. Tylko ten proces uogólniania pozwala nam wiedzieć więcej — a nie tylko co innego — od naszych przodków. Wiedza kompilatorów książki telefonicznej nie ro-nie w miarę zwiększania się jej grubości.

Jeżeli idzie o użyteczność praktyczną, samo gromadzenie faktów też nie daleko prowadzi. Aby móc z pożytkiem doradzać trzeba umieć przewidywać skutki działań, to znaczy trzeba znać regularność następnych zdarzeń. W naukach ścisłych i technice każdy o tym wie, ale ta prosta prawda jeszcze nie doszła do

świadomości wielu myślicieli o społeczeństwie. Gdy się radzi obniżyć lub podwyższyć stopę procentową lub wprowadzić pewną karę, albo zastosować jakąś metodę propagandy, to aby ta rada była skuteczna trzeba umieć przewidzieć, co się stanie, jeżeli się tak postąpi. Nie chodzi tu o proroctwo, lecz o zdania warunkowe, mające formy : ,,jeżeli nastąpi A, to równocześnie lub po pewnym (chociażby w przybliżeniu) czasie nastąpi B''; albo ,,C nastąpi jedynie wtenczas, jeżeli równocześnie lub poprzednio nastąpi D''. Wprawdzie niekiedy w działaniu społecznym popełnia się błąd na skutek zupełnej nieznajomości stanu rzeczy, nawet w sprawach gdzie elementarny rozsądek byłby wystarczającą teorią. Czasami dzieje się tak z powodu braku rozumu u działających czy ich kierowników; innym razem pożądanych informacji po prostu nie ma, w którym to wypadku zwyczajne sporządzenie opisu może być bezpośrednio użyteczne. Niemniej jednak użyteczność takiego badania jest ograniczona teoriami pozwalającymi wyciągać wnioski o przyszłości. Tym się tłumaczy stosunkowo mała przydatność ekspertów regionalnych. Prognozy i rady znawców spraw chińskich, peruwiańskich czy innych niewiele są warte, ponieważ nie są one oparte na teorii dynamiki zjawisk społecznych. Co prawda nieraz się im udaje, bo duża doza znajomości tej dynamiki tkwi w każdym osobniku : gdybyśmy nigdy nie mogli przewidzieć żadnych skutków naszych działań, czy działań innych ludzi, to żadne społeczeństwo nie mogłoby istnieć. Sprawni działacze i organizatorzy posiadają tej wiedzy więcej niż ludzie przeciętni, lecz głównie w formie na pół świadomej, intuicyjnej. A jak wiadomo, na intuicji polegać nie można, gdyż dopiero za późno się okazuje, czy była słuszna. Poza tym nie potrzebuję chyba przekonywać czytelnika, jak ograniczona jest ta wiedza nawet w najlepszych przypadkach. Zadaniem socjologii powinno być sprawdzenie i rozszerzenie tych wiadomości, tzn. budowanie indukcyjnie uzasadnionej teorii.

Teoretyczna niedokrwistość socjografii (tzn. socjologii opisowej) jest ponadto przyczyną jej trywialności. Rzeczywistość jest nieskończona, i niczego nigdy nie można w zupełności opisać. Opis implikuje wybór, zaś pozostaje kwestią, w myśl jakich kryteriów on się odbywa. Zależy to przede wszystkim od mniemań opisującego o związkach przyczynowych, ponieważ na nich opiera się ocena ważności faktów. Posiadając małą wiedzę o związkach przyczynowych autorzy większości opisowych monografii biorą na siebie niemożliwe zadanie opisania wyczerpującego i gubią się w szczegółach. Tak powstają owe niestrawne grube tomy, których nikt do niczego nie używa. Aby pokazać do jak absurdalnej banalności czasem się dochodzi, dam tylko jeden z mnóstwa możliwych przykładów : w studium o chłopach irlandzkich napisanym przez znanego amerykańskiego socjologa czytamy : ,,opiekowanie się dziećmi jest głównie zadaniem kobiet''. Zaiste, godnym byłoby uwagi, gdyby było odwrotnie...

Banalność wyników większości studiów opisowych pozostaje w ścisłym związku z trywialnością wyboru obiektów. Bada się więc studentów. Pisma socjologiczne amerykańskie zapchane są rezultatami ankiet przedkładanych posłusznym studentom. Potem idą robotnicy, a w szczególności bada się ich życie rodzinne, jakkolwiek ostatnio ich zachowanie się w fabrykach ściąga coraz bardziej uwagę badaczy. Oczywiście że te kategorie ludzi w pełni zasługują na uwagę, wszelako jednostronność jest złem. Bo przecież pomimo wszystko na losy społeczeństw wpływają najsilniej ci co mają władzę, bogactwo i mir. Ale, niestety, między nich wkręcić się nie łatwo. Zaobserwować tajemnice sztuki rządzenia, sposoby selekcji itp. — to kunszt nie lada jaki. Owa jednostronność tłumaczy się głównie dążnością do posuwania się po linii najmniejszego oporu. Studiuje się to, do czego dostęp jest łatwy i gdzie małe istnieje ryzyko narażenia się możnym tego świata.

Jak powiedziałem, wyniki większości badań socjograficznych są trywialne. To, samo w sobie, nie byłoby jeszcze tragedią. Sprawdzenie oraz pewne sprecyzowanie mniemań ogólnych nie opartych na systematycznej obserwacji, ma niejaką wartość, tylko że w takim przypadku należy być skromnym i nie starać się wywrzeć wrażenia, że się dokonało wielkiego odkrycia. Jednakże na taką skromność zdobyć się nie łatwo, tym bardziej że można by przez to zatamować dopływ subwencji. Należy zatem, jak to mówią, oczy mydlić, a do tego celu służą dwa główne procedery: statystyka i pseudonaukowa terminologia.

Statystyka jest absolutnie niezbędna przy badaniu licznych agregatów społecznych, lecz z tego nie wynika, ażeby każde ujęcie czegoś w cyfry było ważnym przyczynkiem do wiedzy. Jeżeli leżący u podstaw schemat pojęciowy jest zamazany, to zebrane dane statystyczne jedynie zmylą. A wykryć błąd czy zdemaskować banalność trudniej jeżeli są one zakamuflowane wzorami i cyframi, albowiem wymaga to pewnego wysiłku, lub przynajmniej uważnego przeczytania, zasię artykuł długi i nudny... No i zawsze można liczyć na poklask czytelników nie znających się na statystyce. Walnie do tego pomaga również kamuflaż naukowego żargonu, o którym będę miał więcej do powiedzenia w związku z socjologią teoretyczną. Ale zanim przejdę na tamten temat muszę dorzucić jeszcze kilka słów o socjografii, mających charakter konkluzji.

Ponieważ społeczeństwa, jak też ich części, są tworami strasznie skomplikowanymi, liczne opisy zjawisk społecznych są konieczne, i nawet za konieczne muszą uchodzić te które nie wnoszą żadnych radykalnie nowych informacji. Lecz właśnie z powodu swej nieuchronnej mnogości mogą one być użyteczne tylko jeżeli są jasne, zwięzłe i rzeczowe. Ich niepomierne rozdymanie stwarza powódź banałów, w której giną wiadomości godne uwagi. Na dobitkę nawał papieru przysparza alibi leniwym, którzy w tych okolicznościach w ogóle od czytania się wymigują. W rezultacie zaistniała zadziwiająca sytuacja, przeja-

wiająca się szczególnie jaskrawo w Ameryce, tak iż można powiedzieć, szydząc trochę: wszyscy pracowicie piszą a nikt nie czyta... i idą tomy w biblioteczne zakamarki jak złoto do Fort Knox. Mówiąc nawiasem jest to możliwe z powodu uniezależnienia wydawania publikacji od ich poczytności, częściowo też dzięki subwencjom rozmaitych instytucji, a częściowo ponieważ setki bibliotek automatycznie skupują wszystkie naukowe wydawnictwa.

Poza naciskiem na zwięzłość, drugim warunkiem użyteczności mnóstwa opisów jest ich stopniowe syntetyzowanie, polegające na tym, że na podstawie studiów poszczególnych małych grup (jak np. fabryki, wsie, kluby, ulice itp.) tworzy się opis analityczny całej klasy lub rejonu, a potem np. całego uwarstwowienia albo nawet całego społeczeństwa danego kraju, czy też pewnej klasy w kilku krajach. Byłoby przesadą twierdzić, że tego rodzaju studiów syntetycznych nie ma. Oczywiście, że są. Holenderska literatura socjologiczna szczególnie obfituje w tym względzie. Gdzie indziej dobrych prac jest za mało, częściowo z powodu niedostatecznych badań terenowych (tj. opartych na bezpośredniej obserwacji), częściowo na skutek wpływu wyżej omawianych czynników, hamujących rozwój socjografii, w końcu dlatego że im szersza synteza tym ona mozolniejsza i tym większe ryzyko popełnienia błędu i obrażenia specjalistów. W ciasnocie przedmiotu leży bezpieczeństwo naukowca... Zresztą ulepszaniu syntez opisowych stoi na przeszkodzie brak adekwatnych klasyfikacji, związanych z niedorozwojem socjologii teoretycznej, któremu to zjawisku poświęcona jest następna część obecnego artykułu.

Nauki przyrodnicze zawdzięczają swój rozwój połączeniu cierpliwego obserwowania i eksperymentowania ze śmiałym teoretyzowaniem, i zdawałoby się, iż w czwartym stuleciu ery naukowej nie powinno już być tajemnicą, że teorie powinny być poparte danymi faktycznymi, zaś obserwowanie (połączone czy nie z eksperymentowaniem) powinno być kierowane teoretycznymi hipotezami. W tym duchu podchodzili do zagadnień społecznych prekursorzy i pionierzy socjologii: Arystoteles, Ibn Haldun, Machiavelli, Bodin, Montesquieu, Ferguson, Miller, Buckle, Herder, Comte, Marx, Spencer, Morgan, Durkheim, Mosca, Hintze, Pareto, Weber. Wszyscy ci pisarze posiadali olbrzymią erudycję historyczno-socjograficzną. Dlatego, pomimo że ich interpretacje zawierają wiele błędów (i to u większości — zasadniczych), pozostają one do dziś godnymi uwagi. Teraz też, na szczęście, istnieją jeszcze pisarze, którzy podtrzymują tradycję opierania hipotez teoretycznych na danych historyczno-socjograficznych, ale jest ich za mało — i nie oni nadają ton teorii socjologicznej. W tej dziedzinie rej wodzi amerykańska szkoła pod wodzą Talcotta Parsonsa, a sekunduje jej francuska szkoła Georges'a Gurvitcha. Należy również dodać tutaj tzw. socjologię wiedzy (Wissenssoziologie), stworzoną swego czasu przez Maxa Schelera i Karola Mannheima, tzw. dynamikę grup (group

dynamic) zapoczątkowaną w Ameryce przez Kurta Lewina, oraz tzw. socjometrię wynalezioną przez Jakuba Moreno. Warto zauważyć, że wszyscy ci założyciele są, czy byli, pod wpływem niemieckiej ,,idealistycznej'' filozofii, która, jak wiadomo, odznaczała się mętnością. Scheler żył do śmierci w Niemczech, Mannheim, Lewin, Moreno i Gurvitch wyemigrowali z Niemiec, Parsons tam dość długo studiował. Jak parę lat temu napisałem w ,,Le Monde'', zdobycie przez Gurvitcha dominującego wpływu na socjologię francuską w pierwszych latach po wojnie, podobnie zresztą jak moda na egzystencjalizm, było, moim zdaniem, związane z zanikiem wiary wśród Francuzów we własną tradycję kulturalną, której dominującą cechą była jasność i zwięzłość stylu. Gurvitch choć pisał po francusku, doścignął Hegla w mętności. Reprezentował on niemiecko-amerykańską mieszankę myślową, a więc hybrydę kultur byłych zdobywców oraz nowych możnych protektorów.

Nie można powiedzieć, by Parsons czy Gurvitch nigdy niczego wartościowego nie napisali, atoli rzeczy o pewnej wartości stanowią, według mej oceny, może 1/10, a może 1/20 jeśli chodzi o Parsonsa, zaś może i mniej w wypadku Gurvitcha, ich twórczości. Pozostała masa dzieli się na trzy kategorie. Pierwsza — to streszczenia pism dawniejszych socjologów, zresztą u Parsonsa czasem całkiem dobre. Jego ,,Structure of Social Action'' składa się głównie z takich właśnie streszczeń pism Durkheima, Webera i Pareto, i to nie budzi większych zastrzeżeń; można by nawet powiedzieć o nim, że zawiera dużo rzeczy nowych i ciekawych, tylko że co ciekawe nie jest nowe, a co nowe jest nieciekawe. Druga kategoria — to wypowiedzi zupełnie niezrozumiałe — przynajmniej dla mnie. Czytając Parsonsa czy Gurvitcha, albo Mannheima, czasami czytam i czytam, rozumiem wszystkie słowa z osobna natomiast sensu ani rusz!... Ktoś może wytoczyć zarzut, że jest to jedynie dowodem mej głupoty. No, ale jak to się dzieje, że zrozumienie teorematu matematycznego lub logistycznego, czy wywodów na temat filozofii nauk ścisłych podobnych trudności mi nie sprawia? Sądzę tedy, że owi autorzy piszą i rozumują mętnie, a być może wręcz piszą bez namysłu. Chciałbym zacytować kilka takich perełek stylu, ale niestety trudno je przetłumaczyć. Trzecią kategorię stanowią tłumaczenia prostych, ogólnie znanych prawd na pseudonaukowy żargon. Weźmy dla przykładu potężną, przeszło 800-stronicową księgę Parsonsa pt. ,,Structure of Social Action''. Nicią przewodnią tego dzieła jest według autora pojawienie się i rozwój woluntarystycznej teorii działania. W tym celu autor streszcza i analizuje dzieła wielu socjologów i filozofów. Definicji woluntarystycznej teorii działania nie daje, tylko mimochodem na stronie 438 powiada: ,,woluntarystyczne pojęcie działania — proces, w którym konkretna istota ludzka gra aktywną, a nie wyłącznie adaptywną rolę''. Z innych rozrzuconych uwag wynika, że owa teoria sprowadza się do stwierdzenia: primo — aby zrozumieć dlaczego ludzie działają w pewien sposób, należy

wiedzieć jakie są ich wierzenia; secundo — działanie jest ograniczone przez normy będące wytworem ludzkiej woli; tertio — udzie są aktywni i ich wola wpływa na ich działanie. Nie neguję, że z punktu widzenia ewolucji rodzaju ludzkiego były to odkrycia doniosłe, wszakże przenika mnie wrażenie, że te odkrycia zdziałano już chyba w epoce kamienia łupanego. Tego rodzaju odkrycia są w socjologii na porządku dziennym. W znanej i uznawanej szeroko książce Eltona Mayo ,,The Human Problems of Industrial Civilisation'' czytamy na stronie 26: ,,Na ogół zmęczenie wzrasta w miarę jak osobnik zbliża się do granic swej wydajności''.

Parsons uważa się za dziedzica Maxa Webera, wielkiego niemieckiego socjologa, zmarłego w 1920 r., lecz między ich dziełami nie ma żadnego podobieństwa. Wielkość Webera polegała na wprost niewiarogodnej, zdumiewającej znajomości historii najrozmaitszych ustrojów społecznych i na umiejętności wysnuwania z niej socjologicznych uogólnień, umiejscowiających i tłumaczących rzeczywiste przebiegi społecznych zjawisk. W przeciwieństwie — w Parsonsa opus magnum ,,Social System'' nie ma żadnych aluzji do rzeczywistych zdarzeń. Teoretyka fakty krępują...

Ostatnio stało się modne powoływanie się na Webera i nawiązywanie do niektórych jego wypowiedzi — zwykle, niestety, najmniej wartościowych, bo dotyczących zagadnień filozoficznych, co do których Weber nie uchronił się od zgubnego wpływu metodologii nauk ,,duchowych'' (Geisteswissenschaftliche Methodenlehre) Rickerta i Dilthey'a. Lecz prawie nikt nie naśladuje Webera w tym, co stanowiło istotną wartość jego metody, mianowicie w opieraniu uogólnień socjologicznych na porównawczym studium ustrojów społecznych w najszerszym znaczeniu tego słowa, i szukaniu w ten sposób współzależności między różnymi dziedzinami życia społecznego, jak np. między charakterem religii a ustrojem gospodarczym; organizacją wojskową a uwarstwowieniem; strukturą władzy a rolą miast; społeczną pozycją prawników a zawartością przepisów prawnych.

Zarzuty mętności, banalności i skłonności do tautologii można też wysunąć, choć w mniejszym stopniu, pod adresem tzw. socjologii wiedzy. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że sama nazwa jest mylna, bowiem w istocie chodzi głównie o socjologię niewiedzy: rozpatruje się tam nie społeczne podłoże nauk ścisłych, lecz nastawienia i doktryny polityczne. Jest prawdą że w pismach Schelera i Mannheima znajduje się tu i ówdzie ciekawe spostrzeżenia i pomysły, wszelako jest ich mało w stosunku do masy wydrukowanych słów. Wydestylowana z mętwy słownej teza socjologii wiedzy sprowadza się do stwierdzenia, że interesy związane z pozycją społeczną wypaczają sąd i że ludzie skłaniają się do ideologii, która faworyzuje ich interesy. O tym pisał już Voltaire. Stosując do nich ich własne podejście można powiedzieć, że widzimy tutaj, jak zainteresowanie samoreklamą przywiodło tych autorów — którzy bądź co bądź dorzucili swych

kilka cegiełek do gmachu wiedzy — do zamącania umysłów mę nymi wywodami. Należy dodać, że eksponenci ,,Wissenssoziolo gie'' nie stanowią niebezpieczeństwa, ponieważ ta doktryn wyszła już z mody. Groźniejsze są nowsze dziwadła dynamik grup, socjometrii i cybernetyki...

Klasycy socjologii, jak Spencer, Durkheim, Pareto, Weber w Polsce Czarnowski i Krzywicki, zajmowali się zjawiskami ma sowymi, zaś w małych grupach, jak rodzina czy stowarzyszeni interesowało ich jedynie to co było wspólną cechą wielu takic zespołów, a więc zwyczaj lub prawo. Oczywiście że każda inte pretacja socjologiczna zakłada pewien pogląd na to co się zw kle dzieje w małych grupach, boć każda wielka zbiorowość je siecią małych. Lecz co do tego klasycy nie wychodzili poza ram zwykłego rozsądku. Z drugiej strony, ówcześni psychologow mieli nastawienie ściśle indywidualistyczne. Powstanie zaint resowania mechaniką małych zespołów było więc wielce pożąd nym wypełnieniem luki. Należy jednak stwierdzić, że już przynajmniej piętnastu lat przed powstaniem szkoły dynami grup wielu socjopsychologów i psychologów wychowania zacz ło badać małe grupy, dochodząc czasami do ciekawych wynikó Tak na przykład przy pomocy testów inteligencji wykryto, że samorzutnych zespołach inteligencja przywódców przewyższa przeciętną dla danego zespołu, lecz nie o wiele. Członkowie inteligencji dużo wyższej od przeciętnej pozostają bez wpływ a często w niepożądanym przez nich odosobnieniu. Aczkolwi niektórzy myśliciele o życiu politycznym już dawno doszli podobnych wniosków, nie uwłacza to doniosłości wspomniany badań — zamiast tezy opartej na impresjonistycznej obserwac mamy statystyczny dowód.

Pozwolę jeszcze sobie wspomnieć dla przykładu o ciekaw i pomysłowym eksperymencie, opisanym przez H.J. Eysencka ,,Sense and Nonsense in Psychology'' (Pelican Books). Człon kom jakiegoś małego zespołu dano kwestionariusz zawieraj m.in. spis rozmaitych cech charakteru, z prośbą o wykazan które z nich oni sami posiadają, a które znamionują drugi I okazało się, że ci, którym przypisano jakąś cechę, a któr się do niej nie przyznali, widzieli ją u wielu więcej członk zespołu, niż ci, którym tę cechę przypisano, a którzy się niej też przyznali, oraz niż ci, którym ani drudzy, ani oni sa sobie danej cechy nie przypisali. Ten eksperyment dostarc pierwszego statystycznego dowodu istnienia tendencji, nazw nej przez Freuda projekcją.

Widzimy więc, że można osiągnąć poważne wyniki na p studiów nad małymi grupami, choć nie jest to rzeczą łatwą a mam na myśli formułowanie uogólnień co do zachowania takich grup, a nie prosty opis jakiejś grupy dotąd nie opisane bo o to nie trudno.

Dokonywanie odkryć jest zawsze mozolne i nie każdo chętnemu dostępne, lecz tutaj piętrzą się specyficzne trud ści. Pierwszą z nich jest pewna doza adekwatności zwykł

rozsądku w sprawach dotyczących niewielkich liczb osób. Ludzie żyli od wieków w małych grupach i wyrobili sobie niejakie pojęcie o stosunkach międzyludzkich, wdrażane już przy uczeniu się mowy. I jakoś ludzie dają sobie radę... Dopiero w sprawach wielkich agregatów, gdzie umysł może objąć tylko znikomą część elementów i gdzie rozumować trzeba na wyższej płaszczyźnie abstrakcji, dopiero tam zwykły rozsądek całkowicie zawodzi. Bez techniki próbkowania statystycznego, opartej na rachunku prawdopodobieństwa, nie można sprawnie rozplanować zaopatrzenia milionów konsumentów, lecz gospodyni do sprawnego prowadzenia rodzinnej gospodarki statystyki nie potrzebuje. Poprawne kierowanie polityką skarbową wymaga zastosowania zasad wręcz sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem. Gdyby nie dowód Keynesa — kto by przypuszczał, że aby (w pewnych określonych warunkach) w końcu pozbyć się deficytu w skarbie państwa, należy zacząć wydawać szczodrzej... i takich paradoksów zachodzi więcej. A przecie do zarządzania skarbem pospolitego zaraczka teoria ekonomiczna nie jest potrzebna. Gdzie, jak w wielkiej polityce, umysł ludzki ciągle katastrofalnie zawodzi, każdy jaki bądź przyczynek do wiedzy jest ważny; gdzie, jak w sprawie manipulowania małymi grupami, wiadomo jest więcej, tam odkrycie musi być bardzo, nawet radykalnie nowe, aby miało wagę. Przy tym należy dodać, że powieściopisarze i moraliści już od dawna zajmowali się sprawami stosunków międzyosobowych i wielu z nich miało nadzwyczaj wnikliwy wgląd w te sprawy, tak iż samo sprecyzowanie i skatalogowanie ich poglądów dałoby, zdaje mi się, więcej niż wszystkie dotychczasowe zdobycze dynamiki grup, tym bardziej że na tym polu obserwacja naukowa jest nader utrudniona.

Dopiero po trzech stuleciach olbrzymich postępów fizyka natrafiła na pierwszą niepokonalną granicę poznania: mam na myśli zasadę niepewności Heisenberga. Z grubsza, polega ona na niemożności dokładnego zaobserwowania pozycji elektronu, albowiem fale świetlne lub inne odbijając się oń rzucają go w inną pozycję. Znaczy to, że obserwacja zmienia obserwowaną sytuację. Na tę trudność napotkała psychologia od początku. Co do introspekcji, to wiadomo że nie można myśleć o doznawanych przeżyciach i pozostawić je tym, czym byłyby gdyby się o nich nie myślało. Obserwując drugich, nieuchronnie wpływamy na ich postępowanie. A im mniejsza grupa, tym większy wpływ obserwatora. Jeżeli wybiorę się do Japonii aby zbadać tamtejsze obyczaje, to wątpię czy przez to wywrę na nie jakikolwiek wpływ, lecz jeśli się wprowadzę do jakiegoś domu aby podpatrzyć mechanikę niesnasek rodzinnych, to mogę sprawić, że one ustaną, zaś wszelka złość skieruje się na mnie. Normy, obowiązujące w danym społeczeństwie nie są, na ogół, strzeżoną tajemnicą, ale spontaniczna szczególność małej grupy zazwyczaj nią jest, a ona właśnie jest przedmiotem studiów nad małymi grupami.

Wobec wszystkich wyżej omówionych trudności zdawałoby

się, że tylko szczególnie pomysłowi i bystrzy uczeni powinn się zabierać do tego rodzaju badań. W rzeczywistości jest wręc przeciwnie : dziedzina ta stała się ziemią obiecaną niedouków Jednym z motywów jest zapewne poszukiwanie bezpieczneg terenu. Omawiając strukturę władzy, charakter elity, sita d boru społecznego, sposoby wspinania się po drabinie społeczne charakter i wpływ doktryn, podział bogactwa, itp., można si zawsze komuś narazić, nawet przy zachowaniu zupełnej obiek tywności i powstrzymaniu się od wartościowania, tzn. chwaleni lub ganienia. Lecz kto by się zgorszył wywodami na temat od czego zależy popularność przywódców małych grup?... n i bądź co bądź przywódcy małych grup nie są groźni. Prowad się tedy badania, których skromne wyniki rozgłasza się jako wie kie odkrycia, używając w tym celu dymnej zasłony mętniactw napuszonego żargonu, tautologii, niedorzecznych kwestiona riuszy i bezmyślnych statystyk. Oto dwa przykłady, zaczerpni te z książki George'a Homansa „The Human Group" : „Osoby które współdziałają często, są bardziej podobne do siebie co d swej działalności, niż do osób z którymi współdziałają mni często". — „Im częściej osoby współdziałają, tym silniejs mogą być uczucia wzajemnej przyjaźni". Te zdania przedst wione są przez autora jako ważkie odkrycia.

Już dawno zauważono, że organizm i społeczeństwo prze stawiają pewne analogie, a w drugiej połowie XIX wieku zb dowano kilka systemów socjologicznych, opierających się na t kich analogiach (Spencer, Schäffle, De Greef). Z drugiej stron pogląd na organizm jako na niezmiernie skomplikowaną masz nę datuje się już od Kartezjusza, i jest znany w biologii pod n zwą doktryny mechanistycznej. Skonstruowanie samoreguluj cych się automatów elektronicznych oraz ogromnych kalkul torów zbliżyło w pewnym stopniu maszyny do istot żyjących. M szyny te bowiem wykazują niektóre cechy dotychczas uważan jako swoiste istotom żyjącym : potrafią one poprawiać si „uczyć się", dążyć do określonego celu i wybierać do teg celu najodpowiedniejsze spośród wbudowanych w nie środkó Zauważono również analogie między tego rodzaju maszynami tworami społecznymi. W ten sposób powstała cybernetyka ja nauka o cechach, wspólnych wszelkim samoregulującym się s stemom. (Trzeba dodać, że niejednokrotnie cybernetyką nazyw się samą teorię budowy elektronicznych automatów). Warto oraz prawo do istnienia tej gałęzi wiedzy nie ulegają wątpliwośc Jest nawet prawdopodobne, że może ona pomóc socjologowi analizowaniu struktur społecznych, lecz to pod warunkiem, nie zapomni on, iż obok cech wspólnych systemy rozmaity rzędów mają cechy swoiste. Atoli tego rodzaju widoki nie tł maczą zapału do cybernetyki wśród socjologów i psychologó zapału dochodzącego do rozmiarów kolektywnej manii. Lud wprost się odurzają cybernetyczną terminologią, witają z w jątkowym entuzjazmem jako donośne odkrycia zwykłe powt rzenia uogólnień socjologicznych, znanych od dawna, skoro tyl

zawierają one należytą dozę cybernetycznych terminów. Najbardziej zapalczywi, jak można by się spodziewać, okazują się nie specjaliści od elektroniki, lecz ludzie którzy nie zanadto się na niej znają i dają się zwodzić homonimami. Weźmy przykład. Istnieje tzw. statystyczna teoria informacji, dotycząca telekomunikacji. Przez informację, na mierzenie której wypracowano logarytmiczną formułę, rozumie się, mówiąc ogólnie, nośność systemu przekazywania sygnałów. Według tej formuły stronica zawierająca przypadkowe litery mieści w sobie więcej informacji niż gdyby była zapisana zrozumiałymi zdaniami. Nie potrzeba zatem już więcej dowodzić, że słowo ,,informacja'' użyte jest w znaczeniu zupełnie innym od potocznego. A jednak ostatnio ciągle się spotyka w socjologii, zwłaszcza amerykańskiej, jakieś aluzje do teorii informacji. Aby ujrzeć do jakich absurdów można dojść w tym kierunku, trzeba wziąć książkę Karla A. Deutscha, profesora nauk politycznych w Massachusetts Institute of Technology, ,,Nationalism and Social Communication'', za którą otrzymał nagrodę uniwersytetu Harvard. Znajdziemy w niej m.in. definicję pojęcia, którego jeszcze żaden filozof nie potrafił zdefiniować: ,,Świadomość, powiada Deutsch, jest przetwarzaniem i retroregulacją (,,feedback'') wtórnych symboli''. Nacjonalizmu natomiast nie definiuje. Za to podaje równanie, z którego wynika, że nacjonalizm jest ściśle zdeterminowany statystycznie wymiernymi czynnikami (jak rozwój środków transportowych, liczba absolwentów szkół, itp.). Niestety nie wiadomo jak to sprawdzić, gdyż Deutsch nie mówi, jakim sposobem mierzyć nacjonalizm. Wszelako zrozumienie tego dzieło jest ułatwione następującą definicją : ,,Wola jest to zdolność stłumienia, częściowego lub zupełnego, dalszego uczenia się'' (,,Will is the ability to inhibit partially or wholly any further learning'').

Z nadużywaniem cybernetyki spokrewnione jest nadużywanie matematyki. Jeżeli statystykę zaliczyć do matematyki, to oczywiście matematyka swą przydatność dla socjologii już wykazała. A osobiście wierzę, że pewne działy matematyki będą pomocne w analizie struktur społecznych. Lecz trzeba pamiętać że matematyka jest systemem dedukcyjnym, pozwalającym na wyciąganie wniosków z pewnego rodzaju stwierdzeń ; sama przez się matematyka dokładności nie stworzy, albowiem to zależy od poprawności wymiarów początkowych. Jeżeli się podaje równanie różniczkowe na solidarność, przyjaźń, altruizm, spójność, wrogość itp. nie wskazując przy tym jakim sposobem te zmienne mierzyć, to taki przepis wolno po prostu poczytać za kuglarstwo.

Czemu to wszystko przypisać ? W pierwszym rzędzie, moim zdaniem, chęci socjologów i psychologów podszycia się pod uwielbiany płaszcz techniki i nauk ścisłych. Socjolog pokroju Czarnowskiego lub Krzywickiego, o wielkiej erudycji historycznej i filologicznej, o gruntownym przygotowaniu filozoficznym, dobrze obznajmiony ze stanem wielu współczesnych mu społeczeństw nie potrzebował się wstydzić braku większego matema-

tycznego wykształcenia. Natomiast przeciętny współczesny socjolog jest zwykle niedoukiem, nie znającym ani innych krajów, ani historii swego własnego, zaś w krajach anglosaskich zazwyczaj nie znającym innych języków. Wykonał on co prawda jakieś jedno badańko terenowe, może dwa, ale przecież każdy myślący człowiek, żyjąc, coś w rodzaju badań terenowych przeprowadza z samej życiowej konieczności. Czymże ów biedny socjolog usprawiedliwi swoje domaganie się respektu, należnego uczonemu? Więc odczuwa dotkliwie swą niższość wobec ludzi którzy budują rakiety, wynajdują antybiotyki, rozbijają atomy. Więc naśladuje przyrodoznawcę i technika w formach zewnętrznych : gdzie może używa ich terminów, stara się pokazać, że i jemu nie jest obca matematyka... na niektórych uniwersytetach amerykańskich zasiadając do biurka przywdziewa biały płaszcz laboratoryjny. Stwarza się w ten oto sposób błędne koło: bo im więcej przyrodoznawcę niemądrze naśladuje, tym mniejszą rzeczywistą wartość przedstawia, tym żałośniej doświadcza swej niższości i tym bardziej gorączkowo chwyta się cybernetyki.

Dochodząc do końca tego pobieżnego katalogu ,,wypaczeń'', postaram się pokrótce scharakteryzować socjometrię. Jest to dyscyplina nader wpływowa, licząca tysiące praktykantów w Ameryce i setki w Europie, oraz posiadająca swoje własne czasopismo ,,Sociometry''. Główne dzieło jej założyciela, Jakuba Moreno, obecnie dyrektora wielkiego Instytutu Socjometrycznego w Waszyngtonie, zostało przetłumaczone na niemiecki, przynajmniej częściowo na francuski i, o ile mnie pamięć nie myli, na hiszpański. Powodzenie zawdzięcza socjometria swej dwojakiej naturze, jest ona bowiem równocześnie terapią i nauką ścisłą. Najnowszą metodą terapeutyczną jest ,,teatr spontaniczności''. Ludzie wchodzą na scenę i robią tam co chcą, a to ponoć dobroczynnie oddziaływa na nerwy. Drugą metodą jest ,,psychodramat'', polegający na tym, że ludzie odgrywają fikcyjne sceny związane z ich osobistymi trudnościami : np. zazdrosny mąż odgrywa scenę przyłapania winowajcy na gorącym uczynku. Podobno to pomaga — co jest całkiem możliwe. Prócz tego jest jeszcze ,,socjodramat'', gdzie w grę wchodzą sprawy społeczne, np. niezadowolony pracownik odgrywa scenę, w której łaje swego przełożonego, wyklina kapitalistów, po czym czuje się lepiej.

Jako nauka ścisła socjometria sprowadza się do rysowania ,,socjogramów''. Robi się to w następujący sposób : bierze się jakąś grupę, np. klasę szkolną, lub zbiera się kilku ludzi i tworzy eksperymentalną grupę. Członków grupy mianuje się atomami. Następnie się pyta te atomy : który z którym chce lub nie chce się zadawać, albo który którego, i jak bardzo, lubi czy nie lubi. Potem rysuje się kółka oznaczające te atomy, oraz strzałki przedstawiające ich wzajemne przyciąganie i odpychanie; z czego widać, czy dana grupa jest zogniskowana wokół jednego atomu, czy dwóch, lub wcale nie, oraz które atomy są odizolowane. W swoim dziele ,,Who shall survive?'' Moreno wyznał, że miał dwóch prekursorów : Jezusa i Sokratesa, którzy

ponoć nieświadomie uprawiali psychodramaty i socjodramaty. Dochód dyr. Moreno jest jednakże znacznie wyższy.

Podany opis myślowych wypaczeń przedstawia się deprymująco. Czy prawdą jest, wobec tego, że socjologia przeżywa stan zupełnego upadku? Na szczęście wyłania się odpowiedź przecząca. Bo nade wszystko wiedza utrwalona w publikacjach nie ginie — kto chce, ten może zdobycze klasyków sobie przyswoić. A także, pomimo pewnego obniżenia się przeciętnego poziomu — cenne przyczynki do wiedzy pojawiały i pojawiają się tu i tam, aczkolwiek trudno ich się doszukać pod stosami tandety. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że pewne złudzenie perspektywiczne wyolbrzymia rozmiary obniżenia się przeciętnego poziomu, które, jak sądzę, rzeczywiście nastąpiło. Mam na myśli to, że spośród dawnych pisarzy czytamy mistrzów, których wartość przeszła próbę zniknięcia ich osobistych wpływów i przyjaciół, czasami nawet zupełnego zapomnienia oraz zmian okoliczności i mód, i porównujemy ich często z przereklamowanymi miernymi autorami współczesnymi, a wszak miernych autorów, niezasłużenie zachwalanych, było i dawniej niemało. Któż czyta teraz Benjamina Kidda albo Adama Müllera? Można się pocieszyć, że jedynie rzetelna myśl jest kumulatywna — jedno rzetelne odkrycie dopomaga drugiemu, — podczas gdy doktryny, manie i bałamuctwa nawzajem się zwalczają i unicestwiają. Ta różnica wydaje się być jedną z głównych podstaw postępu, tak iż dopóty istnieje jakiekolwiek podłoże społeczno-ekonomiczne i jaka taka wolność publikowania, pewien postęp zawsze się okazuje. Sytuacja nie jest, w samej rzeczy, zadowalająca, lecz nie jest też zupełnie beznadziejna.

W końcu trzeba pamiętać, że istnieją również inne nauki społeczne, gdzie sytuacja przedstawia się lepiej aniżeli w socjologii i psychologii — są to ekonomika i nauki administracyjne. Co do pierwszej nie ulega wątpliwości, że w ciągu ostatnich 50, czy 20, bądź 10 lat nie tylko że zasób wiedzy poważnie wzrósł, ale nawet przeciętny poziom rozumowania podniósł się. Ażeby to sobie uzmysłowić należy tylko porównać stare i nowe podręczniki.

Ściśle biorąc ogólna nauka o administracji nie jest szeroko uprawiana. W związku z tradycyjnym podziałem na sprawy prywatne i państwowe traktuje się z osobna dwa główne jej działy: naukę o administracji przemysłowej (po angielsku ,,management studies'', po francusku ,,administration industrielle'', po niemiecku ,,Betriebswirtschaftliche Organisationslehre'') oraz naukę o administracji państwowej (,,public administration'', ,,droit administratif'', ,,Verwaltungslehre''). (O tzw. naukach politycznych trudno nawet mówić, gdyż panuje zupełna niezgoda co do znaczenia tego terminu. Jedni (np. Maurice Duverger) nazywają nauką polityczną obiektywne, nie wartościujące, generalizujące badanie zjawisk politycznych, czasami zwane również socjologią polityczną lub politykologią czy politologią; drudzy traktują naukę polityczną jako etyczną doktrynę, inni jako

historię takich doktryn, inni wreszcie jako kazuistykę prawa konstytucyjnego. Wyłącznie u pierwszych widać pewien postęp).

W nauce o administracji przemysłowej posunięto się naprzód daleko, choć tutaj też, oczywiście, bez bałamuctwa się nie obyło. Więcej nawet — tutaj stworzono nową dziedzinę wiedzy: teorię sztuki organizowania i administrowania. 50 lat temu niczego takiego nie było, a owa sztuka opierała się wyłącznie na tradycji i intuicji. Teorie Taylora, których większość dziś brzmi dość naiwnie, dotyczyły tylko kilku wąskich zagadnień. Zasługa przypada prawie że wyłącznie Amerykanom. Lepsze spośród nowych podręczników amerykańskich stanowczo przewyższają wszystko co istniało w tej dziedzinie przed drugą wojną światową, nie mówiąc już o początkach obecnego stulecia. Dla przykładu wymienię tylko dwa: B.H. Newmana ,,Administrative Action'' oraz Koontza i O'Donnella ,,Principles of Management''. Podobnie przedstawia się sytuacja w nauce o administracji państwowej, co do której pozwolę sobie odwołać się do dwóch prac, które uznać można, moim zdaniem, za szczyt dotychczasowych osiągnięć: Simon, Smithburg i Thompson ,,Public Administration'' oraz Paul Meyer ,,Excutive Action''. Pod kątem widzenia podłoża społecznego tych nauk ważnym jest pamiętać, że główny impuls wyszedł od administracji przemysłowej. Być może, że zainteresowanie konkretnymi, stosowalnymi wynikami zahamowało w pewnej mierze bałamuctwo, jednak równocześnie, niestety, zacieśniając problematykę.

Zanim przejdę do omówienia (oczywiście pobieżnego) społecznych czynników, wpływających na charakter socjologii współczesnej muszę dorzucić parę słów na temat metod badawczych. Tutaj także zrobiono z igły widły. Czytając wywody na ten temat mogłoby się wydawać, że odkryto w tej dziedzinie jakieś sposoby odpowiadające ważkością technice rozbijania atomów. Tak nawet dosłownie napisał socjolog angielski Fogarty. W rzeczywistości — nic podobnego! Ulepszono trochę kwestionariusze, technikę robienia wywiadów i analizę statystyczną danych. W kluczowych zagadnieniach socjologii pomogło to niewiele. Przeciwnie, doprowadziło to do zmechanizowania badań, ,,odwalanych'' według szablonu. Uwielbiając ankietowe formularze zapomniano, że podstawową metodą nauki jest myślenie.

Zakładając słuszność powyższych wywodów należy rozważyć pytanie: dlaczego się tak dzieje? Niektórzy przypisują słabe tempo rozwoju teoretycznej socjologii samemu nagromadzeniu wiadomości o faktach życia społecznego. Mówią oni, że dawniej łatwiej było teoretyzować, ponieważ luki w danych można było wypełniać fantazją, lecz im więcej obserwacji tym trudniej wymyślić teorię, która by się z nimi zgadzała. Aczkolwiek nie jest to opinia bezpodstawna, nie uważam jej za słuszną, gdyż bogactwo obserwacji pozwala prędzej wykryć hipotezy błędne, które mogłyby zwieść badaczy na manowce. Wiedza ma charakter kumulatywny, zaś niewspółmierność osiągnięć z zainwestowanymi środkami ma źródło w podłożu społecznym socjologii.

Samą powódź nędznych publikacji wytłumaczyć nie trudno. Po pierwsze, grafomania nie jest skłonnością rzadką. Amatorów na sławę naukowca, a przynajmniej na katedrę uniwersytecką nie brak. Zwłaszcza, że w tym zawodzie, jeśli się chce, można prawie nic nie robić, a w najgorszym razie trzeba pracować tylko do czasu otrzymania katedry. Co nie pozwala tego rodzaju ludziom zapartaczyć na przykład chemię? Jedynie istnienie ustalonych sprawdzianów wartości i metodologicznego rygoru. Zanim taka dyscyplina w chemii się zakorzeniła, było w niej pełno alchemików-czarowników. Poza tym w nauce ścisłej każdy kto posiada dość zdolności i pilności aby się jakiejś jej części nauczyć, może oddać pewne usługi. Dobry fizyk różni się od słabego rozległością myślowego horyzontu i zdolnością wynalazczą, lecz obydwaj mają pewien zasób pożytecznej wiedzy. Natomiast na bezdrożach nauk niedorozwiniętych trzeba mieć wydoskonaloną zdolność krytyczną, aby nie dać się uwieść najrozmaitszym ułudom. Z tego wynika, że trudno być socjologiem pośredniej jakości, i jest się albo dobrym, albo złym; dalej, że różnica między jednym a drugim nie polega (jak u fizyków, matematyków itp.) na rozległości wiedzy, lecz przede wszystkim na tym, że poglądy pierwszego mniej więcej odpowiadają rzeczywistości, podczas gdy umysł drugiego plącze się w fantasmagoriach.

Podobnie jak złoto idzie do złota, tak dobra metoda i przemyślna teoria przyciąga ludzi zdolnych, — zła metoda i bałamutne teorie ich odpychają, a ściągają naiwnych i tępych. I tworzy się w ten sposób błędne koło: zły narybek jeszcze bardziej zabagnia daną dziedzinę, co dalej pogarsza jakość narybku, itd. Wszakże na tym nie koniec, bowiem podobne błędne koła powstają zarówno w selekcji i promocji, jak w ogólnej atmosferze.

Można sformułować prawo socjologiczne, że w sytuacjach konkurencji intensywność intryganctwa zależy od obiektywności sprawdzianów osiągnięć. Bokser intrygą sobie zwycięstwa nie zapewni, więc bokserzy nie intrygują. Aktorzy natomiast — jak najbardziej, bowiem ocena ich wartości jest subiektywna. Dlatego też literaci intrygują bardziej niż matematycy, historycy bardziej niż technicy. Atmosfera intryg wabi intrygantów, zaś odpycha rzetelnych pracowników. Na domiar tego intryganctwo wypacza dobór na przodujące stanowiska, co ma dwojakie złe skutki. Najpierw, zniechęca ludzi do rzetelnej pracy. Co prawda dla stworzenia czegoś rzeczywiście wartościowego potrzeba umiłowania pracy, jednak pożądanie jakiejś nagrody też gra pewną rolę. Szczególnie odnosi się to do ludzi, którzy tak czy inaczej do szczytów intelektu wznieść by się w żadnym wypadku nie zdołali, lecz którzy mogliby jednak jakiś mały pożyteczny przyczynek dorzucić. Świadomość, że za pracę nie ma kołaczy a za intryganctwo i pochlebstwo są, działa deprawująco, tym więcej, że pracownicy niezbyt wysoko stojący mogą wykonywać pożyteczną pracę jedynie pod światłym kierownictwem, o które w takich warunkach trudno.

Intryganctwo, jak też nierozumny konserwatyzm, nie są na uczelniach i instytucjach zjawiskami nowymi, lecz ich szkodliwość wzmaga się przez połączenie z nowym fenomenem biurokratyzacji. Typ roztargnionego profesora, z myślami w obłokach, nie zwracającego uwagi na bezpośrednie otoczenie, zanika; jego miejsce zajmuje administrator. Profesor fizyki na uniwersytecie Cambridge, dzierżący katedrę niegdyś zajmowaną przez Rutherforda, wyraził się przy sposobności, że profesor ma tak samo mało czasu na badania jak arcybiskup na modlitwę. Pewien profesor socjologii w rozmowie ze mną sam siebie określił jako ,,dobrze płatnego administratora''. Idą w tym szeregu dyrektorzy instytutów badawczych, administratorzy uniwersyteccy, dyrektorzy fundacji rozdających pieniądze. Powstaje więc sytuacja taka, że ci którzy myślą o problemach nauki, są kierowani przez ludzi którzy myślą głównie o administracji. A wiadomo że administrator i myśliciel są na ogół typami przeciwstawnymi. Ten stan rzeczy powoduje trudności nawet w naukach ścisłych. Podnoszą się głosy wśród fizyków, protestujące przeciwko ograniczaniu wolności twórczej przez biurokratów. Lecz tam siła dobrej tradycji i oczywistość sprawdzianów uniemożliwiają pojawianie się wyskoków jakie się widzi w naukach społecznych. Tutaj biurokrata jeśli zapragnie wykazać się, że jego ludzie pracują, kładzie nacisk po prostu na ilość, tępiąc przy tym wszelkie zajmowanie się problemami drażliwymi. Badacze stypendyści, i pracownicy instytutów muszą pisać, i to dużo. W wielu amerykańskich instytutach doktorantom i młodszym wykładowcom przyznaje się punkty, liczące się do promocji proporcjonalnie do liczby opublikowanych słów.

Pisanie aby się wykazać ilością, nie tylko wdraża zgubne nałogi, lecz zarazem ludzi kompromituje. Mam na myśli tę ewentualność, że jeżeli ktoś przez 10 czy 20 lat pisał niedorzeczności w tym celu aby się wykazać, to otrzymawszy zapewnione stanowisko brnie dalej, albo przestaje pracować w ogóle, albo skierowuje swe zainteresowania w stronę administracji lub wewnętrznej polityki. Trudno mu się bowiem przyznać, że przez tyle lat bzdurzył dla kariery lub zwyczajnie dla chleba.

W płaszczyźnie zbiorowej odpowiada temu wytwarzanie się czegoś w rodzaju dogmatyzmu: każda grupa, która legitymuje swą pozycję społeczną posiadaniem pewnej wiedzy, uważa każdą krytykę jej doktryny za atak przeciwko sobie, a im słabiej ta doktryna jest oparta na logice faktów, tym silniejsze są skłonności inkwizytorskie.

Zurzędniczenie życia umysłowego nie wypływa wyłącznie ze wzrostu zapotrzebowania na naukowców. Odwrotną stroną tego procesu jest zjawisko zanikania ludzi niezależnych finansowo, wśród których obok darmozjadów mogliby się znaleźć uczeni, mogący się poświęcić pracy nad budową doskonalszej socjologii, nawet jeśliby taka się nie podobała zarządcom fundacji. Trzeba pamiętać, że nauki ścisłe powstały dzięki wysiłkom amatorów; uniwersytety bardziej przeszkadzały niż pomagały. Co prawda

samo istnienie warstwy ludzi materialnie niezależnych jedynie umożliwia, lecz nie zapewnia pojawienia się niezależnie myślących uczonych. Mimo to takim ludziom łatwiej jest stworzyć naukę, która nie jest popierana przez posiadaczy władzy i bogactwa, lub gdzie oficjalnie popierana doktryna jest bezpłodna. Zanik tego rodzaju ludzi jest związany z koncentracją przemysłu i handlu tudzież z rozrostem kontroli państwa nad życiem społecznym w ogóle. Analiza tych zjawisk zaprowadziłaby nas za daleko. Zaznaczę tylko, że całe to zagadnienie łączy się z katastrofami, które nawiedziły kontynent europejski. Boć dobra socjologia była wytworem zachodniej części tegoż kontynentu. Faszyzm zniszczył pomyślnie się zapowiadającą socjologię włoską. Hitler zniweczył piękne intelektualne tradycje niemieckie, które, w przeciwieństwie do gospodarki, nie odżyły w zupełności. Francuzi utracili wiarę w swą wielką tradycję. Powstałe w ten sposób vacuum zostało wypełnione wpływami amerykańskimi, a więc wpływami kraju, gdzie poziom szkolnictwa nie może uchodzić za wzorowy i gdzie górującym miernikiem wszelakich wartości jest pieniądz.

Czy z tych wszystkich rozważań musimy wyciągnąć posępny wniosek, że koniunktura na socjologię przeminęła? że jest ona ofiarą poronienia? Być może. Aczkowiek otwartą pozostaje możliwość, że pewien postęp nastąpi pod naciskiem potrzeb administracyjnych, ale prawdopdobnie nie będzie ten postęp tak szybkim, jak można było rokować 50 lat temu.

Źle byłoby, gdyby przedstawione wywody miały odstraszyć inteligentnych ludzi od czytania literatury socjologicznej. Lecz jakże ma odróżnić plewy od ziarna ktoś nie rozporządzający czasem na żmudne analizy? W wyrobionych dziedzinach wiedzy sprawa jest dość łatwa: nie wtajemniczony czytelnik pokłada swe zaufanie w pozycji i tytułach naukowych autora. Jednakże w socjologii czy psychologii posiadanie przez autora tytułu doktorskiego lub zajmowanie przezeń katedry uniwersyteckiej, albo nawet prezesostwa stowarzyszenia socjologicznego nie daje żadnej gwarancji, że to co on pisze ma jakąś rzeczywistą wartość. Jakichże więc kryteriów może nie-specjalista używać aby się zorientować, co warto czytać? Rzecz oczywista, że naprawdę dobrego zmysłu krytycznego w żadnej dziedzinie niesposób zdobyć tanim kosztem, tak iż może chodzić tutaj jedynie o pewne wskazówki, które by jako tako pomogły czytelnikowi uniknąć straty czasu na czytanie bezwartościowych publikacji (1). Najważniejszą cechą, której brak powinien wzbudzić podejrzenie, jest jasność. Lecz jak odróżnić niezrozumiałość wynikającą z niewiedzy czytelnika od niejasności? Na ogół można postawić diagnozę braku jasności jeżeli: po pierwsze, autor używa neologizmów lub

(1) Załącznik bibliograficzny do mojej książki pt. Military Organization and Society (International Library of Sociology, Routledge & Kegan Paul, Londyn 1954) zawiera pewną ilość ocen krytycznych dzieł z dziedziny socjologii ogólnej.

nowych określeń nie definiując ich; po drugie, nie daje konkretnych przykładów ilustrujących abstrakcje, którymi się posługuje; po trzecie, używa wielu słów bez potrzeby. O bezpodstawność uogólnień można posądzić autora, jeżeli nie używa emiprycznego materiału dowodowego; o jałowość — jeżeli podaje sam empiryczny materiał bez wzmianki o teorii. Poza tym, stosownie do powiedzenia: ,,Le style c'est l'homme'' = ,,Styl to człowiek'', powinniśmy odnosić się podejrzliwie do autora piszącego w stylu napuszonym lub zachwalającego swą erudycję przez niepotrzebne cytaty, lub też używającego bez umiaru terminów zapożyczonych z nauk przyrodniczych.

Na koniec kilka słów o możliwościach socjologii w Polsce. Los socjologii polskiej znajduje się pod wpływem przeciwstawnych sił. Z jednej strony, niezadowolenie z istniejącego ustroju i niewiara w obowiązującą ideologię, sprzyjają rozpowszechnianiu zainteresowań naukami społecznymi. Z drugiej strony, nacisk partyjnego biurokratycznego aparatu ukraca wolność myśli i odstrasza ludzi od niebezpiecznych nauk. Nie wydaje się, aby w bliskiej przyszłości powstały tam warunki — nie mówiąc już o zachęcie — pozwalające na kultywowanie socjologii wielkiego stylu. Wprawdzie można sobie wyobrazić ustrój biurokratyczny, odpowiadający absolutyzmowi oświeconemu, który by nie korzystał z doktrynalnej obłudy, wszakże nie jest prawdopodobne, by tego rodzaju system rozwinął się w Polsce w niedalekiej przyszłości. Wątpliwe jest również, aby w obecnych warunkach inteligentni i uczciwi ludzie garnęli się do zawodu, w którym w każdej chwili mogą być zmuszeni do kłamania. Ale powiedzmy, że i w przyszłości trochę takich ludzi się znajdzie. Co można by im poradzić? Jak powinni oni socjologię uprawiać, ażeby coś pożytecznego zrobić i jak najmniej kłamać? Poza niedrażliwymi analizami podstawowych pojęć — takich jak np. struktura społeczna, grupa, działanie zbiorowe itp. ogólna teoria socjologiczna jest wykluczona, możliwa natomiast jest, jak sądzę, teoria działania administracyjnego, bowiem zajmuje się ona sprawnością działania niezależnie od jego celów. Być może, że byłaby możliwa socjologia porównawcza, operująca materiałem historycznym, lecz rozmyślnie wykluczająca zagadnienia zarówno rozwiniętego kapitalizmu (z wyjątkiem ciemnych jego stron, traktowanych w izolacji) jak też, oczywiście, ludowej biurokracji. Nawet przy takich ograniczeniach trzeba by wybierać tematy niedrażliwe. Pozostaje także badanie małych grup, gdzie doktryny marksistowskie dotychczas nie zostały zastosowane. To samo można powiedzieć o badaniach opisowych; można będzie, przypuszczam, prowadzić badania nad rodziną, przystosowaniem się ludzi do pracy, ruchliwością międzyzawodową, socjologicznymi czynnikami w sprawach demograficznych, itp. To wszystko na razie, i to pod warunkiem, że nie spadnie miecz Damoklesa.

*Stanisław Leonard ANDRZEJEWSKI*

# Fragment z dziennika

*Środa*

W Tandilu jestem najznakomitszy! Nikt nie może równać się ze mną! Ich siedemdziesiąt tysięcy — siedemdziesiąt tysięcy podlejszych... Obnoszę głowę moją, jak lampę...

*Czwartek*

Rosnę w Polsce. Rosnę i gdzie indziej. Tam w kraju rodzą się akurat teraz ,,Ślub'' i ,,Trans-Atlantyk'' — i tom obejmujący wszystkie moje opowiadania, nazwany ,,Bakakajem'' (na pamiątkę ulicy Bacacay w Buenos Aires, na której mieszkałem). Francuski przekład ,,Ferdydurke'' na ukończeniu. Pertraktacje w sprawie francuskiego i hiszpańskiego wydania ,,Dziennika''. ,,Iwona'' ma być grana w Krakowie i w Warszawie. Korespondencja w sprawie wystawienia ,,Ślubu''. Lawina artykułów i wzmianek w prasie krajowej. Ha, już to ruszyło, już jeden drugiego będzie podbechtywał — proces wyolbrzymiania mego na długie lata zapewniony! Gloria! Gloria! G...! G....! Tandil!

*Piątek*

Przemiłe zjadłem śniadanko... ,,Zanudzisz się na śmierć w Tandilu''... Poszedłem z tej rozpaczy na odczyt Filefotta o symfoniach Beethovena. Filefotto, nos kartoflowaty na twarzy, jak bułka, z uśmiechem pobłażliwej ironii mówił: — Są tacy co uważają, że głuchota mistrza spowodowała jego talent. Nonsens, panie i panowie, absurd! Głuchota nie spowodowała talentu. Talent powstał w nim na skutek rewolucji francuskiej, to ona otworzyła mu oczy na socjalną nierówność!

Mnie uśmieszek zmienia się w grymas. Znowu ! I widzę Beethovena w rękach, jak bułeczki, Filefotta, widzę jak on nim niczym pałką, rozbija Nierówność. O, Beethovenie w rękach Filefotta !

A jednocześnie w głębszych pokładach mej istoty coś jak zadowolenie, jak wyzwalająca uciecha na myśl, że niższy może posługiwać się wyższym.

*Sobota*

Wczoraj, kiedy pisałem, otworzyły się drzwi i weszła Ada Lubomirska, mała, maleńka, drobniutka — skurczona do mikroskopijnych rozmiarów bladym przerażeniem. Jest po operacji. Ledwie zipie. Namawiałem ją w Buenos Aires żeby przyjechała na ,,nachkur'' tutaj, jak tylko będzie mogła się ruszać. Oto jest. Henryk, jej mąż, zjawi się za kilka dni, a póki co Ada zanurza się w grozie. ,,Skąd mi się wzięło, że tu jestem ? Co ja tu robię ?!'' Poszliśmy na kawę do cukierni. ,,Boże, co to za cukiernia ?'' ,,Ado, opamiętaj się...'' ,,Nie mogę się opamiętać. Dlaczego tu jestem ?''. ,,Dobrze byłoby abyś nieco oprzytomniała...''. ,,Nie mogę oprzytomnieć, bo jeszcze tu nie jestem. Co to za kawa ?'' ,,To kawa taka sama jak gdzie indziej''... ,,Jaka tam taka sama... Co to za koń ?''. ,,Koń jak koń, zupełnie zwykły, przecież widzisz''. ,,Ten koń nie jest zwykły, *bo ja jeszcze tu nie zamieszkałam !''*

*Środa*

Nie wiedziałem, co robić, przypomniałem sobie że N. N. (właściciel bazaru) zaprosił mnie na kolację, poszedłem... żeby spróbować szczęścia, a nuż się uda... Ale na mój widok ogłoszono zbrojne pogotowie, podwojono straże, wytoczono działa!

Miałem wrażenie, że szturmuję obronną pozycję. Pan domu za parapetem sztucznej dobroduszności. Pani domu i jej ciotka, Raquel, stara panna, na szańcu pryncypiów św. katolickich z bronią gotową do strzału na wypadek gdybym podpuścił jakieś bluźnierstwo (z tymi intelektualistami nic nie wiadomo !). Panna opancerzona zdawkowymi uśmiechami i częstująca sałatą. Syn, inżynier, w miękkiej koszulce, pulchny, schludny, z wąsikiem, z pierścionkiem, z zegarkiem, komfortowy — arcydzieło samowystarczalności.

*Piątek*

Tak... Burżuazja jest nieufna. A proletariat ? Nie rozumiem ! Nie mogę zrozumieć ! Ach, przez pół godziny co najmniej starałem się ,,zrozumieć'' robotnika, stojącego na rogu

wgapionego w róg przeciwległy. Co, jak on myśli? Jakie i jak mu się snują wątki? Nie da się. Istnieje luka jakaś przeklęta — jakaś dziura w nim, przez którą nie sposób się przebić. Dlaczego tak dobrze, bez żadnych trudności, wczuwam się w dzieci, w młodzież proletariacką — a dorosły chłop, czy robotnik, są zablokowani dziwną pustką, okropną próżnią?...

*Niedziela*

Spójrz na nich, na ,,familias'', okrążające plac niedzielnym spacerem. Ich krążenie! Nie do uwierzenia, że mogą tak krążyć! To przypomina ruch elementarny planet i cofa o miliony lat w strefę prabytu. Aż przestrzeń sama wydaje się zakrzywiona po einsteinowsku, gdy oni posuwając się wciąż powracają. Rozlazłość tego pochodu! Twarze zacne, spokojne, mieszczańskie, rozświetlone oczami włoskimi, hiszpańskimi, oraz zębami, które wyzierają z ust przyjaznych — i tak spaceruje sobie ta przyzwoita drobna burżuazja z żonami i dziećmi...

Żołnierze!

Kolumna drgająca od rytmicznego łoskotu obutych nóg wkracza z ulicy Rodriguez. Wdziera się w plac, jak uderzenie. Kataklizm. Urywa się spacer, wszyscy pędzą aby podziwiać! Plac jakby z nagła ożył... ale jakąż hańbą! Ha, ha, ha — niech mi wolno będzie uśmiać się — ha, ha, ha, ha! Wdarły się nogi, wzięte za mordę, i ciała, wsadzone w mundur, niewolnicze, spojone nakazanym ruchem. Ha, ha, ha, ha, panowie humaniści, demokraci, socjaliści! Wszak cały porządek społeczny, wszystkie ustroje, władza, prawo, państwo i rząd, instytucje, wszystko oparte jest na tych niewolnikach, ledwie wyrośniętych z dzieci, których wzięto za twarz, zmuszono by zaprzysięgli ślepe posłuszeństwo (bezcenna hipokryzjo tej przymusowo-dobrowolnej przysięgi!) i przysposobiono by zabijali i dawali się zabijać. Generał rozkazuje majorowi. Major rozkazuje porucznikowi. Po czym twarde dłonie zaprzysiężonych i wytresowanych parobków ujmują za karabin i zaczynają walić.

Ależ wszystkie ustroje, socjalistyczne czy kapitalistyczne, ufundowane są na niewolnictwie i, na domiar, młodym — panowie racjonaliści — humaniści, ha, ha, ha, panowie demokraci!

*Wtorek*

Wiele z tego co mi się zdarza w Tandilu jest niejasne... ciemne... jak to co mi się przytrafiło z Ricardonem. Poznałem go w kawiarni, spokojny pan w średnim wieku. Powiedział: — Gombrowicz? A, książek pana nie znam, ale czytałem o panu. Mallea (pisarz argentyński) wspomniał o panu w ,,Leoplanie'' (tygodnik).

— Rzeczywiście. Ale to było piętnaście lat temu.

— Właśnie. Coś koło tego.

— Ależ to było tylko jedno zdanie — o ile przypominam sobie — tylko w jednym zdaniu zatrącił o mnie...

— Właśnie. Jedno zdanie. Nazwisko pana utkwiło mi w pamięci.

— Ależ to niemożliwe, żeby pan to piętnastu latach przypomniał sobie taką wzmiankę bez znaczenia i w dodatku dotyczącą autora, którego pan nie czytał!

— Nieee... Dlaczego? Jakoś tak utkwiło mi...

??????? Ciemność. Mur. Nic nie rozumiem. Nie pytam więcej, bo wiem że niczego się nie dowiem. Ogarnia mnie słabość...

*Środa*

Wiele z tego co mi się zdarza w Tandilu jest takie... niewyjaśnione, jakby wynikające z rozminięcia się mego z rozmówcą. Opar niedopowiedzenia między mną a nimi. Mnożą się zagadki. Jestem tu stokrotnym cudzoziemcem i obcość noszę w sobie. Mnożą się pomyłki. Moje kontakty z nimi są ostrożne i zdawkowe. Straciłem zręczność — wiem że jestem niezgrabny — i prawie kryję się z sobą. Oni też kryją się z sobą.

Rośnie więc zasłona, dym... Rośnie nieśmiałość... Wstaje ciemność podwójna, złożona z ich i mego wstydu. Wstyd — gdy się dowiedzą, że jestem pisarzem, kurczą się jak ślimaki włażący pod skorupę. Wstyd — ja wstydzę się, bo jestem sam przeciw tysiącom.

Półmrok, zasłona, ciemność, dym, nieśmiałość — jak w kościele, jak przed ołtarzem o rosnącej tajemnicy...

*Czwartek*

Największa świętość nasza zawarta jest w najzwyklejszej naszej pospolitości. Świętość? Nie wstydzę się tego słowa tylko gdy je umieszczam w czymś trywialnym, będącym właśnie jego przeciwieństwem.

*Piątek*

Nie ja pierwszy pragnę doszukać się Bóstwa w tym, czego znieść nie mogę... dlatego, że nie mogę znieść...

Na jednym ze wzgórz, u wylotu avenidy Espania, wznosi się krzyż olbrzymi, który panuje nad miastem — które to miasto, wskutek tego, staje się rodzajem anty-nabożeństwa, rozwałkonionego, rozbyczonego w kpiąco-bezwstydnej Nijakości, zadowolonej z siebie i zaśmiewającej się w kułak... coś jak parodia i tandeta... Niskie, rozchichotane misterium — ale niemniej święte (po swojemu) od tamtego, wysokiego.

*Sobota*

Strzeliste pnie lasu eukaliptusowego, wyrastającego ze zbocza rozoranego głazami, są jak z kamienia — i góra, las, liście, wszystko skamieniałe, uroczyście kamienna cisza nawiedza ten bezruch smukły i czysty, suchy i przejrzysty, rozjaśniony plamami słońca. Cortes i ja posuwamy się ścieżką. Grupy rzeźbione w marmurze obrazują historię Golgoty, całe to wzgórze poświęcone jest Golgocie i nazywa się „Calvario". Chrystus upadający pod ciężarem krzyża — Chrystus chłostany — Chrystus i Weronika... cały lasek pełny jest tego ciała udręczonego. Na czole jednego z Chrystusów wypisane ręką jakiegoś adepta Cortesa: Viva Marx! Cortes, rzecz jasna, nie przejmuje się zbytnio figurami Męki Pańskiej — on, materialista — i wykłada mi żarliwie inną świętość, a mianowicie komunistycznej walki ze światem o świat, że człowiek nie ma innego wyboru jak tylko podbić świat i „uczłowieczyć" go... jeśli nie chce pozostać na wieki komicznym i wstrętnym jego pajacem, ohydną naroślą... Tak, mówi, zgadzam się z panem, człowiek jest anty-naturą, ma on własną naturę osobną, jest, z natury swojej, w opozycji — nie możemy zatem uniknąć rozgrywki ze światem, albo zaprowadzimy w nim nasz, ludzki, porządek, albo staniemy się na wieczność całą patologią i absurdem bytu. Gdyby nawet miała to być walka beznadziejna, ona tylko jest zdolna urzeczywistnić nasze człowieczeństwo wraz z jego godnością i pięknością — reszta prowadzi do upokorzenia... To credo wzbija się i dosięga szczytu, gdzie króluje ogromny Chrystus na krzyżu; ja stąd, z dołu, widzę poprzez eukaliptusową strzelistość ramiona i nogi przybite gwoździami do drewna; notuję na boku, że ten Bóg i ten ateista mówią właściwie to samo...

Już prawie dochodzimy do krzyża. Patrzę spod oka na ciało umęczone wątrobą, jak Prometeusz (na tym polega przede wszystkim tortura krzyża, na okropnych bólach wątroby). Uprzytamniam sobie niechętnie całą *nieustępliwość* drzewa krzyżowego, które *nie jest w stanie* pofolgować wijącemu się ciału ani na milimetr i *nie może* przerazić się męczarni, nawet gdy ona przekracza ostatnie granice stając się czymś już *niemożliwym* — ta gierka między absolutną obojętnością drzewa torturującego i bezkresnym naporem ciała, to rozmijanie się wieczne drzewa i ciała ukazuje mi, jak w błysku, okropność naszego położenia — świat rozłamuje mi się na ciało i krzyż. Tymczasem tu, obok mnie, ateistyczny apostoł, Cortes, nie przestaje głosić konieczności tej samej walki o zbawienie. „Proletariat!". Patrzę spod oka na ciało Cortesa, chude, marne, nerwowe, w binoklach, poczwarne i kaprawe, z wątrobą zapewne rozbolałą, udręczone brzydotą, tak przykro, tak podle odpychające — i widzę, że on także jest ukrzyżowany.

Jestem więc jak wzięty we dwa ognie przez te dwie tortury, z których jedna boska, a druga bezbożna. Ale obie krzyczą: walczyć ze światem, zbawić świat — znów tedy człowiek porywa

się na *wszystko*, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, zbuntowany a Idea uniwersalna, kosmiczna, wszechobejmująca wybucha z po tęgą... Przede mną, w dole, miasteczko, skąd słychać trąbki samochodów i dźwięki życia doraźnego, ograniczonego i krótkowzrocznego. Ach, umknąć z tego miejsca wyniosłego tam, w dół! Brak mi powietrza tu, na górze, między Cortesem a krzyżem. To tragiczne, że Cortes przyprowadził mnie tutaj aby recytować innymi, czyli bezbożnymi, ustami tę samą religię absolutną, krańcową, powszechną, tę matematykę Wszechsprawiedliwości, tę Wszechczystość!

Wtem na lewej nodze Chrystusa widzę napisane: „Delia Quique, verano 1957" (Delia i Quique, lato 1957).

Irrupcja tego napisu w... nie, lepiej powiedzmy, wtargnięcie tych ciał świeżych, zwykłych i nieumęczonych... powiew, fala życia ludzkiego przeciętnie zadowolonego... tchnienie cudownie świętej naiwności w istnieniu... Ciemność. Opar. Zasłona. Dym. Co to za religia? Skąd się bierze to objawienie? Jaki ten rytuał?

*Niedziela*

Religia, której kadzidła uderzyły na mnie poprzez Delię i Quique, gdym się znalazł na Golgocie, między Chrystusem a Cortesem, nie byłaby według mnie niczym innym, jak tylko ubóstwieniem człowieka przez człowieka. Tej religii nie trzeba objawiać, ona już jest, odbywa się w nas od początku naszej historii.

Powiedziałem to Cortesowi: — Dlaczego wy, ateiści, ubóstwiacie idee? Dlaczego nie ubóstwiacie ludzi?

Przecież rzuca się w oczy boskość generała. Czyż palec jego nie taki sam ściśle, jak palec najnędzniejszego z żołnierzy? A jednak na jedno skinienie tego palca wysyła na śmierć dziesiątki tysięcy ludzi — którzy pójdą, zginą, nie pytając nawet o sens poświęcenia. Cóż cenniejszego od własnego życia miałby do zaofiarowania człowiek samemu Najwyższemu Bogu? Jeżeli człowiek umiera na rozkaz drugiego człowieka, to znaczy że człowiek może być Bogiem człowiekowi. Ten kto gotów przestać żyć na rozkaz dowódcy — dlaczegóż wzdraga się paść przed nim na kolana?

A boskość Prezesa? A boskość Dyrektorów lub Profesorów? A boskość Właściciela Dóbr albo Artysty? Służba — niewolnictwo — korne poddanie się — zaprzepaszczenie w innym człowieku — oddanie się całkowite Wyższemu — to przenika ludzkość aż w same trzewia. Ha, wy ateiści-demokraci chcielibyście mieć ludzi uszeregowanych równo, jak rośliny na grządkach i podporządkowanych Idei. Ale na ten obraz poziomy ludzkości najeżdża inny, pionowy... i te dwa obrazy wzajemnie się niszczą, nie podlegają wspólnemu prawu, nie ma dla nich jednej teorii. Czyż jednak to powód aby wykluczać ze świadomości ludzkość pionową, zadawalając się wyłącznie poziomą? Doprawdy

nie rozumiem was, ateiści. Nie jesteście rozsądni... Dlaczego zamykacie oczy na to nabożeństwo, jeśli ono odbywa się najdoskonalej bez Boga, a nawet brak Boga jest jego *conditio sine qua non?* Nie widzę, rzeczywiście, powodu dla którego współczesny niepokój metafizyczny nie miałby wyrazić się w ubóstwieniu człowieka, gdy Boga zabrakło.

Aby to się stało, musielibyście jedynie zwrócić uwagę na pewną właściwość ludzkości, polegającą na tym, że ona musi nieustannie się kształtować. Jest ona jak fala, złożona z miliarda chaotycznych drobin, lecz co chwila przybierająca kształt określony. Wszak nawet w małej grupce ludzi, swobodnie rozmawiających, dostrzeżecie ową konieczność zestrajania się w takiej czy innej formie, która tworzy się przypadkowo i niezależnie od ich woli mocą jedynie wzajemnego przystosowywania się... to tak jakby wszyscy razem wyznaczali każdemu z osobna jego miejsce, jego „głos" w orkiestrze. „Ludzie" to coś co w każdej chwili musi się organizować — jednakże ta organizacja, ten kształt zbiorowy, tworzy się jako wypadkowa tysiąca impulsów, jest zatem nieprzewidziana i nie dająca się opanować dla tych, którzy ją stanowią. Jesteśmy jak tony z których powstaje melodia — jak słowa, układające się w zdania — ale nie panujemy nad tym, co wypowiadamy, ten wyraz nasz spada na nas jak piorun, jak siła twórcza, z nas powstała, ale nieokiełznana. Tam zaś gdzie powstaje kształt, forma, tam musi być Wyższość i Niższość — i oto dlaczego w ludziach następuje proces wywyższania jednego kosztem innych, jednego nad innych — i to parcie wzwyż, wyrzucające jednego, choćby najniedorzeczniejsze i najbardziej niesprawiedliwe, będzie jednak nieodzowną koniecznością formy, będzie też stwarzaniem w ludzkości sfery wyższej, podzieli ją na piętra, z łona gminu wzniesie się królestwo dostojniejsze, będące dla niższych zarazem okropnym ciężarem i cudownym wzlotem. Dlaczego odmawiacie czci temu *przypadkowemu* wyrabianiu się z nas świata, jeśli nie bogów, to półbogów? Któż wam broni ujrzeć w tym Boskość wstającą z samych ludzi, nie zaś z nieba zstępującą? Czyż zjawisko to nie posiada cech boskich, będąc wynikiem siły międzyludzkiej, czyli nadrzędnej i twórczej w stosunku do każdego z nas z osobna? Czy nie widzicie, że tu nam się tworzy Wyższość w sposób nie dający się opanować? Dlaczego rozum wasz, ateiści, z taką pasją oddał się abstrakcji, teorii, idei, racji, a nie dostrzega że tu, przed samym jego nosem, konkretnie, ludzkość jak fajerwerk coraz nowymi wystrzela Bogami i coraz nowymi objawieniami? Czyżby wydawało się wam to niesprawiedliwe — niemoralne — może nieuzasadnione duchowo? Ależ zapominacie, że gdyby to mieściło się w waszym duchu nie byłoby siłą Nadrzędną, ani siłą Stwarzającą.

O, gdybym zdołał na koniec, ja, osobiście, dać drapaka — wymknąć się Idei — zamieszkać na stałe w tym kościele innym, z ludzi zrobionym! Gdybym wymógł na sobie uznanie *takiej* boskości — i otóż nie troszczyć się więcej o absoluty, a tylko czuć

nad sobą, niewysoko, o metr nad głową zaledwie, taką grę si[illegible] stwarzających, z nas poczętych, jako jedyny Olimp osiągalny — i to uwielbiać. W „Ślubie" zawarte jest takie nabożeństwo i be[illegible] żartu napisałem we wstępie do tego utworu: tu duch ludzk[illegible] uwielbia ducha międzyludzkiego. A jednak! Nigdy nie zdołałem się ukorzyć — i zawsze pomiędzy Bogiem międzyludzkim a mn[illegible] groteska rodziła się, zamiast modlitwy... Szkoda! — mówię t[illegible] szczerze. — Szkoda! Gdyż tylko On — taki półbóg, z ludzi uro[illegible]dzony, „wyższy" ode mnie, ale tylko o cal, będący jakby pierw[illegible]szym tylko wtajemniczeniem, tak niedoskonały, Bóg, słowem[illegible] na miarę mego ograniczenia — mógłby wydobyć mnie z przeklę[illegible] tego uniwersalizmu, z którym ja sobie rady dać nie mogę, i przy[illegible]wrócić zbawczej konkretności. Ach, znaleźć swoje granice! Ogra[illegible]niczyć się! Mieć Boga ograniczonego!

Gorzko mi się to pisze... bo nie wierzę, aby kiedykolwiek dokonał się we mnie ten skok w ograniczenie. Kosmos nada[illegible] mnie będzie pochłaniał. Piszę to więc nie zupełnie na serio, o[illegible] jak retorykę... ale czuję przecież wokół siebie obecność natu[illegible] ludzkich, odmiennych niż moja, czuję tę inność otaczającą mnie[illegible] zawierającą niedostępne dla mnie rozwiązania... więc jej to po[illegible]wierzam i niech ona robi z tym co chce.

*Wtorek*

Znów go ujrzałem! Jego! Chama! Ujrzałem jedząc milu[illegible]kie śniadanko w cukierence, zawieszonej nad ogrodami. Święt[illegible] proletariacie! On (owocarz, przyjechał wózkiem) był przed[illegible] wszystkim przysiadkowaty i pośladkowaty — ale był także pal[illegible]chowaty i pucołowaty — i żyrty, krępy, krwisty, wychrapan[illegible] w betach z babą i jakby z wychodka. Mówię „z wychodka" bo [illegible] nim pośladek silniejszy od gęby, cały był jak osadzony na pośla[illegible]ku. Niewiarygodnie silne parcie w chamstwo znamionowało c[illegible]łość, rozlubowany w tym, rozfiglowany, zatwardziały, a tak[illegible] straszliwie w tym pracowity i aktywny, przerabiający na cham[illegible]stwo cały świat! I kochał siebie !

Co począć z nim? Popijałem kawę, z Bianchottim, któremu nic nie powiedziałem... Co począć? Gdybyż niższość była zaws[illegible] młoda! Zawsze młodsza! Młodość jest jej zbawieniem, jej n[illegible]turalnym i uświęcającym żywiołem... nie, nie jest dla mnie pr[illegible]blemem niższość czarująca... Ale znaleźć się oko w oko z chł[illegible]pem, nie z chłopcem — i musieć go wytrzymać w jego podwójn[illegible] brzydocie leciwego chama.

Podwójnej? Ona poczwórna — bo ja, który na niego p[illegible]trzę, jestem we wszystkich burżuazyjnych delikatnościach moic[illegible] dośpiewaniem tamtej ohydy, nadaję się do niej, jak negaty[illegible] jesteśmy dwie małpy, jedna z drugiej wynikające... Dwie małp[illegible] leciwe! Brrr... Czy wiecie jakie jest najokropniejsze ze wsz[illegible]stkich spotkań? Spotkać się z lwem na pustyni? Z tygrysem [illegible] puszczy? Z duchem? Z diabłem? Ależ to idylla! Gorzej, stokr[illegible]

gorzej, gdy blady inteligent natknie się na topornego chama — pod warunkiem, że zabraknie młodości; że to spotkanie odbędzie się we wzajemnym wstręcie dorosło-ludzkim, jakiego nigdy nie doznasz z lwem, który cię pożera; że skąpane zostanie w fizycznym przekwitaniu; i musisz tego człowieka znosić, wraz z sobą, w tym abschmacku, w sosie tej idiosynkrazji, w przekleństwie tej karykatury !

Dręczy, męczy ten cham dorosły... nie mogę się odczepić ! Chodzące świństwo jego !

*Czwartek*

Obrzydzenie ! Rozpacz ! Co począć ? Nie tyle idzie mi o jego szpetotę, ile o moją z nim — moją wobec niego. Oni — komuniści — radzą : wypowiedz wojnę pokraczności zrodzonej z klasowego wyzysku, ta walka uczyni cię pięknym, zanim jeszcze się wyzwolisz; zaraz, natychmiast wzbijesz się nią ponad pokraczność; wystarczy abyś się przeciwstawił temu — walcząc z tym przestaniesz być tym. Mrzonki ! To nabieranie gości — typowe oszukiwanie ciała duchem. Idea nic nie może przeciw rzeczywistości... fizycznej...

Hitler, Hitler, Hitler... Skąd napatoczył się Hitler ? W zamęcie życia mojego, w tym nieładzie zdarzeń, zauważyłem od dawna pewną logikę w narastaniu wątków. Gdy jakaś myśl staje się dominująca, zaczynają mnożyć się fakty zasilające ją z zewnątrz, to wygląda jakby rzeczywistość zewnętrzna zaczynała współpracować z wewnętrzną. Niedawno zanotowałem tutaj, iż nazwano mnie — ach, przez pomyłkę ! — faszystą. Otóż teraz, gdym zapuścił się przypadkowo w nieznaną część Tandilu, w ,,barrio'' Riwadawię, rzuciło mi się w oczy wysmarowane kredą na ścianach, na głazach :

,,LOOR Y GLORIA A LOS MARTIRES DE NURENBERG'' (Chwała męczennikom z Norymbergi).

Hitlerysta w Tandilu ? I tak zacietrzewiony ? Po tylu latach ? Fanatyzm ten, gdzie ? — w Tandilu — dlaczego tu ?... To znów chyba jedno z tych tandilowskich zaciemnień, zamroczeń, będących zapewne głupstwem... których nie silę się rozwikłać... ale, mając na uwadze tamto, ów ,,faszyzm'' którym mnie poczęstowano, wyglądało jakby pijak ten do mnie przepijał... Aluzja ? Od dawna wiem, że niejedno jest aluzją do mnie i niejedno do mnie przepija...

A w dodatku Hitler ten spada na mnie, gdy cham mnie zmierził — gdy chamem wymiotuję, będąc wymiotowany przez chama.

*Piątek*

Hitlera rozbito w puch i proch, a na dobitek (w strachu aby nie zmartwychwstał) ucharakteryzowano go *post mortem* na sza-

tańską mierność, wrzaskliwego sierżanta-megalomana z piekła rodem. Spaskudziliście mu legendę. Zrobiliście to ze strachu. Ale strach też bywa hołdem. Ja raczej głosowałbym za tym aby *post mortem* nie bać się Hitlera — on na strachu cudzym rósł, oby przeto i na waszym nie urósł.

Co uderza w tym bohaterze (dlaczegóż nie miałbym go nazwać bohaterem?) to niesamowita śmiałość w osiąganiu krańca, ostateczności, maksimum. Sądził, że wygrywa ten kto mniej się boi — że sekretem mocy jest posunąć się o krok dalej, o ten jeden jedyny krok, już nie do zrobienia dla innych — że ten, kto śmiałością przeraża, jest nie do wytrzymania, a więc druzgocący — i stosował to tyleż do ludzi co do narodów. Taktyka jego na tym polegała: posunąć się o krok dalej w okrucieństwie, cynizmie, kłamstwie, chytrości, odwadze, o ten jeden krok oszałamiający, wytrącający z normy, fantastyczny, niemożliwy, nie do przyjęcia... wytrzymać tam gdzie inni, przerażeni, wołają: pas! Dlatego wtrącił naród niemiecki w okrucieństwo, i w okrucieństwo wtrącił Europę — on pragnął najokrutniejszego życia jako ostatecznego sprawdzianu zdolności do życia.

Nie byłby bohaterem, gdyby nie był tchórzem. Jego gwałt najwyższy to ten, który sobie samemu zadał przekształcając siebie na Moc — uniemożliwiając sobie słabość — odcinając sobie odwrót. Najwyższą jego rezygnacją była rezygnacja z innych możliwości istnienia. Ciekawe zagadnienie: jak wyskoczył on na boga narodu niemieckiego? Należy przypuścić, że naprzód „związał się" z kilkoma zaledwie Niemcami — „związał", to znaczy podsunął im siebie jako wodza — i tego dokonała jego osobista wybitność, gdyż w tej skali, w gronie kilku ludzi, osobiste zalety mają jeszcze coś do powiedzenia. I w tej pierwszej fazie procesu, gdy związek był jeszcze luźny, Hitler nieustannie musiał odwoływać się do argumentów, przekonywać, perswadować, szermować ideą — gdyż miał do czynienia z ludźmi, którzy dobrowolnie mu się poddawali. Ale to wszystko było jeszcze bardzo ludzkie i bardzo zwyczajne; istniała też zawsze, dla Hitlera i jego podwładnych, możność wycofania się; każdy z nich mógł zerwać, wybrać co innego, związać się z innymi i inaczej. Tu jednak zaznaczyło się powoli działanie czynnika, prawie niedostrzegalnego, mianowicie ilości — stopniowo wzrastającej ilości ludzi. W miarę tego wzrastania ilości grupa jęła wkraczać w inny wymiar, już prawie niedostępny pojedynczemu człowiekowi. Zbyt ciężka, zbyt masywna, zaczynała już żyć własnym życiem. Być może, każdy z jej członków tylko trochę ufał wodzowi, jednakże ta odrobina pomnożona przez ilość, stawała się groźnym ładunkiem wiary. I oto w pewnej chwili każdy z nich poczuł, może nie bez niepokoju, że już nie wie co by zrobili z nim tamci, inni (ci których jest tylu, których on nie zna) gdyby mu przyszło do głowy powiedzieć „pas" i dać drapaka. Z chwilą gdy to sobie uprzytomnił, zatrzasnęły się drzwi...

To jednak nie mogło wystarczyć Hitlerowi. On, zasilony tą ilością ludzi, już urósł — ale nie był bynajmniej pewny ani

swoich ludzi, ani siebie. Nie było gwarancji, że jego prywatna natura, jego zwykła ludzkość, nie odezwie się nagle — jeszcze nie stracił w zupełności panowania nad własnym losem i mógł jeszcze powiedzieć ,,nie'' własnej wielkości. Tu więc powstała konieczność przeniesienia wszystkiego w sferę wyższą i już niedostępną indywidualnej jaźni. Aby tego dokazać, Hitler musiał działać nie własną swoją energią, ale tą, którą zasiliła go masa — czyli siłą, która własną jego siłę przewyższała. Tak się stało. Z pomocą swoich podwładnych i wyznawców, wyzyskując te napięcia, które między nim a nimi powstawały, wydobywając z nich maksymalną śmiałość aby samemu stać się jeszcze śmielszym i do większej jeszcze pobudzić śmiałości, Hitler wprowadza całą grupę swoją w stan wrzenia, czyni ją, jako zespół, straszniejszą od wszystkich jej członków i dokonuje nią szeregu czynów przerażających. Są to czyny ,,nadludzkie'' o tyle, że przekraczają pojemność każdego z tych ludzi. Każdy, nie wyłączając wodza, jest przerażony. Grupa wchodzi w wymiar nadnaturalny. Ludzie ją stanowiący, tracą panowanie nad sobą. Teraz już nikt nie może się cofnąć, bo nie są już w ,,ludzkim'' tylko ,,międzyludzkim'', czyli w ,,nadludzkim''.

Zauważmy, że to wszystko bardzo jest podobne do teatru... do udawania... Hitler udawał odważniejszego, niż był, aby innych zmusić do zespolenia się w tej grze — ale gra wywołała rzeczywistość i stworzyła fakty. Masy narodu, rzecz jasna, nie chwytają tej mistyfikacji, one sądzą Hitlera według czynów jego — i oto wielomilionowy naród cofa się w lęku przed druzgocącą wolą wodza. Wódz staje się wielki. Dziwna to wielkość. Jest to spotężnienie do niewiarygodnych rozmiarów, nieskończenie zdumiewające — gdy słowo, czyn, uśmiech, gniew, przekracza zasięg normalny człowieka, rozlegając się jak grom, tratując inne istnienia przecież takie same, przecież zasadniczo niemniej ważne... Ale najdziwniejszą cechą tego spotężnienia jest, że ono tworzy się od zewnątrz — Hitlerowi wszystko urasta w rękach ale on sam jest taki, jaki był, zwykły, ze wszystkimi swymi słabościami; to karzeł, który objawia się, jak Goliat; to pospolity człowiek, który *od zewnątrz* jest Bogiem; to miękka dłoń ludzka, dzierżąca jak maczuga. I Hitler jest teraz w szponach tego Wielkiego Hitlera — nie dlatego, aby nie zachował zwykłych, prywatnych, uczuć czy myśli, prywatnego rozsądku, ale ponieważ one są zbyt drobne, i za słabe, i nic nie mogą przeciw Olbrzymowi, który od zewnątrz go przenika.

Zauważmy jeszcze, że z chwilą gdy proces wkroczył w sferę nadludzką, idea już nie jest potrzebna. Była ona nieodzowna na początku, gdy należało przekonywać, zjednywać sobie popleczników — teraz jest prawie zbędna albowiem człowiek, jako taki, nie wiele ma do powiedzenia w tym nowym, nadludzkim, wymiarze. Ludzie się spiętrzyli. Wytworzyły się ciśnienia. Powstał kształt, mający własną rację i własną logikę. Idea służy już tylko jako pozór, to fasada, za którą dokonuje się opętanie człowieka

człowiekiem, stwarzające się naprzód, a dopiero potem pytające o sens...

*Sobota*

Żegnaj, Tandilu ! Wyjeżdżam. Już spakowana walizka.

Komuż trafią do przekonania moje tandilowskie przeżycia, jak je tu opisałem ? To bez szans na popularność. I po co to ogłaszać ? Nie wiem, czy dobrze robię... Powiedzą chyba : a jednak faszysta ! I, w każdym razie, wyciągną wnioski dotyczące mego antydemokratycznego i wstecznego nastawienia.

Ale trudno mi nie ogłaszać tego, co uważam w sobie za typowe i reprezentacyjne. Wywałam na papier mój kryzys myślenia demokratycznego i czucia uniwersalnego, bo nie mnie jednego — wiedzcie — nie mnie jednego, jeśli nie dzisiaj, to za dziesięć lat, napadnie chętka żeby mieć świat ograniczony i Boga ograniczonego. Proroctwo : demokracja, powszechność, równość nie będą w stanie was zaspokoić. Coraz silniejsze będzie w was pragnienie dwoistości — podwójnego świata — podwójnego myślenia — podwójnej mitologii — będziemy hołdowali w przyszłości dwu odmiennym systemom jednocześnie i świat magiczny znajdzie sobie miejsce obok świata racjonalnego.

*Witold GOMBROWICZ*

# Notatnik nieśpiesznego przechodnia

## ,,ZGODA NARODÓW''

,,Koniec *Zgody Narodów''*, który ukazał się w 1955 jako tom XII (w dwóch częściach) Biblioteki ,,Kultury'', wydany został ostatnio w kraju (Pax 1958). Powieść Teodora Parnickiego wywołała tam pewne zainteresowanie, jak wnosić można z dłuższego studium, które poświęcił jej Jacek Łukasiewicz w pierwszym numerze nowego miesięcznika ,,Więź'' z lutego 1958. Studium to, noszące tytuł ,,Republika mieszańców'', zajmuje się przewijającym się przez większość powieści Parnickiego dramatem osób, które z racji pochodzenia lub wychowania należą jednocześnie do różnych grup plemiennych lub narodowych. Rozprawka Jacka Łukasiewicza oświetla jeden z ważnych elementów twórczości Parnickiego.

Jak i inne powieści tego autora, ,,Koniec *Zgody Narodów''* zwraca przede wszystkim uwagę swą koncepcją powieści historycznej, swą budową i odpowiadającym tej ostatniej tworzywem. O tej stronie jego poprzedniej powieści ,,Słowo i ciało'' pisałem już przed kilku laty (,,Kultura'' Nr 79). Wracam dziś do tego tematu, bo Parnicki nie powtarza się; każda jego powieść przynosi jakieś nowe pomysły architektoniczne. Dzięki tej osobliwości, dzieła Parnickiego, nawet gdyby miały być zapomniane przez czytelników, będą zapewne służyły przez długie czasy piszącym jako niewyczerpana kopalnia wzorów strukturalnych.

Akcja nowej powieści rozgrywa się, jak objaśnia podtytuł, w roku 179 przed narodzeniem Chrystusa,na statku noszącym nazwę ,,Zgody Narodów'' i płynącym z biegiem prądu po rzece Oxos, zwanej dziś Amu-Darią. Statek ten określilibyśmy jako okręt admiralski floty Eutydemidów, panujących nad różnoplemiennym tworem państwowym, powstałym na gruzach imperium Aleksandra Macedońskiego. Kto chciałby umiejscowić bliżej te-

ren akcji powieści, niech otworzy mapę przedstawiającą wyprawy Aleksandra lub państwa jego diadochów i epigonów. Znajdzie tam Oxos oraz Baktrię, Sogdianę i Margianę, najczęściej wymieniane w powieści prowincje ,,nadkrólestwa'' Eutydemidów. Autor sam ogranicza się w tej mierze do najniezbędniejszych wskazówek, nie dlatego zapewne, aby przypisywał czytelnikom znajomość świeżo przeczytanej ,,Historii hellenizmu'' Droysena, ale w świadomości, że opowiadanie jego jest tworem wyobraźni, w którym nazwy miejsc i epok mogłyby być równie dobrze zmyślone.

Skupienie akcji na okręcie, na którym krzyżują się wszystkie nici władzy nadkrólestwa, jest uderzającym pomysłem konstrukcyjnym, odpowiadającym doskonale samej naturze naszej dokumentacji o epigonach Aleksandra, dokumentacji niepewnej i fragmentarycznej, składającej się z niejasnych tekstów, inskrypcji, monet i wykopalisk. Ciągłość wypadków jest tu w znacznej mierze dziełem domyślności i zmysłu porządkowego późniejszych historyków. Podobny charakter zachowuje opowiadanie Parnickiego. Wielkiego króla Demetriosa i jego królestwa nie widzimy wręcz; dowiadujemy się o nich z rozmów i domysłów osób obecnych na okręcie.

Głównymi postaciami powieści są Heliodor, wysoki urzędnik królewskiej służby bezpieczeństwa, i jego żona Dioneja. Podróż na ,,Zgodzie Narodów'' jest ich ,,wielką przygodą'' pośród intryg dynastycznych i sprzeczności wewnętrznych królestwa Eutydemidów. Nieufny i podejrzliwy z urzędu — jak późniejs historycy tej epoki — Heliodor zmuszony jest do nieustannego odgadywania istotnego sensu słyszanych przezeń słów i wpadających w jego ręce dokumentów. To samo zresztą robią jego koledzy i konkurenci, na których palcach ukazuje się kolejno pierścień wielkiego króla, świadczący o ich wysokich pełnomocnictwach. Gęsta pajęczyna przypuszczeń, domysłów i podejrzeń stanowi osobliwe tworzywo powieści.

Jasność konstrukcji zasadniczej pozwala autorowi mnożyć wątki i epizody nie naruszając równowagi całości. Na pierwszy plan wysuwają się kolejno różni pasażerowie okrętu, opowiadając swą historię. Najdłuższa jest historia młodego chłopca, syna greckiego rzeźbiarza i Żydówki, którego Heliodor bierze za niebezpiecznego szpiega, przysłanego przez wrogich Masagetów. W niejasnej sytuacji, na zagrożonej od zewnątrz i od wewnątrz granicy, obecni na okręcie członkowie dynastii i konsyliarze wielkiego króla spędzają długie noce na przesłuchiwaniu tajemniczego młodzieńca, prześcigając się wzajemnie w przenikliwości.

Rusztowanie intrygi ubrane jest bogato w girlandy refleksji, powstałych z długiego namysłu autora nad pełnym sprzeczności wewnętrznych biegiem dziejów. Refleksje te grupują się dokoła paru zawsze aktualnych tematów. Pierwszym i głównym — wskazuje nań tytuł powieści — jest kompleks warunków politycznych, kulturalnych i obyczajowych, niezbędnych dla utrzymania przy życiu królestwa Eutydemidów i każdego innego róż-

noplemiennego tworu państwowego. Ze sprawy uzdolnień potrzebnych do takiego zadania wyrasta wzmiankowane już zagadnienie „mieszańców", to jest osób z racji pochodzenia lub wychowania należących do więcej niż jednej grupy etnicznej. Z głównym tematem łączą się wreszcie refleksje autora o Grekach na Środkowym Wschodzie, nie mogących ani udźwignąć roli zdobywców, spadku po Aleksandrze, ani zmieścić się w systemie „zgody narodów". Refleksje te posiadają najczęściej formę dialogu.

Dla przykładu chciałbym przytoczyć fragment rozmowy toczącej się na pokładzie „Zgody Narodów" o monecie, którą Antymachos Eutydemida, król Margiany, kazał wybić, ogłaszając się za boga. Z powiększonych przez fotografię portretów panujących na monetach i medalach historycy wysnuwają od kilkunastu lat tak olśniewające wnioski, że nie dziwimy się wcale, znajdując coś podobnego w tworze wyobraźni. Oto co mówią postacie Parnickiego, oglądając miniaturowy portret króla-boga, dzieło greckiego rzeźbiarza Oresta w służbie wielojęzycznego królestwa Eutydemidów:

— „Otóż Orestes — wywodził Agatokles — świadomie dążył do wywołania i zgorszenia i kpin ze strony tubylców, ale samo to — dodawał — właściwie na lekkomyślność mogłoby zakrawać czy nawet na bezmyślność, gdyby nie przyświecały mu cele nierównie większe... Co samego Antymacha skłoniło do objawienia się jako bóg — drugorzędne ma znaczenie; wystarcza, że go coś skłoniło, i temu czemuś... Orestes nadał charakter zuchwałego wyzwania... własnego niby wyzwania, ale przez potęgę jego sztuki podniesionego do rozmiarów protestu greckiej myśli i greckiego odczuwania przeciw braniu świata bogów bardziej poważnie, niż to w greckiej tkwi krwi.

— Przeczę — powiedział Leptynes — obejrzawszy monetę... Ja to dzieło ojca rozumiem zupełnie inaczej... Ta moneta jest wyrazem właściwie bądź służalczości, bądź rzetelności i sprawności rzemieślnika, wykonującego bez zarzutu zamówienie. Spójrzcie na ten, tu, na monecie, uśmiech — takiego drugiego w samej rzeczy, o ile wiem, nie stworzyła nigdy rzeźba grecka. Ale z kogo lub z czego Antymachos tak się tu kpiąco uśmiecha?

— Z bogów, branych poważnie, z tych, komu rzuca własnowolnym zrównaniem się z nimi... zuchwałe wyzwanie.

— A ja myślę, że kpi z siebie, z własnej niby boskości. Więcej kpiną tą uspokaja właśnie tubylców przez siebie czy przez dynastię rządzonych. Mówi im: „Nie gorszcie się tym... Jest to przydatne politycznie... ale jak małe to naprawdę posiada znaczenie, macie oto dowód..."

Posuwając się nieśpiesznym krokiem, historia podróżnych z „Zgody Narodów" przypomina nieco dawne powieści, których postacie zbliżały się, rosły — przez parę dni mogliśmy patrzyć im w oczy i słyszeć ich głosy — potem odchodziły, malejąc w oddali. Kto towarzyszył postaciom Parnickiego w ich „wielkiej przygodzie", zatrzyma się zapewne także nad jego uwagą z okazji spotkania dwuch osób, które w różnych czasach bawiły w Chinach: „Kto by zaś raz w takim świecie... znalazł się

a wrócił — z nikim by już nigdy pobratać się nie mógł, chyba tylko z takim, który tę samą odbył kiedyś podróż : choćby nawet był to przedtem wróg jego czy prześladowca...''

## GRANICE LITERATURY

Pewnego upalnego lata, jako młody chłopiec, przeczytałem po kolei wszystkie dramaty Shakespeare'a. Wypadek ten miał rozstrzygający wpływ na moje późniejsze lektury, a być może i na wiele innych wyborów i decyzji. ,,Weź tę trzcinę i zmierz nią świątynię i tych co się w niej modlą'', mówi Apokalipsa. Trzcina ta była w moich rękach. Odrzucałem odtąd bez pardonu wszystkie książki, które wydawały mi się o wiele gorsze od ,,Troilusa i Kressydy''. Szedłem, być może nieco naiwnie, za jednym z najstarszych kryteriów, jakimi posługiwali się czytelnicy przywiązujący jakąś wagę do swego zajęcia, coś podobnego bowiem znajduje się już w sławnym niegdyś liście Horacego do Pisonów : ,,Co nie dąży do szczytu, spada w nicość''.

W praktyce nie nastręcza to trudności. Przy pewnej wprawie poznaje się od razu i niemal bez błędu, czy dana książka może zawierać chociażby jedną stronicę klasy szekspirowskiej. Na moje prywatne potrzeby to wystarczało. Przeczytałem wiele książek, których nikt prawie nie zna, muszę jednak przyznać, że — odrzucając z uporem większość najsławniejszych autorów mego czasu — pozostałem ignorantem w sprawach literackich. Po pięćdziesięciu latach doświadczenia widzę także inne braki tej metody.

Jest dla mnie jasne, że taka metoda nie może mieć żadnego znaczenia w współczesnym życiu literackim. Przed pół wiekiem jeszcze, przedsięwzięcie wydawnicze było małym warsztatem typu rzemieślniczego. Nawet mała grupa czytelników o podobnych gustach literackich mogła je utrzymać przy życiu. Dziś dom wydawniczy jest wielkim przedsięwzięciem przemysłowym, walczącym z ogromnymi kosztami produkcji i mogącym się utrzymać tylko przez wytwarzanie przedmiotów masowego spożycia. Tylko mody, ogarniające od razu setki tysięcy konsumentów, są przezeń brane w rachubę i mogą posiadać jakieś znaczenie. Szanse spotkania czytelnika z książką, mogącą dlań mieć inne skutki prócz spędzenia czasu, zdają się w tych warunkach maleć z każdym rokiem. Ogromna większość czytających nie miała nigdy w ręku książki, mogącej być miarą innych książek. Wydaje mi się więc mało prawdopodobne, aby moja metoda czytania miała znaleźć wielu naśladowców.

Nieprzydatność jej dla osób zajmujących się zawodowo literaturą jest też oczywista. Redaktorzy pism literackich, krytycy, recenzenci, członkowie sądów konkursowych, doradcy literaccy wydawców i teatrów nie wybierają swej lektury. Muszą czyta

wszystko, oceniając druki i rękopisy przede wszystkim z punktu widzenia ich ewentualnego sukcesu u publiczności. Doświadczenie czytelnicze mego typu nie na wiele by się im przydało.

Przy masowej produkcji pracownicy zawodowi literatury muszą każdego roku, już przed rozpoczęciem sezonu wydawniczego, dokonać żmudnej i odpowiedzialnej pracy klasyfikacji rękopisów. Powieści na przykład dzielą się dziś na kilka klas. Ubiegające się o wielkie nagrody literackie omawiane są po ukazaniu się przez członków akademii i najwyższe autorytety krytyczne. Inne, o skromniejszych ambicjach, omawiane są w gazetach przez mniejszych recenzentów. Inne wreszcie obchodzą się w ogóle bez recenzji, trafiając do swych czytelników innymi drogami, bez rozgłosu. Są to powieści kryminalne, przede wszystkim zaś powieści przeznaczone dla kobiet, które gospodarstwo domowe i dzieci zmuszają do przebywania w domu, lub które czytają w drodze do pracy. Powieści tej kategorii dzielą się nadto na książki dla zamożniejszych i uboższych. Pierwsze, w jaskrawych okładkach, drukowane są na lepszym papierze, drugie wychodzą w skromnych zeszytach na papierze gazetowym. W jakiej klasie ma się dana powieść ukazać? Jaka grupa czytelników ją najprzychylniej oceni? Powieść mogąca stać się bestsellerem w jednej kategorii, może przynieść deficyt w innej. Klasyfikacja jest więc tu zadaniem istotnym, wymagającym doświadczenia i znajomości rzeczy.

Powieści nie omawiane przez recenzentów i leżące przez to niejako poza zasięgiem świadomego życia literackiego są drukami nie należącymi do literatury. Nie wiem czym kierują się fachowcy, umiejący niemal bez błędu poznać, co należy a co nie należy do literatury. Ci, których o to pytałem, odpowiadali, że jest to sprawa węchu i wyczucia koniunktury. Cokolwiek o tym myśleć, za ich ,,węchem'' skrywają się być może jakieś bardziej obiektywne kryteria, skoro tylu fachowców posługuje się ,,wyczuciem'' z bardzo podobnym wynikiem.

Do posiadania obiektywnych kryteriów pretenduje niemiecka *Literaturwissenschaft*, operująca głównie metodyczną analizą stylu. Zniechęcony mieszaniną literatury i biografii, rozlewającą się po stronicach podręczników, miałem zawsze wiele szacunku dla LW, widzę jednak także i braki tej metody. Analiza stylu pozwala być może ustalić swoistą hierarchię stylów, lecz nie wystarcza dla oceny utworu literackiego. Wśród nowości niemieckich czytałem niedawno rozprawę pod tytułem *Kitsch, Konvention und Kunst*, w której młody i ambitny krytyk Karl-Heinz Deschner usiłuje podzielić współczesnych autorów niemieckich na pisarzy pierwszej i drugiej klasy. Przedmiotem tej operacji są: Ernst Juenger, Hans Carossa, Werner Bergegruen, Robert Musil, Hermann Broch i Hans Henny John. Z każdego z nich autor przytacza jedną stronicę z niewinnym opisem krajobrazu, którą poddaje metodycznej analizie. Trzej pierwsi z wymienionych pisarzy zostają na tej podstawie strąceni do klasy II-ej. Przedsięwzięcie zajmujące, argumentacja żywa, lecz

po zamknięciu książki czytelnik wzrusza ramionami. Analiza stylistyczna nie wystarcza nawet do oceny sześciu przytoczonych tekstów, służących za podstawę dyskryminacji. Aby da jej trochę szerszego oddechu, wypadałoby być może zastanowi się nad tym, jaka jest rola scenerii w utworach literackich, i ja się do niej brali mistrze klasyczni — Boccacio, Petrarca, Cervantes itd. — bo każdy z nich miał na to swoją receptę. Czytając raz jeszcze cytowane przez krytyka teksty, oddaję pierwszeństwo Juengerowi, któremu Deschner odmawia wszystkich niemal kwalifikacji artystycznych.

Próbowano także stawiać pytanie : kto należy do literatury Takie postawienie sprawy wydaje się od razu absurdalne, miał jednak swoich zwolenników. Teoretycy reżymów autorytatywnych sądzili mianowicie, że z pojęć ,,mistrza'' i ,,fachowca'' d się wyprowadzić jakiś system, uprawniający władze do wydawania patentów na pisarzy i krytyków, wzorem istniejących ju dyplomów lekarzy, agronomów itd. Mistrzom i fachowco przeciwstawiali dyletantów i amatorów, biorących się do rzeczy niefachowo, bez przygotowania i bez kwalifikacji.

Szkoda czasu na dyskutowanie tego punktu widzenia. Ni nie zaprzeczy, że wykształcenie i znajomość wzorów mogą b rzeczą bardzo użyteczną, zarówno dla pisarzy jak dla czytelników. Lista książek, które przeczytali Shakespeare lub Cervante napełnia zdumieniem. Trudno jednak także zaprzeczyć, że lektury potrzebne pisarzom do pisania i czytelnikom do krytycznego czytania nie dadzą się ułożyć w jakąś ogólnie uznaną li lub przepisać okólnikiem ministra oświaty. Z prywatnego świadczenia wyniosłem wrażenie, że książki zwracające uwa swą poprawnością i kwalifikacjami ,,fachowymi'' autora rzad są warte czytania. Pewna fachowość zdaje się być najpotrzeb niejsza autorom romansów dla gospodyń i pracownic domowy mniej skłonnych niż inni czytelnicy do przychylnej oceny licen języka i wyobraźni.

Od strony personalii autorów literatura zdaje się nie m żadnych granic, bo i analfabeci nawet nie stoją tu poza konkursem. W młodości widziałem na jarmarkach i odpustach opowiadaczy, którym wielu literatów mogłoby pozazdrościć zdolno narratorskich, polotu wyobraźni oraz imponujących syn i skrótów. Zwłaszcza w krajach Islamu literatura ustna pos dała wielkie tradycje. Technika utrwalanie dźwięków rozwin się niestety za późno, aby ocalić tę gałęź literatury.

Pogląd, że o przynależności książek do literatury rozstrzy ustosunkowanie się do nich czytelników, wydaje się lepiej u sadniony. Źródłem jego są ,,Eseje'' Montaigne'a. Pisarz o romnym oczytaniu, faszerowany cytatami i mający wciąż pr tomnych w pamięci wszystkich autorów klasycznych, Montai powtarza wielokrotnie, że czyta wyłącznie dla przyjemności, szukając w lekturze ani informacji ani wykształcenia. Z pow szego odróżnienia trzech odmiennych celów lektury pows z biegiem czasu rozpowszechnione obecnie mniemanie, że do l

ıatury należy wszystko to, co bez względu na treść może być
.zytane dla przyjemności lub, inaczej mówiąc, może być przed-
ıiotem lektury będącej celem samym w sobie.

Koncepcja hedonistyczna literatury pozwala łatwo dostrzec,
ɔ w piśmiennictwie i czytelnictwie jako zjawisku społecznym
:st złożone i zmienne. Można w niej znaleźć przesłanki do po-
·ziału czytelników na grupy, do odróżnienia przesunięć gustu,
ıć może nawet do periodyzacji literatury. Nic dziwnego, że
rzychylają się do niej autorzy traktujący literaturę z punktu
ʻidzenia socjologicznego, jak na przykład Robert Escarpit
, świeżo wydanej *Sociologie de la littérature*.

Koncepcja ta budzi jednak niepokojące pytania. Czy biorąc
ı jedyne kryterium przyjemność czytelników nie rozszerzamy
:admiernie zakresu literatury? Na podstawie tego, co nasi
:spółcześni czytają dla przyjemności, musielibyśmy stwierdzić,
: literatura składa się niemal wyłącznie z powieści kryminal-
ıch i romansów dla kucharek; zaledwie znaleźlibyśmy w niej
:iejsce na parę powieści wyróżnionych przez sławę i reklamę.
braz taki byłby wątpliwy, na pewno niekompletny, jakkolwiek
ɔuczający. Porównanie bowiem między książkami czytanymi
a przyjemności przez Montaigne'a i przez naszych współczes-
ıch daje dobre pojęcie o wielu przemianach, jakie zaszły od
(VI wieku nie tylko w literaturze.

Rozszerzając bardzo granice literatury z jednej strony, po-
ąd taki zwężałby je dotkliwie z drugiej, wyrzucając za burtę
szystkich niemal klasyków i znaczną część autorów figurują-
·ch w podręcznikach historii literackiej, lecz czytanych wyłącz-
ıe przez przygotowujących się do egzaminów, zatem bez żadnej
zyjemności. Zajmując się niedawno historią sławy pisarzy
ymskich, usiłowałem między innymi ocenić ich pozycję u czy-
lników mego pokolenia. Statystyki bibliotek oraz dostępne
adomości o nakładach tych autorów i ich obecności w magazy-
ıch księgarń sortymentowych prowadzą tu do różnych cyfr,
ostatnie leżą jednak zawsze poniżej jednej tysiącznej cyfr od-
·szących się do powieści kryminalnych i lekkich romansów.
:cz i od tych skromnych cyfr należy odjąć młodzież, zmuszoną
· lektury klasyków przez programy szkolne i egzaminy. Ilu
trafi dziś, jak niegdyś Montaigne, czytać pisarzy rzymskich
a przyjemności? Jeżeli tacy w ogóle są, liczba ich jest zniko-
a, wątpliwa, zbyt nieuchwytna, aby służyć do porównań i upo-
ıżniać do wniosków.

To samo zresztą można by powiedzieć o znacznej części
ısyków w językach nowożytnych. Czy, idąc za kryterium przy-
nności czytelnika, mielibyśmy postawić ich poza granicami
:ratury? Słuszności takiej klasyfikacji zaprzeczałaby przede
szystkim ciągła, jakkolwiek dla większości czytelników niewi-
ıczna, obecność wzorów klasycznych w literaturze bieżącej.
ıwet najtańsze romanse nie są wolne od tych reminiscencji.

Wobec tylu wątpliwości, czy nie słuszniej byłoby przyjąć
prostu, że do literatury należą książki wymienione w pod-

ręcznikach historii literackiej, te zaś, które tam dotąd nie fig rują, znajdują się sub judice, i nic pewnego nie można o nic na razie powiedzieć. Oddając sprawę sędziom zawodowym, p zbyliśmy się z tej strony wszelkiego kłopotu. W oczekiwan ich wyroku, który zapadnie być może po naszym najdłuższy życiu, moglibyśmy na razie czytać tymczasowo, prywatnie, ki rując się własnym instynktem i doświadczeniem lub chociażb przyjemnością, nie przypisując tej ostatniej żadnego teoretyc nego znaczenia.

## „LOSY PASIERBÓW"

Ankieta Instytutu Gospodarstwa Społecznego, w wyni której dwa potężne tomy „Pamiętników emigrantów" ukaza się drukiem w końcu 1938, była pod wielu względami rewelac Rozproszeni po świecie emigranci opowiadali w druku po pierwszy o swoich losach.

Kilka milionów najbardziej przedsiębiorczych Polaków op ściło kraj, aby ujść przeznaczonego im tam głodu i nędzy. Dz siątki, być może setki tysięcy zginęło od chorób i poniewie w puszczach Nowego Świata, nie zostawiając o sobie żadn świadectwa, żadnej nawet relacji wrzuconej w butelce do mor W przeciwieństwie do politycznej, emigracja zarobkowa wy wała się wielką niemową. Brakło jej inteligencji, mogącej spi chociażby kronikę tej masowej przygody. „Pamiętniki emigr tów" rzuciły na tę sprawę nowe światło. Emigrantom bra mianowicie raczej słuchaczy niż wymowy i zdolności narra skich. Wystarczyło okazać gotowość do słuchania, aby o wieść ich popłynęła jak rzeka, mieniąc się wszystkimi barw języka ludowego.

Lektura ta nasuwa myśl, że spisanie epopei emigracji n jest być może zadaniem dla osób stojących zewnątrz i mając gotowy zapas literackich obrazów i pojęć porządkowych. R taka może się równie narodzić wewnątrz emigracji, z jej w nego języka i wyobraźni. „Pamiętniki emigrantów" są t okruchami takiej epopei, dającymi pojęcie o możliwościach, także o trudnościach przedsięwzięcia. W jakiej bowiem mi fantastyczna chwilami niesamowita przygoda emigrantów da opowiedzieć w słowach i pojęciach wyniesionych z poprzec egzystencji? Samo oswojenie myślą takiej przygody wym ogromnego wysiłku wyobraźni. W 1913 słyszałem w Hambu że przez tamtejszy szpital psychiatryczny przeszły tysiące P ków, którzy w chwili wsiadania na statek zaczęli zdradzać wy choroby umysłowej i musieli być hospitalizowani w naj szym szpitalu. Emigracja jest więc przedsięwzięciem trud do opanowania myślą i groźnym dla równowagi umysłowej.

W fragmentach pamiętników emigranci opowiadają przede wszystkim o sobie, o tym jak na nowym lądzie odna samych siebie i swoją drogę. Od tych relacji do epopei jest

ze daleko. Trzeba na to przede wszystkim wytworzenia się pamięci zbiorowej, do czego na emigracji nie było być może odpowiednich warunków. Spojrzenie potem na całość emigracji, wyróżnienie jej postaci reprezentatywnych i podział jej historii na epizody wymagają odpoczynku i namysłu, wyrwania się z codziennej pogoni za zmiennym zarobkiem. Wielu zapewne stworzyło sobie takie warunki; ci jednak przestali częściowo być emigrantami i weszli w krąg nowych przygód w ramach innego społeczeństwa.

Powstanie eposu emigracji zarobkowej zdaje się zależeć od spełnienia tylu warunków, że można by wątpić, aby kiedykolwiek mogło do tego przyjść, gdyby nie pojawienie się wśród emigrantów samorzutnych talentów narratorskich, których żywiołowa siła zaprzecza na pozór wszystkim przewidywaniom.

Najwybitniejszym może z tych talentów jest Florian Czarnyszewicz, autor „Nadberezyńców" i „Wicika Żywicy". Jego nowa powieść „Losy pasierbów" (Paryż, Libella, 1958) jest dalszym ciągiem historii nadberezyńców, tym razem na ziemi argentyńskiej. Wartkość opowiadania, umiejętność wprowadzania w coraz to nowe sytuacje i notowania widzianych po drodze rzeczy i ludzi sprawiają, że powieść ta jest bardzo zajmującą lekturą. Przed paru laty już, mając okazję czytania jej w rękopisie, starałem się odgadnąć tajemnicę talentu narratorskiego Czarnyszewicza i pewności, z jaką w gęstwinie faktów i szczegółów nagromadzonych w pamięci znajduje zawsze to, co mu jest w danej chwili potrzebne.

Sekret ten zdaje się polegać na tym, że Czarnyszewicz pozostaje wciąż wiernym sobie nadberezyńcem, czerpiącym z tradycyjnych pojęć swego kraju i nie dającym się zbić z tropu żadnej literaturze. Nie zapomniał więc nic z swego ludowego języka, znajdując nieomylnie w pamięci wyraz nie istniejący być może w żadnym słowniku, lecz przylegający najdokładniej do tego co widzi lub co chce powiedzieć. Każda rzecz zmyślona znajduje u niego od razu swą autentyczną nazwę. Nazwiska na przykład jego postaci są jak gdyby wynotowane z listy poborowych jakiejś kresowej komendy uzupełnień, pasują jednak tak dokładnie do twarzy właścicieli, że znając tylko ich nazwiska można by ich poznać w tłumie. Główny bohater powieści nazywa się Zygmunt Dub-Dubowik, żona zaś jego ma na imię Domka. Bandyci i oczajdusze nazywają się: Ignac Makryca, Kuźma Wołszebnik, Ludwik Abuchowicz, Jermak Kurnosow, Mićka Łaszałapy, Sidor Makucior i Makar Ciepłychwost. Właścicielem zakładu *Compra y venta* jest Szmujło Pustoćwiet. Wreszcie pochodząca z Lidy pensjonariuszka domu publicznego nazywa się Mańka Wierabiejczyk.

Pewność ręki Czarnyszewicza w operowaniu światłocieniem, w plastycznym przedstawianiu scen i ustawianiu postaci zdaje się mieć swe źródło w tym, że w głębi jego konstrukcji są wciąż obecni Diabeł i Dobra Siła, potęgi, które w opowiadaniach ludowych wszystkich krajów od wieków walczą bez wyni-

ku, targują się lub grają w kości o władzę nad światem. Obecność tych dwuch sił i wahających się między nimi potomków Adama i Ewy daje każdej sytuacji jasną formę kompozycyjną. Budowa powieści, z narastaniem napięcia i końcowym odprężeniem, nie jest również pożyczona z klasycznych wzorów literackich. Poznajemy w niej bez wahania te same protasis i apodosis, ten sam rytm i porządek, jakie miało życie każdego szlachcica zagrodowego nad Berezyną czy Bohem. Przedsiębiorczy i zapalczywy młodzieniec stawał się z wiekiem doświadczony i mądry, wreszcie stary, rezerwujący się, jak Maciej Rózeczka, tylko na wielkie okazje. Niezmienna pozostawała tylko preferencja dla kilku rzeczy, które uważał za ważniejsze od innych. Ziemia nie wydawała mu się nigdy za droga, zawsze więcej warta od pieniędzy, jak honor klanu od świetego spokoju.

Niby nowy Anteusz, Czarnyszewicz czerpie swą siłę z ziemi nadberezyńskiej, której w wyobraźni swej nigdy nie opuszcza, pozostając wciąż po tej stronie oceanu. Nie objaśnia to być może wszystkiego, co znajduje się w „Losach pasierbów", lecz zdaje się być głównym sekretem jego talentu. Zresztą podróżnicy z temperamentu, gotowi oddalić się natychmiast z każdego miejsca i czekający tylko na przybycie latającego dywanu, są najczęściej milczący i o podróżach swych nie mają wiele do powiedzenia.

*Paweł HOSTOWIEC*

*Archiwum polityczne*

# Wstęp do chińszczyzny z tezą

## I

Cesarz Czien-Lung (imperabat A.D. 1735-1795) na propozycję króla Wielkiej Brytanii Jerzego III — dotyczącą nawiązania stosunków handlowych — odpowiedział pismem, w którym czytamy między innymi:

,,Pańska prośba w sprawie akredytowania przy moim niebieskim dworze jednego z pańskich rodaków w charakterze stałego reprezentanta — jest całkowicie sprzeczna z tradycją i zwyczajami mojej dynastii... Nasze ceremonie dworskie i kodeks praw są tak różne od waszych obyczajów, że nawet gdyby poseł brytyjski przyswoił sobie z czasem elementarną znajomość chińskiej cywilizacji — nie byłoby rzeczą możliwą przenieść naszych zwyczajów i tradycji na waszą obcą ziemię... Panując nad szerokim światem mam tylko jeden cel na oku a mianowicie zapewnienie i utrzymanie doskonałych rządów i wzorowych instytucji państwowych... Nie przywiązuję żadnej wagi do obcych wytworów a produkty brytyjskiego przemysłu nie mogłyby u nas znaleźć żadnego zastosowania''.

Takiej oto odprawy książątku ,,barbarzyńców mórz południowych'' udzielił wielki cesarz. Kto by wówczas przypuszczał, że w sto pięćdziesiąt lat później Chińczycy wyjdą ze swego ,,splendid isolation'' i swym politycznym wpływem sięgną daleko w domeny ,,barbarzyńców'', a ich głos ważyć będzie na szali wydarzeń w Moskwie, w Warszawie i w Białogrodzie.

W pewnym sensie sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Wówczas Chiny reprezentowały statyczny, konserwatywny porządek a cesarz Czien-Lung symbolizował cywilizację hierarchiczny system udoskonalany nieprzerwanie od trzeciego wieku przed Chrystusem. Anglia była w przede dniu swojego

świetnego rozwoju i ekspansji. Dla cesarza wpatrzonego w tra-dycję dwóch tysiącleci — interes narodowy był synoninem za-chowania „status quo”. Dla Brytyjczyków interes narodow był pojęciem dynamicznym.

Wielki cesarz, który „nie przywiązywał wagi do obcyc wytworów” nie docenił postępu technicznego cywilizacji „bar-barzyńców mórz południowych”. Czego nie zdołał uzyskać wy-słannik Króla Jerzego III — „załatwiły” działa brytyjskic okrętów wojennych. I tak się zaczęło.

Dziś raczej my na Zachodzie pojmujemy statycznie interes narodowe i chcielibyśmy zachować... nasze ceremonie, trad cje i instytucje w formach, które krystalizowały się przez stul cia. Natomiast Chiny wkroczyły na drogę rewolucyjnej rozbud wy i nie ma przesady w entuzjastycznym stwierdzeniu prasy p kińskiej, że w Chinach co drugi dzień buduje się nową fabryk

Jeżeli prawdą jest, że znajomość Rosji sprowadza się praktyce tylko do różnych stopni ignorancji — to w znaczn większym stopniu dotyczy to Chin. O Chinach wiemy bard mało. Nie ulega wątpliwości, że Pekin odegrał znaczną ro w kryzysie sowiecko-jugosłowiańskim — by sięgnąć po prz kład bezpośredni. Jednak w prasie zachodniej żaden ekspert umiał przekonywująco wyjaśnić polityki Chin w tym zatarg Pojawiło się wiele często sprzecznych informacji i komentar

Nie wiemy dotąd czy Chiny odegrały poważniejszą rolę kryzysie październikowym w roku 1956 w Polsce — wie jednak na pewno, że wpływ Chin w bloku państw komun tycznych stale wzrasta. Nie jest wykluczone, że w danej syt cji los Gomułki może w znacznym stopniu zależeć od posta chińskich przywódców komunistycznych. Chiny uznają gran na Odrze i Nysie i mało jest prawdopodobne by poważniej zmiana układu sił w tym rejonie, z inicjatywy Rosji, mogła do nać się bez zgody Pekinu.

Czterdzieści lat temu Rosja była zapóźnionym w rozw semi-feudalnym krajem, pogrążonym w anarchii i chaosie. W czas nikt by nie przypuścił, że w czasokresie życia jednego kolenia Związek Sowiecki przedzierżgnie się w przemysło militarną potęgą równą niemal Stanom Zjednoczonym. Wyd się wysoce prawdopodobne, że Chiny — sądząc po ich doty czasowych osiągnięciach — jeszcze przed końcem bieżącego lecia staną się również światowym mocarstwem przemysło militarnym.

Chiny stają się nowym, niezmiernej wagi elementem w p lityce światowej. Polakowi przebywającemu od dwudziestu na emigracji jest niezmiernie trudno pogodzić się z faktem w Warszawie tak się dziś liczą z Pekinem. Skłonni jeste uważać to za jeden z owych „egzotyzmów”, które charakt zują życie po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Całą ob „chińszczyznę” w Polsce uważamy za dziwactwo tej samej tegorii jak — powiedzmy — miejskie taksówki krążące po cach Warszawy. Kiedyś nastąpi „wyzwolenie” — Polska

ci na Zachodu łono — i wszystko znów znormalnieje. Taksówki będą prywatne a chińskie papierosy i wermut przejdą do legendy.

,,Emigracyjność'' naszego myślenia politycznego polega na tym, że problemy ideologiczno-ustrojowe identyfikujemy z układem sił. Wielokrotnie na tych łamach wysuwałem pogląd, że odejście Rosji od komunizmu nie zniweczy ani rosyjskiego przemysłu ani potencjału wojskowego. Przeciwnie — skłonny byłbym sądzić, że zdemokratyzowanie ustroju przyniosłoby Rosji w konsekwencji wydatne wzmożenie jej zdolności produkcyjnej. To samo dotyczy Chin i wszystkich państw bloku komunistycznego. Odejście od komunizmu przesądziłoby kwestie ustrojowe ale nie żadne inne. Ci, którzy wyobrażają sobie, że upadek komunizmu byłby równoznaczny z restauracją układu sił z 1939 roku i z powrotem Polski na ,,Zachodu łono'' — zapominają o tym, że w okresie owych dwudziestu lat zachód europejski niezmiernie zmalał.

Gdy lądowaliśmy na tych wyspach król angielski był jeszcze cesarzem Indii i królem brytyjskich dominiów za morzami. To wszystko już dziś należy do przeszłości. Potęga mocarstw europejskiego Zachodu opierała się w znacznej mierze na systemie imperialno-kolonialnym. System ten zamiera. Zachód zmalał nie dlatego, że przeżyła się jego cywilizacja lecz dlatego, że w ostatnim ćwierćwieczu poza Europą wyrosły dwa supermocarstwa tj. Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone. Chiny mają wszelkie szanse stania się trzecią z kolei potęgą światową.

Powrót Polski na ,,Zachodu łono'' — nie jest sprawą wyłącznie ideologii. Bez względu na to jaką ideologię będzie wyznawał świat w roku 2.000 — skłonny jestem sądzić, że Pekin za 50 lat będzie miał znacznie więcej do powiedzenia w Warszawie niż Londyn. To są fakty, które wypływają nie z przynależności do pewnych obozów ideologicznych, lecz z przesuwania się centrów wytwórczości przemysłowej. Jeszcze czterdzieści kilka lat temu Ameryka była notorycznym dłużnikiem Europy. Rosyjskim przemysłem dyrygował wielki kapitał europejski. W Chinach rządzili się europejscy imperialiści i koncesjonaliści.

Gigantyczne przemiany jakie dokonały się w rozmieszczeniu ognisk potęg przemysłowych na przestrzeni ostatnich lat czterdziestu — nie są dziełem... bolszewików i wraz z nimi nie znikną.

Uwagi powyższe zmierzają tylko do jednego celu. Chciałym przekonać Czytelnika polskiego, a w szczególności Czytelnika emigracyjnego — że perspektywy świata widzianego z Warszawy uległy wielkiej przemianie. Chiny przybliżyły się do nas i leży w naszym bezpośrednim interesie poznać je możliwie najlepiej. Choć zabrzmi to w naszych staroświecko strojowych uszach dziwacznie — twierdzę, że polityk polski nie może dziś rozpatrywać realnie naszych możliwości jeżeli jest całkowitym ignorantem w sprawach chińskich. Bez względu na ustrój i ideologię cokolwiek dzieje się w Rosji i w Chinach nie może być nam obce. Stosunki chińsko-rosyjskie — ich

układ i ewolucja, która kryć może w przyszłości wielkie niespo dzianki — to są sprawy dotyczące nas jak najbardziej bezpo średnie.

O Chinach przeciętny Polak nie wie nic. Niedawno zapy tałem jednego z polskich działaczy w Londynie — ile jego zda niem — istnieje partii politycznych w współczesnych Chinach Poza komunistami nie umiał wymienić ani jednej.

Na wyższych uczelniach chińskich studiuje obecnie stu kil kudziesięciu młodych Polaków i z tej grupy rekrutować się bę dą w przyszłości polscy specjaliści chińscy znający zarówno kra jak i język. W prasie emigracyjnej na temat Chin panują igno rancja, milczenie i brak zainteresowania. Nie mamy specjal stów w tej dziedzinie i na emigracji prawdopodobnie nigdy ic mieć nie będziemy. Nie zgłaszając najmniejszych pretensji rzeczoznawstwa postanowiliśmy jednak w redakcji ,,Kultury gromadzić materiały informacyjne dotyczące Chin i w pewnyc odstępach czasu ogłaszać artykuły rzucające światło na rozw sytuacji w Chinach. W Anglii i w Ameryce jest wielu świe nych specjalistów z tej dziedziny i nie brak wyczerpujących st diów i opracowań. Musimy tylko przełamać w sobie nawyk m ślowy, który każe nam przy każdej okazji powoływać się na Gr cję i Rzym rozgrzeszając nas z góry z wszelkiej ignorancji sprawach Dalekiego Wschodu. Tymczasem to nie tyle my o płynęliśmy od macierzystego Zachodu ile Wschód przybliżył si do nas i do naszej zachodniej parafii.

## II

Dla nas specjalnie interesującym i pouczającym problem jest historia walk i klęski marszałka Czang-Kaj-Szeka. To j człowiek, który z bronią w ręce walczył z komunistami we wł nym kraju i realizował politykę ,,liberation''. Wydawałoby s że powinniśmy studiować pilnie dzieje tej kampanii i uczyć się błędach tego wielkiego antykomunisty. Ale przeciętny pol inteligent wymieni wprawdzie jednym tchem marszałków poleońskich lecz o marszałku Czang-Kaj-Szeku nie wie nic

Pomińmy błędy polityki amerykańskiej i zastanówmy jakie były główne pomyłki i błędy chińskiego marszałka.

W oparciu o źródła amerykańskie, angielskie i prace sa go Czang-Kaj-Szeka wymieniam poniżej przyczyny klęski, k re osobiście oceniam za najistotniejsze.

Za katastrofalny błąd należy uznać fakt, że Czang-K Szek — na zdobytych przez siebie terenach kasował natychmi reformę rolną i osadzał dawnych właścicieli ziemskich. Ko niści chińscy prowadzili wojnę przede wszystkim pod has reformy rolnej. Identyfikowanie wyzwolenia z restauracją ag nego feudalizmu musiało odwrócić od Czang-Kaj-Szeka m chłopskie.

Jako drugą przyczynę klęski wymieniłbym politykę marszałka w stosunku do demokratycznej lewicy.

Tak wybitny znawca Chin jak Harold C. Hinton — uważa, że Mao-Tse-Tung zapewnił sobie zwycięstwo przede wszystkim mistrzowską strategią ,,frontu narodowego'' — co w konsekwencji doprowadziło do całkowitej izolacji Kuomintangu.

Mao-Tse już w roku 1939 zdefiniował w swych pismach zasady ,,frontu ludowego'' i zapowiedział, że front ten zostanie utrzymany w Chinach nawet po osiągnięciu zwycięstw przez komunizm. W okresie poprzedzającym wybuch wojny z Japonią — koncepcja frontu narodowego umożliwiła komunistom występowanie w roli najbardziej bezkompromisowych orędników zjednoczenia narodowego w obliczu agresji. W roku 1945 Mao-Tse powtórzył ten sam manewr tylko na niepomiernie większą skalę.

Można zaryzykować paradoksalny na pozór pogląd, że zdecydowani prawicowcy są najmniej powołanymi ludźmi do walki przeciw komunistom. Dla prawicowca o dyspozycji McCarthy'ego — wszystko co nie jest skrajnie na prawo jest podejrzane. Etykietkę ,,czerwony'' przykleja się każdemu liberałowi, każdemu inteligentowi, każdemu niezależnemu intelektualiście. W każdym kraju skrajna prawica i skrajna lewica — stanowią mniejszość. Walka idzie zawsze o masy, które nie są ani skrajnie prawicowe ani skrajnie lewicowe. Na owe masy wywierają duży wpływ koła demokratycznie lewicowe.

Czang-Kaj-Szek sam przyznaje w swej książce pt. ,,Sowiet Russia in China : A Summing up at Seventy'' — że jedną z istotnych przyczyn klęski Kuomintangu była nieumiejętność pozyskania kół lewicowych i liberalnych.

Czy ktoś skorzystał z tych doświadczeń na Zachodzie ? Czy w dalszym ciągu nie uważamy, że im ktoś bardziej na prawo tym jest lepszym anty-komunistą ? Reakcjoniści pod wszystkimi stopniami szerokości geograficznej dążą do skontrastowanego podziału na czarnych i czerwonych i tą polityką przemieniają w ,,fellow travellers'' tych, którzy pod rządami komunistów byliby opozycyjnymi rewizjonistami. Ale ci sami ludzie jak długo są w zasięgu władzy reakcjonistów są pro-komunistyczni. W każdym kraju liberalni, niezależni intelektualiści i postępowa inteligencja w prawicowej reakcji dopatrują się głównego wroga, ponieważ jest to niebezpieczeństwo bezpośrednie. Ale i w krajach rządzonych przez komunistów postępowa opozycja gdyby miała do wyboru Gomułkę czy dyktatorów spod znaku ,,białego konia'' — opowie się za Gomułką. Ci ludzie zdają sobie bowiem sprawę, że prawicowo-wojskowa dyktatura uznałaby ich za kolaborantów, zdrajców, agentów, quislingów itd.

Innymi słowy komunizmowi nie można przeciwstawić jednolicie prawicowej polityki lecz front koalicyjny i w pełni demokratyczny. Czang-Kaj-Szek tego nie rozumiał.

III

,,Chińska droga do socjalizmu'' wykazuje duże różnice w porównaniu z analogicznymi europejskimi modelami. Weźmy dla przykładu partie polityczne. W Chinach poza komunistami istnieje osiem partii politycznych.

W sejmie PRL poza PZPR — zasiadają posłowie reprezentujący Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. 63 posłów nie należy do żadnej partii. Zarówno Stronnictwo Ludowe jak i Stronnictwo Demokratyczne nie są partiami burżuazyjnymi. W Polsce Ludowej burżuazja nie dysponuje żadną legalną reprezentacją.

W Chinach ta sprawa wygląda nieco inaczej. Chińska partia komunistyczna od samego początku głosiła, że reprezentuje chłopów i robotników. Na marginesie warto zauważyć, że w Chinach nie było nigdy partii chłopskiej — jak powiedzmy — przedwojenne polskie Stronnictwo Ludowe. Nie istniała również nigdy demokratyczna partia farmerów czy drobnych rolników. Jeżeli więc proletariat — to znaczy chłopi i robotnicy reprezentowani są wyłącznie przez partię komunistyczną — siłą rzeczy wszystkie inne partie nie mogą mieć charakteru proletariackiego. Jeżeli nie są ani proletariackie ani marksistowskie — muszą być burżuazyjne.

Ta koegzystencja między partiami burżuazyjnymi a partią komunistyczną stanowi jeden z najbardziej charakterystycznych elementów chińskiego modelu. By wykluczyć jakąkolwiek dowolność w interpretacji tego fenomenu — cytuję poniżej fragment z oficjalnego chińskiego wydawnictwa ze stycznia 1958. Tytuł tej pracy brzmi : ,,O polityce długofalowego współistnienia i wzajemnej kontroli''. Autorem jest Czang-Czi-Hyj. Tłumaczę dosłownie z wersji angielskiej :

> ,,Ponieważ różne partie i ugrupowania demokratyczne stanowią polityczną reprezentację burżuazji — jest rzeczą właściwą by w okresie socjalistycznej przebudowy pozwolono im reprezentować prawowite interesy ich klas społecznych. Oczywiście z ogólnego punktu widzenia trzeba stwierdzić, że interesy burżuazji polegają na rozbudowie kapitalizmu i szukaniu maksymalnych zysków. Lecz w Chinach gdzie pod przywództwem partii komunistycznej cały naród bierze udział w zwycięskiej rewolucji demokratycznej — celem aspiracji i dążeń ogółu obywateli jest socjalizm a nie kapitalizm. Owo dążenie ku socjalizmowi jest zgodne z prawami rozwoju społecznego i znalazło pełny wyraz w przepisach naszej konstytucji. Powyższy stan rzeczy został zaakceptowany również przez politycznych przedstawicieli burżuazji. W konsekwencji, partie i ugrupowania demo

kratyczne reprezentujące burżuazję — w rzeczywistości reprezentują tylko ten odłam burżuazji, który podporządkował się prawom rozwoju chińskiego społeczeństwa. Partie demokratyczne nie reprezentują natomiast tych, którzy łamią prawa naszego rozwoju społecznego. Z powyższego wynika, że partie reprezentujące burżuazję mają obowiązek walczyć przeciwko czarnej reakcji — to jest przeciwko tym, którzy nie porzucili nadziei restauracji kapitalizmu w naszym kraju. Partie demokratyczne winny przekonać całą burżuazję i skłonić ją by zaakceptowała pokojową przebudowę społeczną".

Tak oto okazuje się, że jest rzeczą możliwą włączyć w strukturę komunistycznego frontu zjednoczenia narodowego partie demokratyczno-burżuazyjne. Przywilej ten nie przysługuje natomiast nigdy i nigdzie partiom demokratyczno-socjalistycznym. Osobiście uważam za możliwe, że w pewnej sytuacji Bolesław Piasecki otrzyma koncesje na utworzenie partii politycznej. Dla komunistów taka partia mogłaby się okazać wygodna, zwłaszcza na odcinku walki z Watykanem. Na to jednak by w Polsce mogła powstać partia demokratyczno-socjalistyczna — musiałaby wpierw upaść obecna dyktatura komunistów wspierana przez PAX.

Struktura Chin komunistycznych opiera się na trzech elementach: partia, aparat rządowy, armia. Początkowo tak w aparacie rządowym jak i w armii dość znaczny procent stanowisk zajmowali członkowie partii nie komunistycznych. W roku 1949 połowa wice-przewodniczących Centralnej Ludowej Rady Rządowej składała się z reprezentantów partii demokratycznych. Trzeba jednak stwierdzić, że procent nie-komunistów na wszystkich wyższych stanowiskach w administracji państwowej stale maleje.

Do czego zmierzają komunistyczne Chiny?

Chińczycy zmierzają do przekształcenia swego kraju z czysto rolniczego w przemysłowo-rolniczy. By zrozumieć wymiary tego projektu należy pamiętać, że Chiny są około 30 razy większe od Polski i że 87% ludności mieszka na wsi. 80% ludności utrzymuje się z rolnictwa a wartość produkcji rolnej wynosi jeszcze około 50% wartości globalnej produkcji Chin. Dumne zapowiedzi głoszą, że Chińczycy zdecydowani są dokonać w dziesięć lat takiej rozbudowy przemysłowej — na jaką Rosjanie potrzebowali 40 lat. Gdyby plany powyższe miały przeobrazić się w rzeczywistość — potencjał przemysłowy Chin musiałby zwiększać się w zawrotnym tempie 30 do 40% rocznie. Zbędne wydaje się dodawać, że tego rodzaju błyskawiczny marsz przemysłowy możliwy jest tylko przy stosowaniu represji i maksymalnych wyrzeczeń.

Jeżeli chodzi o rolnictwo, 92% gospodarstw chłopskich skołchozowano. Natomiast w przemyśle sektor prywatny jest jeszcze dość pokaźny, wynosi bowiem ponad 12%. Istnieje również w

Chinach ciekawa forma przemysłu mieszanego. Jest to jednak forma czysto przejściowa ponieważ państwo wykupuje corocznie część udziałów w mieszanych przedsiębiorstwach i w ten sposób przekształca je stopniowo w przedsiębiorstwa państwowe.

Chinom przybywa ponad 15 milionów ludzi rocznie. Co 2 miesiące przybywa więcej Chińczyków niż istnieje Polaków na świecie. Dynamizm przyrostu naturalnego stanowi jedno z czołowych zagadnień Chin. Za dziesięć lat będzie 150 milionów nowych obywateli chińskich, których trzeba wyżywić i dać im miejsce pod słońcem.

## IV

Cesarz Czien-Lung nie miał zainteresowania dla wytworów technicznej cywilizacji „barbarzyńców mórz południowych", którą to nazwą określali Chińczycy białych włóczęgów morskich lądujących od czasu do czasu na ich wybrzeżach.

Chiny Mao-Tse są niezmiernie zainteresowane w technicznych i naukowych zdobyczach zachodniej cywilizacji. Ale ta recepcja ma charakter wybitnie jednostronny. Od „wojny opiumowej" aż po odmowę przyjęcia komunistycznych Chin do ONZ — oto 150 lat, które zaważyły decydująco na ustosunkowaniu się Chińczyków do Zachodu. Nie powiodło się zjednać Chin dla Chrześcijaństwa. Dzieła misjonarzy a w szczególności Jezuitów przekreślali wielcy kupcy i finansiści Zachodu — imperialistyczni politycy i eskadry okrętów wojennych. Naukę moralno-polityczną wynikającą z tego procederu można ująć w jednym zdaniu : Nie można nawracać i wyzyskiwać równocześnie. Gdybyśmy zaczęli od planów Marshalla i od akcji pomocy dla krajów o zapóźnionym rozwoju — sytuacja w Azji i w Afryce ułożyłaby się zapewne inaczej. Ale owe plany pomocy przyszły 50 lat za późno.

Dziś należy przyjąć za pewne, że Chińczycy przeprowadzą uprzemysłowienie swego kraju wzorem sowieckim i ich rewolucja przemysłowa w niczym nie będzie przypominała analogicznego okresu w zachodniej Europie. Ale nas w tej chwili interesuje jedynie wynik końcowy — niezależnie od jego aspektów ideologicznych czy moralnych. Jeżeli Chiny na przestrzeni najbliższych 30 czy 40 lat przetworzą się w wielką potęgę przemysłową — nasz obecny system równowagi rosyjsko-amerykańskiej runie w gruzy. Koalicja rosyjsko-chińska może się wówczas stać niepokonalna.

Ambicje chińskie zwłaszcza w Azji nie mogą wywoływać szczególniejszego entuzjazmu w Moskwie. Na to by Rosja mogła utrzymać równowagę między Moskwą a Pekinem — musi być w pewnej mierze zabezpieczona od strony Ameryki. Jest oczywiste, że każde zaostrzenie się kryzysu rosyjsko-amerykańskiego podbija w Moskwie cenę Chin jako głównego sojusznika

Natomiast jakiekolwiek wyrównanie różnic i zmniejszenie napięcia między Moskwą a Waszyngtonem — nie leży w interesie Chin.

Osobiście skłaniam się do poglądu, że im Chiny będą potężniejsze — im szybciej będzie rósł ich potencjał przemysłowy — tym Rosja będzie skłonniejsza do pokojowego ułożenia swych stosunków z Ameryką. W możliwości rozwoju po tych liniach kryć się mogą poważne niebezpieczeństwa. Gdy za 10 czy 20 lat Chiny będą posiadały bronie atomowe — w razie wojny łatwo sobie wyobrazić przesunięcie się centrum dyspozycyjnego z terytorium europejskiej Rosji na teren azjatyckich Chin. Przemysł Rosji europejskiej i wielkie skupiska urbanistyczno-przemysłowe jak Moskwa czy Leningrad — mogą zniknąć z powierzchni ziemi w pierwszych tygodniach wojny atomowej. Rosja zredukowana do terytoriów azjatyckich stałaby się satelitą Chin.

Na dłuższą metę rosyjsko-chiński ,,balance of power'' zależny jest w znacznym stopniu od Ameryki. Bo należy stwierdzić powtórnie, że system równowagi rosyjsko-amerykańskiej jest etapem przejściowym. Z chwilą gdy Chiny ,,dorosną'' do statusu potęgi światowej wielka dwójka przemieni się w wielką trójkę.

Niebezpieczeństwo, o którym mówiłem powyżej polega na tym, że nie każdy pokój z Rosją jest zbieżny z interesami Zachodu. W żadnym wypadku nie leży w interesie Ameryki swą postawą w stosunku do Rosji ułatwiać Moskwie szachowanie Chin. Rosja zabezpieczona od strony Ameryki może bardzo długo utrzymywać Chiny w pozycji młodszego i zależnego partnera.

Chiny — jak dotąd — czynią wszystko by utrudniać odprężenie — wyraźnie zaostrzają ,,zimną wojnę'' i do wszystkich konferencji ,,na szczycie'' ustosunkowują się niechętnie. Do tej kategorii posunięć polityki chińskiej należy pochwała egzekucji Nagy'ego i wystąpienia anty-jugosłowiańskie.

Porzucenie polityki ,,stu kwiatów'' przez Mao-Tse było bardzo różnorako interpretowane na Zachodzie. W moim przekonaniu jedną z głównych przyczyn, które skłoniły Mao-Tse do porzucenia tej taktyki był fakt, że koncepcja ,,stu kwiatów'' — przyczyniała się bezpośrednio do odprężenia między Wschodem a Zachodem a tym samym wzmacniała pozycję Rosji vis a vis Chin. Im Rosja ma wolniejsze ręce w stosunku do Ameryki — tym bardziej może sobie pozwolić na twardszą rękę w stosunku do Chin.

Najistotniejsze konflikty wypływają z warunków geopolitycznych i demograficznych. Chińczyków jest dziś niemal 650 milionów. Kampania w sprawie ograniczenia cyfry urodzin przyniosła jak dotąd rezultaty bardzo nieznaczne. Sześcioro czy siedmioro dzieci uważane jest w dzisiejszych Chinach za bardzo ograniczoną ilość potomstwa — ponieważ tradycyjny ,,standard'' wyrażał się cyfrą 10 — 14 dzieci. Z wzrostem warunków sanitarnych maleje śmiertelność wśród niemowląt tak, że w rezul-

tacie cyfry przyrostu naturalnego utrzymują się stale w granicach wręcz fantastycznych.

Rzut oka na mapę i na tablice statystyczne musi każdego obserwatora doprowadzić do wniosku, że na przestrzeni najbliższych 20 czy 30 lat Chińczycy będą musieli szukać nowych miejsc pod słońcem dla nadmiaru swojej ludności. Nowych ,,przestrzeni życiowych'' będą przede wszystkim szukali w Azji. W takiej sytuacji europejskim potęgom będzie coraz trudniej utrzymywać swe azjatyckie posiadłości. Dotyczy to przede wszystkim Rosji.

Na Zachodzie operujemy ogólnikami ukutymi przez propagandzistów. Do takich sumarycznych określeń należy termin ,,obóz komunistyczny''. Termin ten implikuje, że nie ma żadnej różnicy między Gomułką a Ulbrichtem — czy Mao-Tse a Chruszczowem. W rzeczywistości wspólna ideologia nie wyrównuje sprzeczności interesów ani nie zmienia układu geopolitycznego. Traktując zagadnienie komunizmu globalnie — cementujemy solidarność świata komunistycznego.

Amerykanie winni przyjąć za punkt wyjścia swej strategii że *nie* Chiny tylko Rosja jest wrogiem Nr. 1. Gdyby w przyszłości powiodło się Rosję pomniejszyć terytorialnie a tym samym ściągnąć ją o kilka punktów w dół na tabeli potęg świata — otwarłby się nowy etap przed ewolucją komunizmu.

Stany Zjednoczone winny już dziś uznać Chiny i wykorzystywać każdą okazję zbliżenia. Jest nonsensem walczyć przeciwko komunizmowi w Chinach czy w Polsce. Przeciwko chińskiemu czy polskiemu komunizmowi trzeba walczyć w Rosji. Światowy mit komunizmu stoi i upada potęgą Rosji. Gdyby Rosja przekształciła się w mocarstwo drugiej rangi — komunizm wyzbyłby się marzeń o podboju świata.

Jeżeli przyjmiemy, że centralnym problemem światowego komunizmu jest Rosja — w naszym interesie leży przekonanie Chińczyków, że jeżeli w przyszłości ich ekspansja zwróciłaby się w kierunku Azjatyckich posiadłości Rosyjskich — zrobimy wszystko by im grę ułatwić a nie utrudnić.

Sprawy ekspansji terytorialnej są muzyką przyszłości. Lecz sam konflikt istnieje już dziś. Być może konflikt ten zarysowałby się wyraźniej gdyby polityka amerykańska była inna.

W sumie cały problem sprowadza się do trzech punktów. Po pierwsze należy stwierdzić, że dynamika ludnościowa w połączeniu z procesem uprzemysłowienia predysponują Chiny na pierwsze mocarstwo azjatyckie. Rozwój po tych liniach musi prowadzić do rywalizacji i konfliktu interesów chińskich i rosyjskich w Azji.

Punkt drugi. Pierwsze mocarstwo świata jakim jest Ameryka w żadnym konflikcie nie może być neutralne . W konflikcie chińsko-rosyjskim — Ameryka może być albo potencjalnym sojusznikiem Chin albo potencjalnym sojusznikiem Rosji. Innego wyboru przed nią nie ma. Albowiem przyjmując postawę neutralną działałaby de facto na korzyść interesów Rosji. Rosja dąży do wytargowania od Ameryki uznania status quo w Europie i

pewnego choćby prowizorycznego układu na Środkowym Wschodzie. W razie zaostrzenia się konfliktu w Azji (za dwa lata, czy za pięć lat) — wysunie jakąś ponętną ofertę „globalnego" rozbrojenia by prolongować koegzystencję pokojową rosyjsko-amerykańską. Uznanie wówczas inicjatywy rosyjskiej za przejaw szczerej pokojowości — byłoby równoznaczne z udzieleniem aktywnego poparcia Moskwie przeciwko Chinom.

I po trzecie. W moim przekonaniu, jeżeli wyłączamy katastrofę atomową, — tylko przez rozbudowanie antyrosyjskich antagonizmów i popierania każdego antyrosyjskiego gestu ze strony Chin — możemy przyczynić się do zasadniczej przemiany „balance of power" wewnątrz bloku komunistycznego. I to jest na dłuższą metę jedyna droga wiodąca do wydatnego zredukowania potęgi Rosji i obalenia Moskwy jako wyłącznego centrum światowego komunizmu. Gdyby bowiem Pekin stał się drugim równorzędnym centrum — światowy ruch komunistyczny utraciłby swój Rzym.

Formoza, Czang-Kaj-Szek, dopuszczenie Chin do ONZ (co nie wydaje się dziś być szczególniejszym pragnieniem Sowietów) — to jest kompleks zagadnień politycznych, który dzięki akcji zawodowych anty-komunistów utrzymuje się stale w mętnym kotle problemów ideologicznych. Jeżeli będziemy antykomunistami a nie politykami — przegramy z Rosją tak w płaszczyźnie politycznej jak i ideologicznej. Ponieważ Rosjanie są tylko tak długo ideologami jak długo służy to bezpośrednim ich interesom.

*Juliusz MIEROSZEWSKI*

# Kronika angielska

## KISIEL - CAT - PAX

Był czas, że Kisiel, z krakowskiego „Tygodnika Powszechnego", uważał „Kulturę" za najlepsze pismo w języku polskim wydawane na kuli ziemskiej.

J. Mieroszewski był wówczas „świetnym publicystą", „znawcą stosunków międzynarodowych" i pisarzem o „doskonałym wyczuciu sytuacji krajowej".

Wszystko to należy do przeszłości. Okazuje się, że o polityce nie mamy pojęcia, nie należymy do wtajemniczonych, nie znamy umownego języka krajowego, nie przeszliśmy „wyższej szkoły jazdy", nie należymy do klubu ani do Znaku i w sumie nie jesteśmy warci funta kłaków.

Jestem osobiście w lepszej sytuacji niż Kisiel, ponieważ nigdy ni głosiłem, że „Tygodnik Powszechny" jest najlepszym polskim pismem „in universo". Nie pasowałem również Kisiela na świetnego publicystę — tym mniej na eksperta polityki międzynarodowej. Uważałem go zawsze i uwa żam nadal za doskonałego felietonistę. To nie jest mało. Ale na tym kropka.

Może nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o owym „język umownym".

Gdy w ubiegłym roku w lecie, w Instytucie Imienia Generała Sikor skiego, Kisielewski rozpoczął swój wieczór autorski od wyznania, że sojusz polsko-sowiecki uważa za fundament naszej polityki — sala przyjęła t oświadczenie w dyskretnym milczeniu. Obecni zdawali sobie bowiem spra wę, że przemawia publicznie poseł na Sejm PRL i pewne wypowiedzi należy przyjąć w tym aspekcie.

Kraj, który jak to zjadliwie określił David Ogg — „nie posiada histor tylko sąsiadów" przemawia często językiem umownym. Komentatorzy za chodni analizowali każdy przecinek w wymuszonym na Gomułce oświad czeniu potępiającym Imre Nagy. Doszukiwano się w szyku zdań i w kon tekście słów ukrytego sensu.

Ale w Kisielu nie ma cienia dramatyzmu czy hamletyzmu. W sw rozbrajającej krakauerskiej naiwności wyobraża sobie Chruszczowa jako dr giego Franciszka Józefa. W jego pozytywizmie i lojalizmie nie ma n wymuszonego. Jest „c. k." z przekonania i gotów jest śpiewać o każd porze dnia i nocy, że z „Habsburgów tronem złączon jest na wieki Pols los". Nie wiem co ci panowie sobie wyobrażają — że Chruszczow zrobi i Badenimi, Gołuchowskimi?

W kraju, w którym operuje się językiem umownym, roi się od niepo zumień. Cat-Mackiewicz w serii artykułów uskarżał się, że publiczność k jowa źle przyjęła jego „Londyniszcze". Anglicy nas zdradzili, sprzedali udzielili gwarancji tylko w tym celu by pogrzebać naszą niepodległość a nieszczęśni Polacy wciąż ich kochają — pisze ze zdumieniem Cat.

Siedzi w Polsce, jeździ po prowincji z odczytami, rozmawia z w nymi figurami i nie rozumie takiej prostej sprawy. Polacy są pro-angiels nie z miłości dla Anglików tylko z nienawiści do Sowietów. Angiels dziennikarze, uczeni, parlamentarzyści, którzy odwiedzają Polskę — wszys podkreślają wyjątkową serdeczność i gościnność z jaką spotykają się na k dym kroku. To jest właśnie ów język umowny, którego nie rozumie C Ów anglofilizm jest jedną z form manifestowania pro-zachodniego sen mentu. Tu nie chodzi o miłość do Churchilla tylko o nienawiść do Chru czowa.

Lecz wszystko byłbym gotów wybaczyć Catowi, łącznie z „Londyni czem" i obłąkaną teorią gwarancyjną, z wyjątkiem PAX'u.

Wśród intelektualistów polskich istnieje fałszywie pojęty „esprit c corps. Pewne rzeczy przemilcza się i kryje przez sentymenty, powiąza personalne, swoiste kumoterstwo.

Czymże był Berg w porównaniu z PAX'em! Był czas, że katolicy zwłaszcza pisarze katoliccy — mogli sobie powiedzieć: nic nie wie o agenturalnych powiązaniach Piaseckiego — faktem natomiast jest, wydaje katolickie książki. Lecz dziś stanowisko Watykanu i władz cielnych w stosunku do PAX'u jest powszechnie znane i nie nasuwa żadn wątpliwości.

Ten sam Cat, który rozdziera szaty z powodu Free Europe, pobiera ɪonoraria z PAX'u. A przecież ani Free Europe ani Voice of America e tają, że są instytucjami amerykańskimi, finansowanymi w całości z funuszów amerykańskich. Działają jawnie. Może się komuś podobać ich pro·ram lub nie, ale przypisywanie tym instytucjom charakteru agentur jest onsensem. „Sowiecka Europa" jakiej służy PAX ma zupełnie inny harakter.

Każdemu wolno jest być przekonanym zwolennikiem sojuszu polsko-soieckiego. Kisielewski — z którym długo rozmawiałem na ten temat — być oże jest optymistą, niemniej jest optymistą absolutnie uczciwym.

Ale co innego jest być za sojuszem polsko-sowieckim a co innego swoim zwiskiem firmować agenturalną instytucję. Co innego mieszkając w Polsce odzić się z obecnym układem geopolitycznym — a co innego czerpać zyski instytucji, która tegoż układu jest eksploatorem.

Pan Kowalski z Pociejowa może się tłumaczyć, że o PAX'ie nic nie ie, ale ani Cat-Mackiewicz ani Zofia Kossak ani Melchior Wańkowicz e mogą tego powiedzieć na swoją obronę.

PAX ma pieniądze i choć niczego to nie usprawiedliwia — tłumaczy szystko.

## KTO NAS FINANSUJE?

„Polityka" Nr 26(70), omawiając prasę emigracyjną, stwierdza, że Kultura" ... „związana jest z szeregiem miesięczników angielskich, franskich, niemieckich, włoskich".

Bardzo to pochlebny sąd o nas ale zupełnie nie prawdziwy. Całe nasze poązanie z miesięcznikami włoskimi polega na tym, że np. Herling-Grudziński sujący czasem do nas, pisuje również do literackich periodyków włoskich. st to całkowicie zrozumiałe, ponieważ Grudziński mieszka stale w Nealu. Miłosz drukuje nie tylko w „Kulturze", lecz również w periodykach ncuskich i angielskich — ale czy z tego wynika, że „Kultura" jest związa z „Encounter'em" czy z „Preuves"? Przez z górą rok pisywałem co dzień korespondencję do detroickiego „Dziennika Polskiego". Ale czyż oznacza, że „Kultura" jest związana z „Dziennikiem Polskim" w Deit?

W okresie kiedy Cat-Mackiewicz zasiadał jeszcze na stolcu premievskim w Londynie — odbyłem z nim dłuższą rozmowę. W pewnym moncie Cat-Premier spojrzał na mnie badawczo i zapytał: „Niech mi pan końcu powie, kto finansuje „Kulturę"? Nigdy nie uwierzę, że znikąd bierzecie pieniędzy, bo sam wydawałem pismo i wiem, że na emigracji lne pismo nie może być samowystarczalne. Ktoś was finansuje — ale ?"

Rozstaliśmy się w zgodzie i w przyjaźni ale nie przekonałem premiera, nikt nas nie finansuje. Tłumaczyłem mu, że jego „Lwów i Wilno" iadało mały nakład i nie rozchodziło się poza Londynem. „Kulturę" zedajemy natomiast w pięćdziesięciu kilku krajach świata a jej nakład znacznie wyższy od przeciętnych nakładów analogicznych periodyków ncuskich czy angielskich.

Przypomniałem sobie rozmowę z Catem, gdy przed kilku tygodnia[mi] jeden z wybitnych naszych gości z Kraju zadał mi identyczne pytani[e]. Dodał jeszcze, że w Warszawie w kołach poinformowanych wymienia s[ię] jako naszych finansowych protektorów Kongres Wolności Kultury, Pa[ix] et Liberté, Free Europe, Fundację Forda, ,,amerykańskich trockistów" ( i garść jeszcze innych instytucji.

Plotki tego typu mają złożony charakter. Aparatczykom chodzi o skom[pro]mitowanie nas jako ,,płatnych propagandzistów kół imperialistycznych.[" ] Tym panom nie przyjdzie do głowy, że wystarczy przeczytać dwa kolej[ne] numery ,,Kultury", by zdać sobie sprawę, że żadna Free Europe pisma te[go] typu nigdy by nie finansowała. W gruncie rzeczy chodzi o kompleks znacz[]nie szerszy i powszechniejszy. Ponieważ setki Polaków biorą ,,skądś" p[ie]niądze (tak w kraju jak i zagranicą) — jest w najwyższym stopniu irytują[ce] przyznać, że ,,Kultura" nie zależy finansowo ani od PAX'u ani od Fr[ee] Europe, ani od Masonów, ani od Komunistów.

,,Kultura" ukazuje się w Paryżu i jest rzeczą zrozumiałą, że utrzym[uje] kontakty i współpracuje z całym szeregiem zachodnio-europejskich instytuc[ji]. Ale od żadnej z nich nie jest zależna finansowo.

## SPRAWA A. REWSKIEJ

,,Trybuna Mazowiecka" z dnia 9 lipca 1958 zamieściła następuj[ącą] wiadomość:

> ,,Przed kilku dniami toczyła się rozprawa przeciwko An[] Rewskiej, oskarżonej o to, że w okresie od 1956 roku do lutego 1[] roku w Warszawie i na terenie innych miejscowości rozpowszechn[iała] miesięcznik ,,Kultura" ,oraz wydawnictwa tego pisma. Zawierały [one] — jak stwierdza akt oskarżenia — fałszywe wiadomości mogące wy[rzą]dzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego. Sąd skazał Rew[ską] na trzy lata więzienia i przepadek zakwestionowanych wydawni[ctw]. Czasopismo ,,Kultura", wydawane w Paryżu, można w zasadzie ot[rzy]mać w każdej bibliotece".

Cała sprawa robi wrażenie absurdalnej. Skazywać na trzy lata wię[zie]nia za ,,rozpowszechnianie" pisma polskiego, które ,,można w zasa[dzie] otrzymać w każdej bibliotece" — jest dosłownie niepoczytalnym nonsens[em]. Takich wyroków nie bywało nawet za Bieruta. Znamy dobrze stosunki [kra]jowe i wiemy, że o żadnym ,,rozpowszechnianiu" nie mogło być mo[wy]. P. Rewska mogła mieć parę egzemplarzy ,,Kultury", czy jej wydawni[ctw] i pożyczać je przyjaciołom. I za to posyłać kogoś na trzy lata do więzie[nia]. Nie tracimy nadziei, że od wyroku możliwe jest odwołanie. Sąd wy[ższej] instancji powinien sprawę umorzyć.

Jest zupełnie niezrozumiałe do czego zmierzają tego rodzaju posunię[cia]. KC nie jest w stanie ani zlikwidować ,,Kultury", ani uniemożliwić [jej] docierania do krajowego Czytelnika. Docieraliśmy za Bieruta, docie[ramy] za Gomułki, dotrzemy zawsze i w każdych warunkach. Nie wydaje się[, by] leżało w interesie Partii wyrokami i procesami tworzyć wokół ,,Kult[ury"] legendę podziemnego, zakazanego pisma. ,,Kulturze" tego rodzaju rek[lama]

..t niepotrzebna. W obecnych warunkach ,,Kultura" nie może mieć debitu [ Polsce, ale między brakiem debitu a procesami i wyrokami jest duża i za-..dnicza różnica. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że KC zmuszany jest ..nymi formami nacisku z zewnątrz do przestrzegania ,,generalnej linii". ..e ta linia może być utrzymana w marginesie bezpieczeństwa tylko za cenę ..mpromisu. Wydawałoby się, że panowie w KC winni lepiej to rozumieć .. ktokolwiek inny.

## JESZCZE O DŻILASIE I PUŻAKU

Radio Free Europe w jednym ze swych opracowań angielskich, poświę-..nych analizie sytuacji w krajach Europy Wschodniej, przytacza między ..ymi znane przemówienie p. A. Werblana z dnia 6 mija br. P. Werblan ..ał za stosowne w tym referacie zacytować artykuł o ,,Polskich Dżila-..h".

Przykro mi stwierdzić jednak, że o ile p. Werblan doskonale zrozu-..ał pointę zestawienia nazwisk: Pużak-Dżilas, o tyle komentator Free ..rope wykazał w tej sprawie kompletną ignorancję. W odsyłaczu prze-..czonym dla obcego czytelnika czytamy bowiem następującą uwagę: ..he point of drawing the contrast between the two men is that Djilas is ..ervent communist at odds with Tito, while Pużak was a bona fide Polish ..cialist done away with by the communists".

Napisać o autorze ,,Nowej klasy" że jest gorącym komunistą, poróżnio-..n z Tito — na to doprawdy trzeba tupetu!

Budzi się melancholijna refleksja — po co Dżilas pisał swoją książkę ..o co niżej podpisany przełożył ją na język polski skoro ci, których zawo-..wym obowiązkiem było z tą książką zapoznać się, najwyraźniej nawet .. nie przekartkowali.

Wzruszające jest również określenie Pużaka jako ,,bona fide" socja-..y. Komentator Free Europe pragnie przez to powiedzieć, że choć Pużak socjalistą (trudno to ukryć) był socjalistą w dobrej wierze... był wpraw-..e ,,red" ale przecież nie jadał dzieci na śniadanie.

## R.H.S. CROSSMAN A N. CHRUSZCZOW

Winienem naszym czytelnikom kilka słów wyjaśnienia w następującej ..awie. W numerze majowym ,,Kultury" w artykule pt. ,,Dla kogo zbro-.. Niemców" napisałem między innymi, że poseł R.H.S. Crossman ,,w ..kniętym gronie ujawnił interesujące szczegóły swojej rozmowy z Chrusz-..wem. Na zapytanie jaka będzie reakcja Związku Sowieckiego na ewen-..ne atomowe uzbrojenie Niemiec Chruszczow odpowiedział: ,,Z atomo-..mi Niemcami Rosja będzie musiała szukać porozumienia nawet kosztem ..kich ofiar".

Tych kilka zdań zdetonowało prasową burzę. ,,Trybuna Ludu" oskar-..a mnie o sfałszowanie wywiadu. Prasa niemiecka zasypała posła Cross-..na depeszami. Telefon na moim biurku dzwonił przez kilka dni bez ..erwy i miałem zapytania nawet z odległego Hamburga.

Poseł R.H.S. Crossman nie potwierdził wiadomości. Niemieckim dzi nikarzom oświadczył, że o niczym nic nie wie.

Skąd „Kultura" otrzymała tę wiadomość?

Otrzymaliśmy ją z jednego z krajów wschodniej Europy, w okre kiedy poseł Crossman tam przebywał. Ze zrozumiałych względów nie żemy ujawnić ani nazwiska naszego informatora, ani jego miejsca zamiesz nia. Mogę natomiast stwierdzić z całym naciskiem, że z owego źródła mieliśmy *nigdy* dotąd fałszywej wiadomości.

Ktoś może zapyta dlaczego otrzymawszy tę wiadomość nie sprawdz śmy jej u źródła, to jest u posła Crossmana. Uważałem to za bezcelowe. ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że *w każdym wypadku* p Crossman będzie *musiał zaprzeczyć* tej wiadomości. Jest zbyt wytraw i doświadczonym politykiem, by mógł postąpić inaczej.

Niczego nie sugeruję w tej sprawie i z najlepszą wiarą przyjm oświadczenie posła Crossmana. Pragnąłem natomiast wyjaśnić motywy kimi kierowałem się jako dziennikarz.

## POLEMIKI

Poziom polemik prasowych pozostawiał u nas zawsze bardzo wiele życzenia. Żonglowanie dowolnie powyrywanymi cytatami — przeinacza istotnego sensu wypowiedzi przeciwnika — to są metody niestety powsz nie stosowane. Ale jeżeli jakieś pismo emigracyjne zaatakuje „Kultu stosując serię niedozwolonych chwytów, czytelnik zainteresowany pole może zapoznać się z oryginalnym tekstem atakowanego artykułu, kupi sobie w najbliższej księgarni dany numer „Kultury". Innymi słowy, gdzie istnieje wolna prasa i wolność słowa zawsze jest możliwe przep dzenie dowodu prawdy.

Zupełnie inaczej kształtuje się sprawa polemik między prasą em cyjną a prasą krajową. Publicysta emigracyjny jest w gruncie rzeczy z nie bezbronny w stosunku do prasy krajowej. Smętnie jest stwierdzić, nasi koledzy w Kraju zbyt często wykorzystują ten „przywilej" zapewn cy im całkowitą bezkarność w przeinaczaniu i fałszowaniu wszystkieg ukazuje się w prasie emigracyjnej.

Sięgnijmy po przykład z poprzedniego numeru „Kultury". W a kule pt. „Inteligencja i Naród" napisałem między innymi :

*„Jeżeliby przyjąć, że istotnie przed Rosją nie było innej drog uprzemysłowienia jak leninizm-stalinizm z milionami ofiar, z łagrar NKWD i ową gehenną narodów Związku Sowieckiego opisaną zu lecz plastycznie przez Chruszczowa, powtarzam, jeżeliby przyjąć, była jedyna droga do uprzemysłowienia to należało z uprzemysłowieni zygnować. Celem bowiem jest budowa socjalizmu a nie przemysłu. Leni stalinizm zbudował wprawdzie przemysł, lecz pogrzebał pod nim socj Socjalistyczny cel uświęca wszystkie środki, z wyjątkiem tych, któ niesocjalistyczne".*

Co z powyższego fragmentu zrobił p. Władysław Machejek w artykule ogłoszonym w „Życiu Literackim" z dnia 20 lipca br. ?

Posłuchajmy :

*„Innego zdania jest p. Mieroszewski, który w lipcowym numerze pa- skiej „Kultury" sugeruje, iż — jeśli nie ma odpowiedniej bazy materiało- ej, nagromadzonej przez kapitalizm, to wygodniej w takim państwie nie dować socjalizmu. Co więc robić? Chyba czekać na dobrych kapitalistów, órzy zakrzątną się koło przygotowania warunków sprzyjających przejściu ajów zacofanych, do jakich należała także Polska, w nowy etap roz- oju".*

Zbędne dodawać, że w dalszych ustępach swej „polemiki" red. „Ży- a Literackiego" promuje mnie na grabarza socjalizmu, który dąży z upo- m do restauracji kapitalizmu. Wszystko na melodię znanego „ludowego" erka o kapitalistach z Wall Street.

Światłe uwagi p. Machejka przedrukował skwapliwie p. Gottesman „Przeglądzie Kulturalnym". P. Gottesman również pragnie się wykazać, służyć, wylegitymować czynną akcją przeciw kontrrewolucji...

W porównaniu z cyfrą czytelników „Życia Literackiego" i „Przeglądu ulturalnego" procent ludzi w Kraju, którzy czytali lipcowy numer „Kul- y" jest oczywiście niewielki. I na tym opierają się kalkulacje pp. Machej- w i Gottesmanów.

Ukazują się w Kraju studia prasoznawcze — wydaje się periodyki po- ięcone temu zagadnieniu. O istnieniu „Kultury" nikt nie wspomni bo i po ? Kto by tam zajmował się polskim periodykiem wydawanym w jakimś ryżu. To nie ważne — bo to nie nad Wisłą. Z drugiej strony może to dobrze, że polsko-ludowe prasoznawstwo nie uwzględnia prasy emigra- nej bo wówczas trzeba by coś powiedzieć o wzajemnych stosunkach. zeba by zacząć od sławetnych stalinowskich wystąpień pp. Arskiego i Sze- a rojących się od fałszów, oszczerstw i kalumnii.

W okresie wczesno-październikowym wylądował u mnie na podwie- rku pewien krajowy dziennikarz. (Byłby nie lada hałas gdybym wymienił o nazwisko!) Już w progu wyciągnął do mnie serdecznie rękę i powie- iał: „Panie kolego — pan chyba do mnie nie ma żalu za to co na na wypisywałem — pan przecież rozumie..."

Odpowiedziałem szczerze: „Drogi kolego nie mam do was cienia żalu. że mógłbym nie rozumieć. Cieszę się że was widzę i że sobie poga- ny".

Nie mam żadnych pretensji do redaktorów czołowych pism krajowych, zaatakowali artykuł o „Polskich Dżilasach". My wiemy — my rozu- my. Ale dziś nikt nie musi być „sztreberem" à la pan Arski z okresu argowica leży nad Atlantykiem" — i nikt nie musi fałszować cytatów brzucać emigracji błotem. Innymi słowy dziś nikt nie musi — wybaczcie słowo — świnić się jako dziennikarz. Jeżeli to robi — robi to z włas- pilności.

## PRASA ŚWIATOWA O „KULTURZE"

Po „New York Times", który zamieścił przed kilku miesiącami ob- rny artykuł o „Kulturze" pióra swojego warszawskiego korespondenta lney Grusona — z artykułem omawiającym polityczną rolę „Kultury" stąpił „Le Monde" (z dnia 7 sierpnia br.). Jest rzeczą charakterystyczną i artykuł w „Le Monde" został napisany przez warszawskiego korespon- ta czołowego dziennika Francji — p. L. Nancy.

Wartość tych wypowiedzi polega na tym, że zarówno S. Gruson i L. Nancy artykuły swoje nadesłali z Warszawy i o ,,Kulturze'' dow dzieli się nie u Kombatantów czy w ,,Ognisku'' lecz w Warszawie.

Cytowane artykuły stanowią obiektywną dokumentację i ocenę poz ,,Kultury'' w Kraju. Wartość tej dokumentacji jest tym wyższa, że chodzi od cudzoziemców, a więc od osób trzecich nie zaangażowanych b pośrednio w polityce polskiej.

W walce przeciw ,,Kulturze'', prowadzonej ostatnio zajadle przez tię mamy do zanotowania nowy szczegół. ,,Ruch'', który poprzez Hachet zakupywał 90 egzemplarzy naszego miesięcznika, zrzezygnował nagle z pre meraty, mimo że wszystko jest zapłacone za 12 miesięcy. Te oficjalnie kupowane 90 egzemplarzy przeznaczone były prawdopodobnie dla dygnit partyjnych i wyższych urzędników. KC doszedł jednak do wniosku, że dzie chyba bezpieczniej jeżeli nie będą oni czytywali ,,Kultury'' i za wolą się ,,Nowymi Drogami''. I te 90 egzemplarzy musiały mimo wsz ko... przeciekać i szerzyć zarazę w Grenadzie.

,,Kulturę'' można konfiskować a ludziom zabronić czytać. Tru jest ludziom zabronić myśleć a jeszcze trudniej ,,skonfiskować'' idee.

*LONDYŃCZYK*

## *Kraj*

# Kto ty jesteś ? Polak mały...

Można by mówić o pobycie w Kraju, mając przed sobą kon-
:retnego słuchacza, trudno byłoby jednak o tym pisać, bez
ıożliwości natychmiastowego skomentowania sformułowań z ko-
ieczności skrótowych. Rzeczywistość jest złożona i nie trzeba,
by obraz usiłujący ją przekazać zwęził ją i zubożył.

Nie można też poprzestać na spisywaniu wrażonek, że...
elnicy są uprzejmi, że w ciągu trzydziestu dni nie widziałem ani
ędnego chuligana, a równocześnie przemilczeć rozmowy z pisa-
zami i ich reakcję na wiadomość o zamordowaniu Nagy'ego.
Nie można rozwodzić się nad bójką w ogonku przy kupowaniu
ytryn, w krakowskich „Delikatesach", przemilczając równo-
cześnie konkretne dowody brutalnego łamania przez Rosję So-
viecką polskiej, próbującej stanąć na własne nogi, ekonomii.

Niewspółmierność spraw, tych które mógłbym opisać i tych,
tóre trzeba by pominąć ze względu na moich rozmówców, jest
ak wyraźna, że zamiast „lirycznego dziennika", bądź aptekar-
kich rozważań rzeczywistości na to co pozytywne, lub nega-
ywne, zajmę się tym, co mnie przeraziło, tym co ponadpartyjne,
rwalsze od ekonomii i polityki, triumfuje w narodzie, a czego
okazową i przekonywującą lekcję dało mi moje miasto rodzinne.
Mam na myśli polski nacjonalizm. I o tym *muszę* napisać.



W czerwcu br. zastałem w Sanoku dwoje Żydów. Każde
nich ma pokój w niegdyś własnej kamienicy. Oprócz tych dwoj-
ga jest tu jeszcze kirkut, zarośnięty metrową trawą; bez płyt
nagrobnych zniszczonych doszczętnie przez Niemców. W samym
mieście nic już nie przypomina wczorajszego istnienia kilku ty-
sięcy Żydów. Pewnie, ludzie starsi pamiętają o tym, ale jakąś
osobną pamięcią, pamięcią, która umie związać współczucie
bardzo określonym człowiekiem, zabijanym w określonym miej-

scu, ale niezdolna jest pomóc w przemyśleniu i rewizji staryc tragicznie nieaktualnych dziś uprzedzeń. Rzecz dziwna, nie n już dziś przedmiotu pogardy, czy choćby niechętnej obojętnośc nie ma już w mieście brodatych sklepikarzy, ani tych co fabr kowali ocet, czy sprzedawali kolorową wodę sodową, ale sta niechęć i potrzeba poniżania istnieją nadal.

Niechęć do Żydów, jeżeli zsumować uwagi moich rozmó ców, ma obecnie dwa ,,powody'' : ,,Żydom zawsze udaje s uciec i zawsze swoi pomogą im zagranicą''. Innymi słowy : Ż dzi nigdy naprawdę nie dzielą polskiego losu, polskiej doli, a n domiar tego opuszczają Kraj, co jest dowodem, że go nigdy n kochali. Powód drugi to mit o Żydach ,,u góry'', siedzący w rządzie, wpływowych i świadomie szkodzących intereso Polski.

Głupota ta nie jest przywilejem ludzi prostych. Niestety, lują w niej półinteligenci, a nawet, jak mogłem to stwierdz ludzie z wyższym wykształceniem, należący do katolickiej int ligencji przedwojennej. Od nich dowiedziałem się nie ty o tym, że ,,imię jego czterdzieści cztery to... Polska Ludowa, wie pan, Lublin 1944''; od nich usłyszałem radę, że ,,Emigra powinna studiować przepowiednie''... Od nich usłyszałem istny hymn na cześć Porządku, który trzeba by zaprowad w Polsce. W związku z tym cytowano nowelkę o miotle, pi Kostka-Biernackiego, o miotle, co to nie mogła ścierpieć p niaczy, przepędziła ich i sama zaprowadziła porządek. Wspo niano à propos Atyllę, Dżingis chana i Hitlera, ,,którzy choc nie mieli matury, słyszeli w sobie ten jakiś głos, co im na zywał czynić...'' Doszło do tego, że w Hitlerze widziano ty kogoś, kto ,,wymiótł plugastwo żydowskie'', tego, kto ,,za zrobił robotę''... Marzono, że gdyby tak jeszcze wykurzyć ki Żydów z zasadniczych ministerstw, Polska odetchnęłaby, i p tycznie i ekonomicznie.

Nie pojęli, gdy wstałem i opuściłem ich salon, salon zac przedwojennej inteligencji. I obawiam się, że umrą, obwiesz krzyżykami i medalikami, ale nie pojmą jednego słowa z Ew gelii. Zanim jednak umrą, zdążą zarazić młodych swym mani twem spod znaku Wernyhory i mitu o Polsce czystej narodo



Równie jaskrawo widać stary nawyk nacjonalizmu, mowa o sprawie ukraińskiej. ,,Nie ma sprawy ukraińskiej'' oświadczył mi kolega szkolny. — ,,Byli Ukraińcy, teraz ich ma. Dopiero, gdybyśmy pozwolili im wrócić, sprawa ukraiń zaistniałaby na nowo''.

Tak się złożyło, że w czasie mego pobytu w Sanoku spr ukraińska ,,zaistniała'' i to nawet dla tych, którzy nie zauwa jej dotychczas. Któregoś dnia, rano, ulicami, w stronę cerk szli ludzie, niosący cerkiewne chorągwie, szaty i sprzęty li giczne. Tego samego dnia, przedpołudniem, odbyła się w sa

kiej cerkwi pierwsza od wielu lat jawna msza obrządku grecko-katolickiego. Odprawił ją siwiuteńki staruszek, ksiądz S. Nie była to zwykła msza, ale jeden wielki szloch, płacz ludzi leżących krzyżem, ludzi, którym październikowa zmiana pozwoliła wyjść z konspiracji, pozwoliła przyznać się do swego języka i do swej religii. W kazaniu swym ksiądz podkreślił lojalność ludności ukraińskiej wobec Polski Ludowej. Wspomniał o tym, jak przed wojną starostwo i miejscowy pułk delegowały w dni Świąt cerkiewnych swych przedstawicieli i wyraził nadzieję, że i obecne władze postąpią podobnie. Na koniec podziękował kardynałowi Wyszyńskiemu za pomoc, a miejscowemu prałatowi katolickiemu za przechowanie, w czasie ciężkich lat, cerkiewnych chorągwi i sprzętu służącego liturgii. Po tych słowach wierni uroczyście odśpiewali na intencję Kardynała i prałata „Mnohije lita".

W cerkwi pozostało tylko kilka kobiet zajętych zamiataniem. I wtedy, z budynku dawnej plebanii cerkiewnej, a gdzie od czasu zamknięcia cerkwi mieści się bursa gimnazjalna, wyszło kilku chłopców. Pokręcili się po cerkwi, na koniec wyszli na dzwonnicę. Po chwili zbiegli stamtąd z „ukraińskimi ulotkami". Zanieśli je na milicję, dokąd natychmiast zawołano staruszka księdza. Gdy przyszedł, oświadczono mu, że po pierwsze, Ukraińcy nadużyli zaufania, przechowując ulotki, a po drugie, nie zwrócili się do miejscowego komitetu partyjnego z prośbą o możność korzystania z budynku cerkiewnego, przeznaczonego urzędowo na kościół szkolny.

Nie pomogło tłumaczenie księdza, że mniemane ulotki są... owennami, o czym świadczy nie tylko krzyżyk, ale przede wszystkim treść — i że wystarczy, aby któryś z milicjantów, znający język ukraiński przetłumaczył druczki, a sprawa zostanie wyjaśniona. Na próżno. Tłumacza nie poszukano, a cerkiew zamknięto.

Mówiłem o tym z sanoczanami. Członek partii widział całą sprawę w kategoriach administracyjno-prestiżowych. „Proszę pana, jeszcze jest tu jakaś władza, co? Jak jest, to jej nie wolno pomijać".

To pewne, że partia poczuła się urażona faktem iż powrót Ukraińców do cerkwi odbył się pod znakiem pomocy władz katolickich, a nie poprzez decyzję komitetu partii, ale tłumaczenie to wygląda na parawan, przesłaniający powody bardziej zasadnicze. Nikt spośród moich rozmówców nie współczuł Ukraińcom. Zamiast stanąć po stronie pokrzywdzonych, zamiast dziwić się decyzji ponownego zamknięcia cerkwi, dziwiono się raczej... jej niedawnemu otwarciu. Epitety, które padały przy tej okazji, wywodziły się w prostej linii z Sienkiewicza i były nacechowane tą samą pogardą dla „chamów", „rezunów" i „volksdeutschów".

Ostatnie słowo zmusza nas do otworzenia dużego, tragicznego nawiasu, bowiem wspomniane reakcje Polaków, mieszkańców Ziemi Sanockiej, o ile są ślepo nacjonalistyczne i po prostu nieludzkie wobec garści Ukraińców przebywających dziś na te-

renach Polski, o tyle reakcje te dadzą się pojąć i lata 1939-194
pomogą nam zrozumieć skąd się wzięła ta twardość serca, cho
ciaż nie pozwolą usprawiedliwić jej *dzisiaj,* w chwili gdy Polacy
jakby nie było są u siebie i u władzy.

Po klęsce wrześniowej, w zajętym Sanoku, Niemcy powie
rzyli miejscowym Ukraińcom sprawowanie administracji. Był t
okres przykry. Ludzie i tak już przybici, musieli jeszcze znosi
szykany współmieszkańców miasta, którzy naraz przestali ro
zumieć po polsku. ,,Był to tylko rewanż'' — powie mi ktoś z Uk
raińców. Zgoda, i właśnie ta cykliczność rewanżów jest prz
rażająca! Były zresztą i sprawy poważniejsze: współprac
z Niemcami, z policją i z Gestapo w tropieniu Żydów, łapani
młodzieży na roboty do Niemiec, ale w pamięci miejscowych P
laków najtrwalej zapisały się napady band UPA w latach 194
1947. Z kimkolwiek próbowałem mówić o sprawie ukraińskie
rozmówca rzucał mi nazwiska.

,,Antosia K. znałeś? Wracał ze Szczawnego z krową
postronku. Poderżnęli gardło i jemu i krowie. Ludzie znale
go na drugi dzień''.

,,W Kulasznem, zabili deskami okna domu, w który
mieszkał jeden z urzędników zarządu kopalni i spalili go ży
cem. Całe Bukowsko spalili''.

,,Gdybyś widział, jak do Sanoka przywożono naszych ż
nierzy spod Komańczy, porżniętych i pomasakrowanych prz
Upowców, to byś inaczej mówił...''

Wzajemna nienawiść dwu sąsiednich narodów ma, nies
ty, czym się żywić i z czego odnawiać. Gdyby zwołać komi
polskich i ukraińskich historyków, sądzę, że udałoby im się
trudu ustalić wiele współzależności aktów przemocy i gwałtu,
pełnianych przez obie strony. Chociaż przypomniałaby o win
obu narodów, bynajmniej nie usprawiedliwiłaby dzisiejsz
postępowania Polaków. Los ich, w porównaniu z losem Ukra
ców przebywających dziś w Polsce, a tym bardziej mieszkańc
Ukrainy Sowieckiej, jest bez porównania lepszy. Inteligen
polska nie jest wywożona, młodzież polska nie jest systematy
nie rusyfikowana... Toteż, właśnie dziś, będąc na wozie, Pol
mogliby zdobyć się na krok w stronę Ukraińców. Nie cho
o deklarację i przemówienia, chodzi tylko o uznanie w nich lu
równych sobie i mających takie same prawo do ziemi, rel
i mowy.

I nie chodzi tu bynajmniej o akt łaski. Ukraińcy wywiez
z Ziemi Sanockiej, a dziś pragnący powrócić, mieszkali tam
tysiąca lat. Po wywiezieniu ich (na Ziemie Odzyskane, bądź
Rosji), Bieszczady opustoszały. Pisała o tym prasa krajo
opisywała życie polskich cowboy'ów, ale trzeba być stam
żeby móc ogarnąć ogrom opuszczenia. Wsie przerosłe trawą
do przebrnięcia, zagrody chłopskie w rozsypce,a naprzeciw t
ambitny ale długofalowy plan osiedlenia w Bieszczadach pię
set rodzin, oczywiście polskich, sprowadzonych spod Now
Sącza, czy Targu, gdzie ziemia jest gorsza...

Ukraińcy próbują jednak wracać na swoje śmiecie. W pierwszej połowie czerwca, kilku z nich zostało nawet pobitych przez polskich osadników. Z wioski w górach Milicja dzwoniła do Komendy w Sanoku, gdzie niestety... nie było nikogo, kogo można by posłać. Dopiero krośnieńska milicja, przyjechawszy na miejsce, aresztowała chłopów.

,,Wiesz'' — mówi do mnie kolega — ,,przyszedł do nas do biura taki cham, przyjechał gdzieś od Olsztyna, i chce wrócić na swoje gospodarstwo. Że był na miejscu, że wszystko niszczeje... Tak my mu radzimy: Jedźcie, obywatelu do Rzeszowa, tam starajcie się o kartkę. A stamtąd odeślą frajera do Warszawy''.

Jednakowoż stosunek władz centralnych do sprawy ukraińskiej nie jest tak jednoznaczny i uproszczony, jak na przysłowiowym ,,szczeblu powiatowym''. Od niedawna Warszawa zaczyna interesować się Ukraińcami, ale robi to jakoś nieśmiało. Może po prostu dlatego, że jak przed wojną, tak i teraz Polska nie ma żadnej polityki wobec Ukraińców. Bo wobec których? Po 1947 roku miało ich nie być. Jedni pojechali na Sowiecką Ukrainę, inni zostali w Polsce, to znaczy zostali wysiedleni na Ziemie Odzyskane; a dziś znowu są. Trzeba też się liczyć z reakcjami ludności miejscowej, o których wspomniałem.

Niemniej, do szkół w sanockim przyszło od władz szkolnych zapytanie, czy są dzieci ukraińskie, pragnące uczyć się w swoim języku ojczystym? Owszem, dzieci się znalazły, ale gdy od rodziców zażądano złożenia pisemnej prośby, rodzice nie odważyli się na napisanie podania. Kto tam wie, do czego jeszcze może w przyszłości posłużyć taka pisemna prośba...

Niemniej, Warszawa przysłała trochę książek dla bibliotek po wsiach, gdzie mieszkają jeszcze resztki Ukraińców (małżeństwa mieszane itp.). Radość z nadesłanych książek była nikła; chłopi byliby wdzięczni za książki w języku ukraińskim ,,tutejszym'', a nie za książki drukowane w Rosji, książki pod każdym względem obce.



Polski Październik obudził pośród Ukraińców wielkie nadzieje, we Lwowie i w Kijowie. Ci spośród Polaków, którzy byli tam w pierwszej połowie 1957 roku, wrócili stamtąd przeświadczeni, że może teraz, może nareszcie, oba narody potrafią położyć krzyż na wszystkim co było, a wspólny los pomoże im zrozumieć się lepiej i zbliżyć...

Myślę o moich sanockich rozmowach i nie wydaje mi się, żeby to zbliżenie mogło wkrótce nastąpić. Cóż bowiem począć z nienawiścią i z ogromem ludzkiej głupoty, która ją żywi i odnawia? Cóż na koniec, a raczej przede wszystkim, począć z nacjonalizmem, który w Polsce zastępuje naraz rozsądek i pracę? Nie wiem co nastąpiłoby w Polsce, chyba koniec świata! gdyby

od pewnego dnia zaczęto mówić w szkole a przede wszystkim w domu, że Żydzi, Ukraińcy, Niemcy, Rosjanie i Czesi, to tacy sami ludzie jak Polacy? I że niektóre z tych narodów umieją pracować w takim samym stopniu, w jakim Polacy umieją pić lub organizować tak zwane czyny zbrojne...

Po co marzyć? Żaden ustrój nie zrezygnuje ze schlebiania nacjonalistycznym ambicjom obywateli. Przed wrześniem 1939 ubożuchna Rzeczypospolita prężyła dumnie pułkownikowski szlify, i w imię praw spadkobierców Piastów i Jagiellonów zwarta i gotowa, maszerowała na Bohumin. Dziś, w podobnej atmosferze, z okazji tysiąclecia istnienia państwa polskiego, par tia przygotowuje gigantyczny kiermasz. Przyniesie on narodow nową porcję pochlebstw, tyle że „postępowych”, pochlebstw, n które od wieków czuła jest nacja polska. Tuż po tym będzie Rocznica Grunwaldu, na którą już dziś zbiera się... publiczn datki (!!!). I kto po tym wszystkim ośmieli się jeszcze wątpić, ż Polacy są jednym z super-narodów? A kiedy załopocą tysiąc biało-czerwonych sztandarów, gdy na otwarcie Millenium za dzwoni Zygmunt wawelski, z pogardą spojrzą Polakowie n Moskali, na Pepiczków, Hajdamaków i na Szwabów — i n przyjdzie im przez myśl, żeby zajrzeć pod pokrywkę do garnka gdzie leżą zawsze te same, postne kartofle.

*Marian PANKOWSKI*

# Refleksje i obserwacje

W okresie ponad miesięcznego pobytu w Kraju nie spot kałem się ani z trudnościami ani przykrościami ze strony wła administracyjnych. Korzystałem w całej rozciągłości ze swobod poruszania się, podobnie jak każdy inny turysta. Nie odniosłe również wrażenia, abym był śledzony. Skłonny jestem przypus czać, że w obecnej chwili zarówno czynniki urzędowe jak i pa tyjne zrezygnowały z przesadnej kontroli ruchu przybyszów i ra czej nie interesują się nimi. Oczywiście nie wahałem się by n wiązać wszelkie kontakty, które uznałem za wskazane, celowe pomocne w rozeznaniu się w obecnej rzeczywistości. I tu również nie napotykałem na żadne opory.

Wszyscy moi rozmówcy, a było wśród nich sporo który dopiero teraz poznałem, starali się odpowiadać często na hu ganowy ogień pytań. Z zasady mało kto uchylał się od barc drobiazgowych, szczegółowych dyskusji, nawet i na barc delikatne tematy. Częstokroć zamiast udzielać odpowiedzi, r

kładano ręce, lecz nie spotkałem się z tendencją mniej lub bardziej grzecznego spławiania natrętnych pytań.

Nie ograniczyłem swego pobytu do Warszawy, ale zwiedziłem szmat kraju, bodajże wszystkie miasta wojewódzkie z wyjątkiem Rzeszowa i Białegostoku. Bawiłem w małych miasteczkach i wsiach. Każdą obserwację, każdą informację konfrontowałem wielokrotnie w rozmowach z przeróżnymi ludźmi w rozmaitych miejscach. Była to również konfrontacja własnego poglądu opartego na lekturze, na rozmowach z przyjezdnymi z kraju, z codzienną rzeczywistością.

## ILU JEST KOMUNISTÓW?

W Polsce nie ma komunistów i gdyby przeprowadzono uczciwe wybory nie otrzymaliby więcej aniżeli 5% głosów — tak brzmi wysoce rozpowszechniona w kraju i na emigracji opinia.

Wiemy oczywiście, że w Polsce było naprawdę mało, bardzo mało komunistów i wolno zakładać, że raczej brakło obiektywnych podstaw dla powstania wielomilionowej masy zwolenników ego systemu. Spójrzmy jednak na rzeczywistość.

Każda partia rządząca — niezależnie od tego jak dochodzi do władzy — zdobywa zwolenników i współpracowników. Szczerych i oportunistycznych. Lojalność czy pewność ich, jest wprost proporcjonalna zarówno do korzyści jakie daje partia ak i do zasięgu jej działania. Nagminnie istnieje tendencja raktowania społeczeństwa jako pewnej całości i to politycznie wyrobionej, co musi nieuchronnie prowadzić do zasadniczych poważnych błędów. W każdym bowiem narodzie ilość osób wyrobionych politycznie jest ograniczona; gdyby było inaczej sytuacja w każdym bodajże kraju na świecie układałaby się inaczej: bylibyśmy świadkami ciągłego ruchu, stałych przemian.

Fakt istnienia ilościowo wielkich mas bezpośrednio niezainteresowanych w sprawach państwowych i politycznych ułatwia umożliwia każdemu systemowi utrzymanie się przy władzy przez pewien okres czasu. Działa on na mocy niemego kredytu obojętnych. Oczywiście w wolnych wyborach co najmniej poważny odsetek obojętnych czy niezainteresowanych ma możność wypowiadania się. Z braku jednak takich wyborów jedynie na podstawie pewnych posunięć wobec tej ludności i na podstawie pewnych jej reakcji można wnioskować jakie jest jej nastawienie.

Komuniści w Polsce ani razu nie skorzystali z możliwości przeprowadzenia wolnych wyborów, nie podjęli ryzyka sprawdzenia swoich rzeczywistych sił i popularności swojej gospodarki, a mimo to głoszą o swoich sukcesach, o wkorzenianiu się w życie.

Jeszcze bardziej uderzające jest, że prawie nikt nie kwestionuje uprawnień do rządzenia tej znikomej mniejszości. Prawa do rządzenia nie odmawia PZPR żaden z czynnych politycznie

czy społecznie działaczy, nie odmawia Kościół, nie odmawiają uświadomieni politycznie, jakkolwiek nie znajdują się w szere- gach tej partii.

Dlaczego?

## ROLA KIEROWNICZA PZPR

Partia komunistyczna objąwszy rządy w Polsce miała jedy nie poparcie obcego państwa. Znalazła się przed obliczem po twornie zmęczonego, wyniszczonego społeczeństwa, zdezorien towanego i żyjącego w iluzjach. I to był duży atut w rękach kierownictwa partii.

Potrzebowała ona ludzi do aparatu państwowego i otworzy- ła szeroko podwoje swojej organizacji. Nie zamykajmy oczu na fakt, że setki tysięcy inteligentów skorzystało z tej możliwości.

Spotykałem członków partii, którzy zajmowali przed wojną nienajlichsze stanowiska w aparacie państwowym, w przemyśle itp. Ani się nie wstydzili swego członkowstwa ani też nie wy- rzekali się swojej przeszłości. Widziałem młodszych oficerów przedwojennych, którzy pozostali w służbie czynnej i nie ujaw- niali ani cienia nielojalności wobec obecnego rządu i kierow- nictwa partii.

Obawiam się, że ta grupa wynosi więcej aniżeli 5% wybor- ców i nie wydaje mi się, by była — przynajmniej w obecnej sytuacji — zainteresowana w zmianach. Czy to komuniści?

Pewien mój rozmówca ironicznie zauważył po bardzo dłu- giej dyskusji: „Ależ oczywiście nie ma w Polsce komunistów nie są nimi nawet członkowie partii a w zaufaniu panu dodam że członkowie Biura Politycznego też nie są komunistami. A to już tajemnica państwowa”.

Nie upraszczajmy sobie tego problemu. Istnieje wielka ro- piętość między aktywnym uczestnictwem w życiu partyjnym karnością wobec organizacji, wiernością wobec zasad programo- wych i każdoczesnych wytycznych a między nastawieniem mi- lionowych rzesz społeczeństwa polskiego do państwa rządzo- nego przez tę partię mniejszości, do systemu, który ona repre- zentuje.

Ta „niekomunistyczna” partyjna czy niepartyjna większość pasywnie akceptuje jednak kierownictwo partii i czynnie współ- działa w funkcjonowaniu wszelkich komórek państwowych i pu- blicznych. U najbardziej nawet psychicznie opornych jednostek wytworzyła się wcale szeroka płaszczyzna dobrowolnego współ- działania z wszystkimi płynącymi z tego logicznymi następ- stwami.

Tak więc pokost komunistyczny dostrzegalny jest chyba bez wyjątku u wszystkich. Do jednych przywarł mniej, do innych bardziej. Z upływem lat stanie się raczej trwalszy, co nie znaczy oczywiście iż nie da się usunąć, ale niewątpliwie:

1) nie bez reszty;

2) decydować o tym będzie społeczeństwo na miejscu.

## „AWANS" PARTII

Nastąpił „awans" partii komunistycznej. Przyznaję, że było ɔ jedno z największych zaskoczeń, niespodzianek, gdyż nie sązę by istniała dostateczna ilość obiektywnych danych dla przerowadzenia tak głębokiej rewizji. Ten „awans" odnosi się arówno do osób jak i do programu, czy jeśli ktoś woli, „ideoɔgii".

Słyszeliśmy więc o sprawiedliwości społecznej, o konieczości podziału dochodów, o zabezpieczeniu należytej pozycji racującym, o dodatnim znaczeniu gospodarki planowej, o wyżrości jej nad kapitalistyczną, o idealistycznym nastawieniu nieórych przywódców, ich patriotyzmie, poczuciu odpowiedzialnoci za losy państwa, narodu itp. Często towarzyszyły tym wypoiedziom westchnienia: „Ach, gdyby nasze położenie geograczne było inne, gdyby oni posiadali większą swobodę działaa".

Czyżby istotnie zabrakło tym ludziom krytycznego probiea? Czyż nie stać ich na obiektywną analizę?...

Dr Zb. Brzeziński w swej relacji z pobytu w Polsce ubieego roku zauważył, że społeczeństwo polskie uważa adminisację Gomułki za rząd ocalenia publicznego, za administrację kresu nadzwyczajnego. Odniosłem wrażenie, że przy wszystch zastrzeżeniach, oporach, przy niezadowoleniach obecnie tniejących, jest to pogląd ścisły. Trzeba jedynie dodać iż ten kres nadzwyczajny jest rozciągły, terminowo bezkresny.

W Polsce panuje duża swoboda słowa mówionego i najośliwsze dowcipy rodzą się w szczupłym gronie komunistyczych intelektualistów, ale nad procesem myślenia zawisła szkoła ɔmunistyczna. Mimo wielkiego rozluźnienia, mimo załamania ę dogmatu poważne ślady „zniewolonego umysłu" pozostały. ie jest zresztą wykluczone, że dobrowolnie, że jest to rodzaj ofilaktycznego zabezpieczenia się, pewnej samoobrony.

— „Może to i dobrze, że jesteśmy oderwani od różnych źródł zachodnich, bo w przeciwnym razie byłoby zapewne znacze trudniej nam żyć. Bylibyśmy bardziej niespokojni, bardziej ɔdnieceni" — mówiono mi niejednokrotnie — gdy starałem się ostować różne mylne poglądy na Zachód.

## STAN PODGORĄCZKOWY

Społeczeństwo polskie od lat żyje w specyficznej, nienormalj atmosferze, co oczywiście musi pozostawić ślady. Stan podɔrączkowy nie jest groźny, ale nie jest normalny. Znakomita iększość społeczeństwa, jeśli nie całe, żyje od lat w stanie ɔdgorączkowym. Tak się do niego przyzwyczaiło iż skłonne st uważać ten stan za normalny ale jasne jest, że w tych

warunkach reaguje inaczej na różne zjawiska. Raz jest bardziej uczulone, innym razem mniej wrażliwe. W każdym wypadku — z reguły — reakcje są odmienne.

— Łatwiej będzie panu zorientować się i rozeznać w naszej rzeczywistości, gdy zechce pan zapomnieć, że jesteśmy narodem, państwem zachodnim — sugerował mi prawdziwie zachodnio-europejski uczony polski. A pewien znakomity pisarz wręcz oświadczył : ,,Robię i wszystko będę robił, by Polska pozostała w kulturalnym związku z Zachodem, ale politycznie należymy i musimy należeć do Wschodu''.

Czy są to oderwane deklaracje wybitnych intelektualistów? Myślę, że nie. Jeden z czołowych publicystów katolickich, oceniając politykę Gomułki i PZPR wywodził iż wahania wobec linii moskiewskiej w polityce zagranicznej są dużym błędem. Zdaniem bowiem jego nie należy pozostawić nawet cienia iluzji w narodzie polskim, że istnieje szansa czy chęć współdziałania z Zachodem.

— I po co to? — mówił. — Zachód jest słabszy, w pozycji przegranej, natomiast w bloku z ZSSR możemy oczekiwać — i doczekać się — zmian pozytywnych dla nas.

,,Pax'' na przykład drażnił bardzo stosunek Gomułki do Jugosławii. Uważano iż nie należy ani przeciwstawiać się, ani drażnić Moskwy. A silniejsze powiązanie z nią to jednak szansa.

Szczytna dewiza ,,za naszą i waszą wolność' znakomicie zdewaluowała się w Polsce. Nie wiem czy jest to jedynie następstwo rewolucji węgierskiej, ale ta wywarła głęboki wpływ na myślenie społeczeństwa polskiego. Wiele zdaje się jednak wskazywać na to, że proces przeobrażenia umysłowego nastąpił w wyniku powstania warszawskiego, zaś lata terroru dokonały reszty.

Błędem byłoby wnioskować, że mamy społeczeństwo politycznie cyniczne, pozbawione pierwiastków idealistycznych, elementów uczuciowych. O nie ! Te są, ale spoczywają w szczelnie zamkniętej kapliczce serca.

Sercem więc wszyscy są po stronie Węgrów, wszystkich uciśnionych i pokrzywdzonych, lecz nad uczuciem panuje zimny rozsądek. Mało : strach ! Regulujący nie tyle postępowanie, ile zachowanie.

Wizerunek współczesnego bohatera polskiego znakomicie odbiega od dawnego, mimo nimbu legendy, otaczającej powstańców warszawskich i żołnierzy Podziemia.

## ANI POWSTANIE, ANI REWOLUCJA

— Polski nie stać ani na powstania ani na rewolucję. Musimy skończyć raz na zawsze z tym porywaniem się z motyką na słońce. Dość tych słów o wielkomocarstwowości ! Wbijano to nam w głowę z wiadomym rezultatem. Musimy pamiętać o swoim położeniu geograficznym i wyciągać z tego wnios-

›la starszego pokolenia to bardzo przykra świadomość, ale za › młodsze nie będzie posiadało tych obciążeń — mówił mi nie ›lko pewien dawny dyplomata, ale i wiele innych osób.

Nie spotkałem nikogo, kto by oczekiwał od Gomułki wy›apień w obronie innych, by pod tym hasłem wszczął zatarg › Moskwą, natomiast społeczeństwo polskie oczekuje od niego ›rony własnego marginesu swobody, odmienności od innych ›ństw komunistycznych. Co więcej, zdają sobie doskonale ›rawę, że nie można oczekiwać zbyt wiele i że chodzi raczej › utrzymanie tego ci istnieje. Niektórzy wprawdzie powtarzają :

*„tak czy owak*
*będzie Nowak”*,

›e wszyscy wolą Gomułkę, choć krąży dowcip, że zmienił na›wisko na „Gadułka”, albo że jest „zdalnie kierowany”. I nie ›st zapewne przypadkiem, iż przy ogromnej utracie popularności ›chował ją w znacznie większym stopniu w bezpartyjnym spo›czeństwie, aniżeli w kołach partyjnych.

Nie ! To nie jest ani intelektualista ani inteligent, ale czło›ek o dużym zmyśle realistycznym. Na ogół wszyscy mówili › jego patriotyzmie, zmyśle państwowym co miało świadczyć, › tym wyróżnia się od wielu innych komunistów. Panuje prze›nanie, że grono jego zaufanych i najbliższych współpracow›ków jest szczupłe, co jednak nie przeszkadza mu w utrzyma›u kontroli nad całą partią. Wynika to z samej jej struktury.

Na pytanie czy istnieje możliwość usunięcia Gomułki przez ›uro Polityczne KC odpowiadano zgodnie, że nie „sua spon›”. Innymi słowy może to nastąpić jedynie w wyniku posta›wień powziętych poza tym zespołem, ale w oparciu o niego. ›formowano mnie dalej, że oczywiście, w obecnym składzie KC ›ajdzie się zestaw nowego kierownictwa, nie mówiąc o tym iż ›ektórzy kandydaci znajdować się mogą na bocznym torze.

## PROCES ADAPTACJI

Wróćmy jednak do nastawienia społeczeństwa, do tego wy›żnego, współczesnego pozytywizmu. Znając już genetykę tego ›nu łatwiej go zrozumieć.

Społeczeństwo zmęczone, zawiedzione w nadziejach, zdezo›ntowane propagandą, ugniatane terrorem musiało znaleźć ›my adaptacji. Różni w różnym stanie weszli na tę drogę ›ak mówiono mi : „Nie o to chodzi, że jest w partii, piastuje ›ie czy inne stanowisko, ale jak się zachowuje”.

Spotykałem się często z następującym podziałem : 1) Lu›e, których znało się przed wojną ; 2) Znanych dobrze z okresu ›upacji, w tym z obozów, oddziałów AK itp. ; 3) Powojennych ›ajomych ; 4) Partyjnych.

Odnośnie pierwszej grupy, niezależnie od tego czy są w ›rtii czy poza nią uważa się, że można mieć do nich duże zaufa›. Odnośnie drugiej jedynie do bardzo bliskich i pozapartyj-

nych natomiast do dwu ostatnich nie można w ogóle mieć za fania. Skłonny jestem przypuszczać — na podstawie własny obserwacji i doświadczeń — że ten podział daleki jest od ob zu rzeczywistego. Być może pasował do poprzednich lat, obecnie nastąpiło ogromne przetasowanie elementu ludzkie nie mówiąc już o tym, że w tym podziale nie ma miejsca pokolenia młodszego, które przecież żyje, działa i odgry wielką rolę.

Siłą komunistów do października był terror. Z rewe cjami Chruszczowa o Stalinie zawalił się gmach ideologicz załamało się młode pokolenie, zaplecze i nadzieja partii.

W październiku 1956 roku wydawało się, że żywot pa został przesądzony. Wówczas wszedł na arenę Gomułka z zwanym programem „odnowy" przeprowadzając wręcz parad salną operację: *odbudował partię w oparciu o antyparty antykomunistyczne społeczeństwo.*

Niewątpliwie dla pewnej części była to przykra niespodzi ka, największa natomiast dla grupy młodych komunistów, „ideologów" października.

*Pasywna akceptacja kierownictwa PZPR, przystosow się do powstałych warunków, wyrobiła — jako formę sa rozgrzeszenia — w masie inteligenckiej „myślenie państwo*

Ono to ma być rzeczywistym motorem działania tych lu powoduje częstokroć dobrowolne nakładanie okularów zaró przy ocenie rzeczywistości, możliwości na przyszłość jak i du na Zachodzie.

Milcząco należy to oczywiście uzupełnić normalną kon nością zapewnienia sobie warunków codziennego bytu. Sum te wszystkie elementy otrzymamy odpowiedź na pytanie, dr ce niejednego na Zachodzie: jak to się dzieje, że mniejszość munistyczna — bez stosowania fizycznego terroru — nie rządzi, ale nie jest w tych rządach zagrożona a nawet pos „antykomunistycznych" lojalnych współpracowników.

## OPOZYCJA WEWNĘTRZNA

Istnieje w Polsce wielka ilość powielanych, pisanych na szynie, satyr, doskonałych, krytycznych artykułów, odsłan cych kulisy różnych skandali itp. Nie wiem skąd poch czy są dziełem jakichś jednostek czy grup. Niektóre zdra doskonałe pióro, inne znawców przedmiotu. Najbardziej rzyło mnie iż były skierowane przeciwko nieporadności rz cych, korupcji różnych dygnitarzy, ignorancji innych, lec przeciwko fundamentalnym założeniom systemu. *I to poz przypuszczać, że literatura ta wywodzi się z „wewnętrz eksportu" PZPR.*

Opozycja wewnętrzna formalnie zamilkła, została roz na. Starsi „stalinowcy" otrzymali ciepłe posadki a wszysc bierają jakieś wysokie pensje, związane ze stanowiskami

io piastowanymi. Błędem byłoby jednak przypuszczać, że opo-
ycja ta przestała istnieć. Dotyczy to również tak zwanych rewi-
jonistów. Trudno powiedzieć jaki odsetek tej grupy pogodził
ę z nowym kierunkiem i szczerze go uznał, jaki podporządko-
ał się bez przekonania a jaki po prostu milczy.

Wydaje mi się również — na podstawie licznych rozmów
tymi ludźmi — iż błędem byłoby uznać tych spośród młodej
nteligencji komunistycznej, którzy opuścili szeregi partyjne —
a przeciwników systemu, który nazywają socjalistycznym. Wol-
o raczej przypuszczać, że *wielu z nich jest skłonnych w odpo-
iedniej chwili znowu włączyć się aktywnie w życie polityczne,
yjść z obecnego specjalistycznego, zawodowego schronienia.*

Ludzie tej kategorii posiadają zresztą najżywsze kontakty
grupami o innych przekonaniach. Nie są to jednakże żadne
owiązania natury politycznej, *brak jest wszelkich śladów a na-
et zamiarów tworzenia zrębów organizacyjnych.* Nie przypusz-
am, by wynikało to li-tylko z faktu iż nie można tego robić
względów administracyjnych, jako że nie trudno byłoby zna-
źć formy kamuflażowe, ale po prostu *ludzie ci jeszcze nie
ojrzeli do takich akcji, nie wytworzyli żadnej koncepcji.* Można
h uważać, i sami uważają się raczej za *pewnego rodzaju
zerwę, za ludzi znajdujących się politycznie w stanie nieczyn-
ym, którzy bądź zostaną w sprzyjających okolicznościach po-
ołani do życia politycznego, bądź potrafią narzucić pewne kon-
pcje polityczne.*

Ani pokonani ani bankruci nie nadają się do ideologicznych
dziełów szturmowych, stąd taki chaos na tym odcinku wśród
munistów, stąd obrona miast natarcia, lizanie ran w bez-
ecznym mateczniku. Jaskrawe przeciwieństwo do intelektualis-
w katolickich. Tam poszukuje się nowych, konkretnych form
a mocnego trzonu ideologicznego, ciągle jednak nie praktycz-
-politycznego. Pierwsi posiadają jednak olbrzymi atut w po-
ici nieograniczonych wprost środków działania, podczas gdy
udzy walczą z ogromnymi trudnościami, muszą strzec się
zed niezliczoną ilością pułapek, przed ponętnym, lecz zdra-
wym widmem łatwego zwycięstwa. Tym tłumaczy się już nie
rożność ale daleko posunięta wstrzemięźliwość i samowyrze-
enie się tej grupy.

W konsekwencji przedłuża się okres wykluwania się form
ologicznych, starcia dwu kierunków, wśród których katolicki
iadomie zmierza do znalezienia pewnego modus vivendi.

Aktywni i nieaktywni komuniści zgodnie wywodzili, że nie
a powrotu do dawnych form, które każdy zresztą inaczej oce-
ił i określał. Nawet zwolennicy przeszłości godzili się z takim
oglądem. Jednocześnie wszyscy głoszą, że ,,socjalizm'' jest
yną możliwą formą ustrojową dla Polski. Niektórzy nie prze-
li, że nie jest to ustrój idealny, nie kwestionowali iż *przy-
ie przynajmniej pewnych form kapitalistycznych, demokra-
znych byłoby celowe ale jednocześnie zastrzegali się, iż na*

*pewno nie w obecnych warunkach ani też na przestrzeni n… bliższych kilku lat.*

Słyszałem również wręcz ,,heretyckie'' opinie w tym gro… a mianowicie, że komunizm jest odpowiednią formą rządzc… dla krajów biednych i zacofanych, tam zdaje znakomicie eg… min. Polska była w sytuacji przymusowej, gdyby nie for… ,,socjalistyczna'' nie udałoby się ani odbudować kraju, ani pr… prowadzić jako takiej stabilizacji po wojnie.

O czynniku zewnętrznym, najbardziej decydującym, wszys… dyskretnie —a myślę że rozmyślnie — milczeli.

Ale ten ,,socjalizm'' oznacza również partię i to PZ… i dlatego uważają, iż wszystko będzie można przeprowadzić … dynie poprzez partię. Zdaniem ich istnieją możliwości ewoluc… nych przemian. Ale to kwestia raczej długiego czasu, nie mów… o tym, iż uzależniona jest od wielu niewiadomych czynnik… jak, chociażby, rozwój sytuacji międzynarodowej.

— A może i od nastawienia Moskwy? — pytam.

— To też jest czynnik międzynarodowy — pada od… wiedź.

## KOCHACIE GDAŃSK?

ZSSR nie jest popularny w Polsce i niektórzy komu… z nieukrywaną złością wskazywali, że nawet w Wielkiej … tanii nie kocha się Amerykanów. Biedni nie lubią możnych, … szałem często. Święta prawda.

Wiadomo jednak, że — mówiąc wysoce oględnie — … sympatii do Rosji, do ZSSR ma w narodzie polskim w… głębokie i dostatecznie uzasadnione powody. W obecnych … runkach politycznych jest to *jedynie przekorna manifes… uczuć.* Jest to jeden z licznych paradoksów polskiego ż… Myślę, że wyłania się wyraźnie z następującej relacji pewn… dziennikarza belgijskiego, który niedawno bawił w Polsce. … jego dialog z warszawskim kolegą — członkiem partii.

— Wy nie lubicie Niemców, prawda?

— Nie, ale to przecież chyba zrozumiałe dla pana!

— Tak, tak. Nie mam zastrzeżeń, ale wy zdaje się rów… nie lubicie Rosjan?

— Hm, jak to panu powiedzieć? Pewnie, że nie koch… Mamy przykre wspomnienia z przeszłości dawnej i nieda… nie zawsze zachowują się należycie.

— Rozumiem, ale niech mi pan powie czy Szcz… Gdańsk, kochacie?....

— Zapewne, Ziemie Zachodnie są bodajże najważniej… elementem ustawiającym orientację polityczną społeczeństw… skiego. Nie jest to jednak jedyny. Do ciężaru położenia ge… ficznego dochodzą powiązania, zależność gospodarcza. S… czynniki o których nie chce się w Polsce mówić, ale one k… tują życie i nastawienie. Najzupełniej zbędne jest straszyć …

<ę dywizjami sowieckimi, *bo na przykład wstrzymanie dostaw awełny i rudy żelaznej doprowadzi najdalej w ciągu trzech tyodni do unieruchomienia całego przemysłu tekstylnego i ciężiego.*

Wystarczy, prawda?

Ale niezliczone dowcipy na temat ZSSR, brak entuzjazmu o Rosjan, to pewnego rodzaju zadośćuczynienie za niewesołą viadomość zależności, słabości i niemocy. Powiedziałbym naet, że to klapa bezpieczeństwa.

Nie będę na tym miejscu relacjonował codziennych warunów życia w Polsce, ale ograniczę się do stwierdzenia, że są ężkie. Stopa życiowa jest niska, rozpiętość między cenami dochodami duża. Polska jest nadal biedna i zacofana i bardzo owoli dźwiga się z najniższego upadku. Suma błędów przeyższa sumę osiągnięć, ale w tej chwili istnieje już świadomość go i nikt nie usiłuje ukryć obrazu rzeczywistości, co samo przez ę jest dodatnim objawem.

Nad całym społeczeństwem i nad krajem ciąży przede szystkim nieświadomość dnia jutrzejszego. Jest to szalone obążenie, potężny hamulec dla wszelakich poczynań. Źródła tego wielorakie: wewnętrzne i zewnętrzne, uzasadnione i nieuzadone, ale w ostatecznym efekcie działają wspólnie. I ujemnie.

## W MIEJSCE ZAPLECZA

Partia ma tylko bardzo cienkie zaplecze w proletariacie co anowi największą jej słabość. Naturalnie przystąpiono do acy na tym odcinku, jednakże nikt nie ma wątpliwości, że nie jdzie to ani łatwo ani szybko. Brak jej młodego pokolenia, rowego — pod każdym względem — narybku robotniczego. łodzież fabryczna, a więc trzon proletariatu, stroni od partii ci którzy należą nie zdradzają wielkiego zainteresowania pracą ganizacyjną. Często jest to element najbardziej oportunistycz-, traktujący przynależność do partii, przyjmowanie w niej cichś funkcji jako czynnik w awansie materialnym. Naturalnie cie podejście — świadomie czy nieświadomie — jest powszech- wszędzie, ale właśnie w obecnym etapie i w szeregach PZPR, t objawem ujemnym, który nieuchronnie doprowadzi do upad- wartości kadr.

Trudno jest obserwatorowi nie dostrzec w Polsce wyraźnej olucji wsi. Nie, wieś nie jest komunistyczna. Wiele mówi się n o ruchu ludowym, o prawach chłopskich, o tradycjach orgaacyjnych, o specyficznych potrzebach. Ale ta wieś — po trzymaniu kolektywizacji — posunęła się naprzód materialnie społecznie. O ile w poprzednim okresie cierpiała materialnie yle na odcinku społecznym ewoluowała.

Ze wsi wyszła na przykład wcale poważna warstwa nowej eligencji, a obok niej wielu niższych i średnich pracowników norządowych i państwowych. Dawniej wieś dostarczała mias-

tom tylko jednostki, dziś nastąpiła wcale radykalna zmiana. Z wsi pochodzą policjanci, oficerowie, nauczyciele i lekarze. I nie pozostaje bez wpływu na powszechne nastawienie wsi. Każd czuje, że potencjalnie może awansować. Natomiast ta now warstwa zawodowa i inteligencka, która wyszła ze wsi nie p zostaje w zasięgu ,,myślenia wiejskiego'', nie reprezentuje sw jej ,,klasy''. Owszem, reklamuje swoje pochodzenie, gdyż je to dobrze widziane, pomaga w karierze, ale stara się wrast w nowe środowisko, środowisko rządzące. Jest to element prę ny, ambitny, wyrosły w całkowicie odmiennych warunkach. M przeszłości nie przemawia do niego, nie dochodzi wprost do jeg świadomości.

I nawet gdy jest nie partyjny jest z partią wieloma więza związany. On to uważa ją bardziej aniżeli ktokolwiek inny ,,transmisję państwową''. W jeszcze silniejszym stopniu odno się to do elementu pochodzącego z dawnych województ wschodnich i południowo-wschodnich z tym iż rozciąga się ró nież na dzieci niższych funkcjonariuszy państwowych i samorz dowych, średnich urzędników itp.

Wdzięczność nie jest cnotą rozpowszechnioną i nie wol na niej zbytnio budować. Byłoby więc zapewne błędem pr puszczać że ci wszyscy wyawansowani są bezgranicznie wier oddani partii i jej rządom, lecz co najmniej równie błędne byłb zakładać, że są oni zainteresowani w gwałtownej zmianie ust ju, że są zasadniczymi jego przeciwnikami. Naturalnie tęsk do przemian, do reform ale to jest co innego.

Jest jeszcze jeden awans wsi stanowiący niemniej cen atut obecnego ustroju, a mianowicie przenikanie ludności w skiej do miast w związku z uprzemysłowieniem kraju. Teo tycznie wieś jest rezerwatem proletariatu miejskiego i gdyb ten proces odbywał się ewolucyjnie nie odróżniałby się nicz od podobnych procesów na Zachodzie czy w dawnej Polsc Wiemy jednak w jakich warunkach dokonał się. Otóż ten no proletariat ciągle jeszcze nie ma oblicza robotniczego a częst kroć nawet jest wrogo nastawiony do tradycji robotnicz Wędrując po różnych zakładach pracy w Polsce mogłem stw dzić, że pojęcie ,,świadomości proletariackiej'' jest dla tej no warstwy czymś zupełnie obcym. Niewątpliwie jest to jesz jeden z licznych paradoksów współczesnej rzeczywistości polsk Partia głosząca iż jest ,,awangardą'' proletariatu znajduje parcie w robotniku, nie posiadającym ,,świadomości proletar kiej''. I jeśliby ktoś sądził, że partia i jej rząd są z tego zadowoleni byłby w grubym błędzie. Naturalnie mówi się o nieczności ,,należytego'' wychowania tych ludzi, ale w rzec wistości brak tradycji robotniczych jest władzom wysoce rękę. One bowiem osłabiają solidarność robotniczą i na tym doszło nie raz w różnych zakładach do zaburzeń czy bójek a wet do krótkich, dzikich strajków.

Do pracy zawodowej i na wyższych uczelniach pojawia pokolenie urodzone w latach 1938-1939. Różni się ono i od t

›óre jest zaledwie o kilka lat starsze. Nikt nie może za-
›zeczyć, że pozbawione jest ono więzów z minioną przeszłością.
.k wyglądać będzie start życiowy tego pokolenia?...

Stawianie horoskopów byłoby na pewno zwodnicze. Byłoby
›kże uproszczeniem gdybyśmy usiłowali rozpatrywać je w oder-
anju, gdyż niewątpliwie istnieją powiązania między tymi rocz-
ıkami a nieco starszymi. Nie wskoczą one w życie jako ode-
rvana całość i w dalszych latach dojrzewania będą ocierać się
ı starszych i młodszych, ale mimo to reprezentują już odmienny
:p psychiczny. O to pokolenie rozegra się teraz wielka batalia.

Inteligencja polska, opierając się na obowiązującej tezie, że
je w ustroju, którego ideałem jest „bezklasowe” społeczeń-
wo przyjmuje na siebie rolę nieomal apostolską. Uważa, iż
natury rzeczy przypada jej kierownictwo. Uzasadnia to rów-
eż tym, że wywodzi się z różnych „dawnych” klas czyli sta-
wi emanację całego narodu. I jakkolwiek przywódcami ruchów
botniczych byli — i są — inteligenci partia takiej zasady uz-
ć nie może i nie chce. Korzysta dowolnie z inteligencji, awan-
je poszczególnych jej członków, lecz nie oddaje im prymatu.

W PZPR — wbrew pozorom — inteligencja bynajmniej nie
sadziła większości czołowych, kierowniczych stanowisk.
nacznу odsetek inteligencji w szeregach partyjnych rekrutuje
ze „średniaków”, z grupy pracowników zawodowych. Zesta-
enia nie uwzględniające wykształcenia zniekształcają i ten ob-
z, gdyż na stanowiskach tak zwanych inteligenckich, jak na
zykład dyrektorów przedsiębiorstw, naczelników, kierowników
stytucji, wydziałów, spotyka się wielu robotników. Jest szereg
ższych oficerów, którzy dopiero w wojsku, gdy znaleźli się
odpowiedzialnych funkcjach, otrzymali pewne wykształcenie
szczeblu średnim.

Wydaje się, że inteligencja, przede wszystkim intelektua-
ci, osiągnęła swój najwyższy szczyt w dniach poprzedzających
lski październik oraz bezpośrednio po nim. Nie można jeszcze
ówić o nastrojach antyinteligenckich, lecz istnieje wyraźna ten-
cja nie przeceniania tego elementu i utrzymania go w ściśle
chowych, zawodowych ramach.

## „KULTURA” W KRAJU

Na zakończenie coś niecoś o „Kulturze”. Miło było stwier-
ıć, że w wielu domach, nie mówiąc o instytucjach i organi-
cjach, znajduje się nie tylko „Kultura”, ale i wiele jej wy-
wnictw książkowych. Niektóre instytucje uskarżały się, że
nzura regularnie i konsekwentnie konfiskuje egzemplarze „K”
wszelkie reklamacje pozostają bez skutku.

Miesięcznik krąży z rąk do rąk. Niektórzy otrzymują tylko
które numery, niemniej jednak pismo jest raczej szeroko zna-
, jak to wynikało chociażby z rozmów. Oceniane jest przez
zystkich, partyjnych i niepartyjnych dodatnio. Pierwsi oczy-

wiście mają już nie tylko zastrzeżenia, ale potężne skargi. I t
na przykład atakowano artykuły Mieroszewskiego, irytowa
się na felieton inż. Ledóchowskiego, by wymienić ostatnie n
mery. Zarzucano „K", że usiłuje siać zamęt, że chce tworz
opozycję, że..., że...

W toku jednej rozmowy ktoś rzucił : — Giedroyc zach
wuje się w stosunku do nas, do Polski Ludowej, jak suweren
jak oddzielne państwo.

— Po troszę ma do tego prawo, bo czy my sami nie uw
żamy go za takiego? Czy każdy z nas, udający się zagrani
nie pędzi do Maisons-Laffitte — zauważył wcale wybitny cz
nek partii.

Najbardziej popularnym z pisarzy znajdujących się na em
gracji jest niewątpliwie Miłosz. Nie padały pod jego adres
żadne złośliwości i uszczypliwości co najwyżej niektórzy utr
mywali iż omylił się — podobnie jak Orwell — w „Zniewolon
umyśle".

W kołach literackich bardzo wysoko cenią Józefa Czapsk
go, Pawła Hostowca, W. Gombrowicza. Cykl amerykań
Aleksandra Hertza wywarł duże wrażenie i stanowił temat l
nych rozmów. Były i pretensje za wydanie „Cmentarzy" Ma
Hłaski, co uznano gdzieniegdzie „za prowokacyjną demons
cję". Ale te gorączkowe nastroje były już w stanie zamiera
Zapewniano mnie, że Hłasce na pewno nic nie grozi po pow
cie poza... przymusowym milczeniem, to znaczy odmową c
kowania. Niezbyt zachęcająca perspektywa dla młodego pisa

*Benedykt HEYDENKORN*

# ?olacy w Szkocji

## WSTĘP

Na około 150.000 Polaków zamieszkałych obecnie na wyspie ·ytyjskiej, na Szkocję przypada niecałe 5.000. A był przecież ·res kiedy liczba Polaków w Szkocji przekroczyła 60.000.

Pierwsi polscy żołnierze przybyli do Szkocji w maju 1940 ku. Byli to ranni z kampanii norweskiej. Umieszczono ich szpitalach pod Glasgow. Dla nich też powstało pierwsze — wielane — pismo polskie na ziemi szkockiej. Był nim ,,Kurier asgowski'', wydawany i redagowany przez panią Jadwigę Ha- ·sowską. Następnie, w czerwcu 1940 roku, przybyły pierwsze działy polskie z Francji. Wkrótce całe hrabstwo Lanark po- yte było obozami wojskowymi, a z czasem — cała środkowa kocja. Tu mieściło się Dowództwo I Korpusu, formowała się Dywizja Pancerna, pod dowództwem generała Maczka i Sa- ›dzielna Brygada Spadochronowa, dowodzona przez generała ›sabowskiego.

Historia stosunków polsko-szkockich weszła w swoją dru- . fazę. Nie trzeba bowiem przypominać, że stosunki te się- ją daleko w przeszłość. Wszystkim jest zapewne wiadomo, że ıtką popularnego do dziś w Szkocji Bonnie Prince Charlie była ıuczka Jana Sobieskiego. Mniej się wie o takich ciekawost- ch historycznych jak ufundowanie przez Szkotów, zamieszka- :h w Polsce w XVIII wieku, dwóch stypendiów dla studenta ·laka i studenta z Polski pochodzenia szkockiego, wiary zrefor- ›wanej, na trzyletnie studia w Edynburgu. Lub o tym na ·zykład, że festiwale muzyczne w Edynburgu zapoczątkował ·jaki Janiewicz, kompozytor i znakomity skrzypek. Był to rok ›5. Trzeba też dodać, że w sto lat później przybyło do Szkocji ka grup emigrantów zarobkowych z dawnych ziem Rzeczy- spolitej (wśród nich pewna ilość Litwinów), którzy osiedlili w okolicy Dundee, Falkirk i pod Edynburgiem. Trudno jest

dziś natrafić na jakiś ślad tych małych i sporadycznych grupek

Ale stosunki polsko-szkockie do czasu przybycia wojsk pol-skich do tego górzystego i raczej surowego kraju, były główni historią Szkotów w Polsce. Sławny ongiś podróżnik i awantur-nik szkocki, William Lithgow, pisał w swoich „Peregryna-cjach" (1), wydanych w roku 1632, co następuje:

„And for auspicuousness, I may rather tearme it (to znaczy Polskę) to be a Mother and Nurse of the Youth and Younglings of Scotland, who are yearly sent hither in great numbers ...; in cloathing, feeding, and inriching them with the fatnesse of her best things; besides thirty thousand Scots families, that live incorporate in her bowells. And certainly Polland may be tearmed in this kind to be the mother of our Commons, and the first commencement of all our best Merchants' wealth, or at least most part of them".

Na temat Szkotów w dawnej Polsce ukazało się kilka opra-cowań. Najbardziej źródłowy jest zbiór dokumentów, wydany w roku 1915 w Edynburgu, pt. „Papers relating to the Scots in Poland". U nas pisał na ten temat w latach trzydziestych Wa-cław Borowy, w serii artykułów w „Tygodniku Warszawskim"; część z nich ukazała się następnie w tłumaczeniu angielskim nakładem Scottish-Polish Society w roku 1941, kiedy to historia odwróciła sytuację, i przypomnienie dawnej, na ogół życzliwej gościnności polskiej, było na czasie.

W tych pierwszych latach gościnność szkocka na pewno do-równywała staropolskiej. Obawa przed inwazją niemiecką czyniła z Polaków cennych sojuszników. Już w październiku 1940 roku 1 Korpus, chociaż niekompletny, przejął odpowiedzialność za obronę wschodniego wybrzeża szkockiego od Rosyth aż do Montrose. Tymczasem trwał napływ Polaków z różnych części świata. W 1941 roku pojawili się zesłańcy z Rosji; przypływały grupy ochotników ze starych zamorskich emigracji, a w 1944 roku przyszły pierwsze transporty Polaków — jeńców z armii niemieckiej. Równocześnie na front poszła 1 Dywizja Pancerna i Samodzielna Brygada Spadochronowa.

Wiosną 1945 roku, kiedy Samodzielna Brygada Spadochro-nowa wróciła z Niemiec, a nowouformowana 4 Dywizja Pie-choty osiągnęła swój pełny stan, liczba Polaków w Szkocji przekroczyła 60.000.

Wkrótce potem zaczął się jednak odpływ. Za przykładem dowódcy i zastępcy dowódcy 1 Korpusu blisko 50 procent żoł-nierzy powróciło do Kraju. Część wyemigrowała za ocean; inni osiedlili się na terenie Anglii.

Obecna liczba 5.000 — to głównie pozostałość stacjono-wanych tu kiedyś oddziałów, przemieszana z przybyszami z Nie-miec, AK i 2 Korpusu.

(1) W. Lithgow, *The Totall Discoveries of the Rare Adventures and Painful Peregrinations;* Glasgow 1906.

## KRAKÓW POLSKIEJ EMIGRACJI

Do Edynburga chcieliśmy przyjechać wczesnym wieczorem, :e zatrzymały nas górzyste krajobrazy i zamki — zdążyliśmy opiero na godzinę 12-tą w nocy. Dojeżdżaliśmy od strony schodniej, droga coraz to doskakiwała do morza, odbiegała głąb lądu, przebiegała piękne małe miasteczka, by w pewnej wili strzelić prosto na jarzące się wzgórze stolicy Szkocji. dszukaliśmy Dom Kombatanta, ale oczywiście był już zamnięty. Nasze dzwonki i kołatania nie odniosły skutku. Zaczęmy więc objazd po mieście w poszukiwaniu taniego noclegu. yciągnęliśmy z łóżek kilku zaspanych właścicieli ,,guestuse'ów'' i tak zwanych ,,Bed-and-Breakfast'', ale odpowiedź ła zawsze ta sama : *full up* — miejsca nie ma. Ktoś posłał s do największego hotelu w mieście — the Caledonian. Za c za osobę płaci się tam £2-12-0. Niestety, nie na naszą kieeń. Szukaliśmy więc dalej. Wreszcie, zmęczeni do ostatka, naliśmy cenę £1-12-6 za kilka godzin spania jako zupełnie ską. Był to nasz najkosztowniejszy nocleg.

Rano świeciło słońce, jeszcze świeciło — gdyż przez resztę szego pobytu mieliśmy pogodę typowo szkocką, to znaczy co gorszą od angielskiej. Wyszliśmy więc na miasto. Śródeście Edynburga obejmuje szczyt wzgórza i wraz z nim opada syć stromo w kierunku zatoki. Najpiękniejszą ulicą miasta jest zestrzenna, w stylu paryskim, Princess Street — główna arte- ruchu, biegnąca grzbietem wzgórza. Środkowy jej odcinek budowany jest tylko z jednej strony; druga strona otwarta jest zieloną dolinę pieczołowicie utrzymanych ogrodów, w których eści się edynburski ,,teatr na powietrzu'' i z którego wystrzela górę czarna i brzydka iglica tak zwanego ,,Scot's Monunt''. Budowle z czarnego kamienia są w ogóle cechą charakystyczną Edynburga.

Zielona dolina ogrodów kończy się dosyć nagle u stóp giej skały wzgórza, które warte jest piękniejszego zamku, ten, jaki na nim stoi. Jest to istny zlepek budowli wzniesioch w różnych wiekach, systemem dobudówkowym. Najstarsza ść zamku to kaplica Św. Małgorzaty, zbudowana w 12-ym eku.

U wschodniego wylotu Princess Street — ulicy Księżniczki na osobnym wzgórzu, wznosi się kolumnada, która przypona fronton Partenonu. I, jak się okazuje, jest to rzeczywiście ść niedokończonej jego repliki. Edynburg już od dawna snoje się na Ateny północy. Budowla stoi niedokończona, gdyż astu zabrakło pieniędzy. Pomocy finansowej, ofiarowanej ez Glasgow, niechętnie godzący się na prymat Edynburga, pozwoliła edynburczykom przyjąć duma. I tak pozostał fragnt aspiracji i pomnik snobizmu.

Tak jak Szkoci nazywają Edynburg Atenami północnymi, tak miejscowi Polacy nazywają go, czasami z ironicznym uśmiechem, Krakowem polskiej emigracji.

Kraków polskiej emigracji? Można go sobie różnie wyobrażać; szczególnie, że istnieje mit jakoby w Edynburgu skupiała się prawie wyłącznie inteligencja polska. Mit ten zdaje się być odbiciem innego mitu: w popularnym obrazie Edynburga nie ma miejsca na — rozległe przecież — dzielnice robotnicze. Mówi się, że jest to miasto emerytów, urzędników i profesorów.

Ma on także swoje uzasadnienie historyczne. Polonia szkocka jest najstarszą częścią obecnej emigracji na wyspie brytyjskiej. Tu, w Szkocji, procesy asymilacyjne zaczęły się parę lat wcześniej, niż w Anglii. Pierwsza Szkoła Nauczania Przedmiotów Ojczystych, tak zwana Szkoła Sobotnia, powstała w Edynburgu, w roku 1948. Tu były centrale kilku organizacji (np. Światpolu), które przeniosły się później do Londynu. Do roku 1953 Szkocja była samodzielnym okręgiem SPK, najliczniejszej organizacji społecznej na terenie Wielkiej Brytanii. W samym Edynburgu skupiało się kiedyś 2.000 Polaków. Przy uniwersytecie edynburskim istniał Polski Wydział Lekarski, który do momentu likwidacji w roku 1949, wydał 227 dyplomów lekarskich i 19 doktoratów medycyny. Obok niego istniał Wydział Studiów Weterynaryjnych (1943-1948) przez który przeszło ponad 60 studentów. Istniało tu także Studium Pedagogiczne (1943-1946), które wykształciło pewną grupę nauczycieli-pedagogów. Tutaj też zawiązało się Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, dziś z siedzibą w Londynie. Polska Misja Katolicka na Szkocję, z siedzibą w Edynburgu, której rektorem jest ksiądz prałat Bombas, jest jeszcze do dziś całkowicie niezależna od polskiej hierarchii duchownej w Londynie. Odzwierciedla to podział administracyjny Kościoła katolickiego w Wielkiej Brytanii, na niezależne jednostki Szkocji, Anglii i Walii.

Miano Krakowa polskiej emigracji miało więc kiedyś swoje uzasadnienie.

Dzisiaj, z 2.000 Polaków zamieszkałych w Edynburgu w roku 1948, pozostało jedynie około 900 i to nie w samym mieście. Co najmniej 200 z nich mieszka w bezpośredniej okolicy. Można zaryzykować twierdzenie, że odpływ ten dotyczył w dużej mierze właśnie inteligencji. Część wyemigrowała za ocean, pewna liczba osiedliła się w Anglii i w Londynie.

Obecnie ilość inteligencji polskiej (w sensie *klasy,* nie w sensie I.Q.) nie przekracza 20 procent ogółu. Wystarczy zwrócić uwagę na następujące fakty: w Kole SPK na 230 członków co najmniej 200 trudno by zaliczyć do inteligencji. W Związku Inwalidów jest tylko jeden oficer, reszta to podoficerowie i szeregowi, którzy na ogół z inteligencją, jako klasą, mało mają wspólnego. Istnieje Związek Robotników i Rzemieślników, znowu organizacja raczej nieinteligencka. Dwa prywatne lokale: Olejnika i Kapuścińskiego, opierają swój dobrobyt głównie na robotnikach, rybakach i górnikach.

Co powiedziawszy, trzeba dodać, że w porównaniu z innymi skupiskami Polaków w Wielkiej Brytanii (z wyjątkiem Londynu), procent inteligencji w Edynburgu jest rzeczywiście duży. A fakt, że tworzy on typowo inteligenckie ghetto, umożliwia zapomnienie o istnieniu innego świata.

Odczytujemy więc po nocach Chałasińskiego, a za dnia sprawdzamy jego tezy na żywych przykładach.

## ŻYCIE TOWARZYSKIE I KULTURALNE

Istnieją tu dwa ekskluzywne kluby inteligenckie : Klub Towarzyski i Koło Przyrodników im. Kopernika.

Z Klubem Towarzyskim zetknęliśmy się w jego własnym lokalu na ,,poddaszu'', przy eleganckiej George Street. Z korytarza wchodzi się do podłużnej sali z zakamarkami i małą sceną. Za bufetem dwie starsze panie sprzedają trunki, kawę i ciasta. Na scenie resztki dekoracji : urządza się tu od czasu do czasu improwizowane rewie. W ostatniej, jak się dowiadujemy, główne osobistości emigracyjnego Krakowa grały tu same siebie. Rewia miała formę nadzwyczajnego walnego zebrania; uchwalano rezolucje, wygłaszano mowy. Robiono to tak dobrze, że gdy jeden z aktorów, symulując typową wadę polską, poczuł przerywać mówcy, z widowni wstał jakiś jegomość i z całą powagą dał wyraz swemu oburzeniu. Poczucie humoru jest niewątpliwie jedną z przyjemniejszych cech inteligenckiego środowiska w Edynburgu.

Oprócz rewii, Klub urządza także tak zwane ,,wieczorki przy magnetofonie'' i od czasu do czasu pogadanki.

Tego wieczoru miała się właśnie odbyć w Klubie pogadanka jednego z członków, który wrócił z urlopu z Polski. Pogadanka (nie odczyt, co z naciskiem podkreślano), została odwołana dosłownie w ostatniej chwili : wchodzących na salę informowano, że prelegent nie przyjdzie. Nikogo z przybyłych fakt ten specjalnie nie zmartwił. Komentowano powody nieobecności prelegenta — i wieczór potoczył się normalnym trybem. Przy dwóch stolikach zorganizowano bridge'a ; reszta zebranych oddała się przyjemnościom towarzyskiej rozmowy. Jeden z piszących tę relację tak dalece przystosował się do atmosfery miejsca, że natychmiast odnalazł swoich krewnych, o których istnieniu nie miał najmniejszego pojęcia. Dłuższa ich rozmowa sprowokowała czyjś komentarz, że widocznie rozważania genealogiczne dojść musiały co najmniej do VI wieku !

Ogółem na sali było 20 osób. Poznaliśmy tam między innymi miejscowego ,,satyryka'' i malarza, p. Fusek-Forosiewicza, który na temat tegoż Klubu pisał, parafrazując ,,Grób Agamemnona'' :

*GRÓB TOWARZYSKI*

*Niech fantastycznie wyszczekane pyski*
*Wtórują myśli posępnej i czarnej,*
*Bom oto wstąpił w grób ten towarzyski*
*Rozpaczy pełen wielkiej i koszmarnej*
*I siedzę, cichy i blady jak płótno*
*Z żalu, że pić nie mogę — jak mi smutno!*

Strofa pana Fuska, zamierzona raczej jako dowcip niż charakterystyka, trafnie oddaje nie atmosferę, ale pewną martwotę intelektualną środowiska. Rozmowy naszych gospodarzy były uprzejme, bardzo kulturalne, ale zdawkowe. Horyzont śmietanki towarzyskiej emigracyjnego Krakowa nie wydał nam się zbyt rozległy. Jest to niewątpliwie partykularz, ale partykularz cywilizowany i ogładą towarzyską pokrywający podziały, jakie w nim istnieją. Przy tym samym stole bridge'owym spotyka się tu Zamkowiec ze Zjednoczeniowcem, przy kawie — endek z nidowcem. Gorączka politykierska, jaka tu istniała jeszcze rok temu, opadła. Zaczęto kłaniać się sobie na ulicy, a nawet podawać sobie ręce. Pewna jednak grupa inteligencji do Klubu nie należy; powodem były nie różnice polityczne, ale zwykła małostkowość: jednych nie zaproszono do Komitetu organizacyjnego, innych odstraszył balotarz i formalności konieczne w klubach zakładanych na wzór brytyjski.

Krzywdzącą byłaby jednak ocena inteligenckiego środowiska edynburskiego, oparta wyłącznie na podstawie wrażeń, odniesionych w Klubie. Bardziej miarodajny jest tu intelektualny dorobek Koła Przyrodników im. Kopernika, którego część członków należy także do Klubu. Dziwna nazwa Koła jest nawiązaniem do tradycji Towarzystwa Przyrodników Polskich im. Kopernika, istniejącego w Polsce przed wojną. Koło edynburskie powstało dziewięć lat temu i w zeszłym roku wydało „Pamiętnik" dla uczczenia swego setnego zebrania. Z „Pamiętnika" dowiadujemy się, że celem Koła jest „utrzymanie ciągłości polskiej pracy naukowej i popularno-naukowej". Spis członków i współpracowników wymienia 77 nazwisk, ale w samym Edynburgu Koło liczy dziś niewiele ponad 20 osób. Kilka osób, rozrzuconych po różnych miejscowościach Szkocji, jak Glasgow i St. Andrew's (gdzie na uniwersytecie jest dwóch polskich wykładowców), bierze pewien udział w jego pracach. Reszta członków rozsiana jest po wszystkich częściach świata: od Londynu po Nowy Jork, Malaje i Fidżi.

Przyrodnicze zainteresowania Koła wyrosły na gruncie polskiego Wydziału Lekarskiego i Weterynaryjnego; większość członków rekrutuje się z byłych wykładowców i wychowanków tego wydziału. Z biegiem czasu do Koła weszło paru młodych naukowców, jak np. obecny wykładowca historii średniowiecznej na uniwersytecie edynburskim, Andrzej Malkiewicz. Koło ma

nadzieję na przyciągnięcie dalszej liczby młodych polskich pracowników naukowych, kończących studia uniwersyteckie, ale nadzieje te nie wydają się uzasadnione. Ilość studentów-Polaków w Edynburgu od kilku lat jest minimalna. Ci zaś, co uniwersytet tutejszy kończą, skłonni są raczej emigrować. Poza tym Koło nie jest środowiskiem atrakcyjnym dla młodych naukowców, emigracyjne warunki zmusiły je do poszerzenia i popularyzacji tematyki. Typowe tytuły wykładów z pierwszych lat istnienia Koła to ,,Gruźlica odzwierzęca'' (dr Mglej) lub ,,Zespół gonadowo-przysadkowy'' (dr J. Dekański). W roku 1954 tytuł odczytu brzmi : ,,Mucha tse-tse i ja'', a jedno z niedawnych zebrań poświęcone było ,,latającym talerzykom''. W ostatnich latach częściej reprezentowana jest także humanistyka.

Duszą a zarazem długoletnim prezesem Koła jest dr B.M. Śliżyński, któremu Koło zawdzięcza swą wyjątkowo sprawną, jak na warunki emigracyjne, organizację.

Nie mieliśmy możności bezpośredniego zapoznania się z życiem Koła, gdyż zebrania odbywają się nie częściej jak raz na miesiąc, a był to przy tym sezon ogórkowy. Z rozmów o Kole wywnioskować jednak łatwo, że dla wielu członków jest ono jedyną możliwością kontynuowania zainteresowań naukowych i wymiany myśli. Jako takie, i abstrahując od oceny jego dorobku naukowego, spełnia ono niewątpliwie swą rolę społeczną. Warto dodać, że prelegenci wyjeżdżają od czasu do czasu z odczytami na ,,prowincję''.

Czy polskie środowisko intelektualnie twórcze kończy się w Edynburgu na Kole Przyrodników? Z małymi wyjątkami — tak. Te wyjątki, to trzech dziennikarzy, wspomniany już malarz (który zarabia na życie dorocznymi wypadami do przyjaciela na Gold Coast, gdzie maluje portrety lokalnych osobistości i bogatych Polaków) i jedna kobieta-dekorator wnętrz. Jak na tak szczupłe środowisko nie jest to mało, ale tak nieliczna grupa, odległa poza tym od żywych ośrodków polskiego życia intelektualnego i w dużej mierze istniejąca dla samej siebie, musi nabrać ujemnych cech prowincjonalnego ghetta. Spotykamy tu więc wśród starszych życie przeszłością i nadal żywe zaangażowanie w konfliktach już nieaktualnych; wśród młodszych czasami chęć ucieczki i wyrwania się na szerszy świat. Jednych ratuje humor, innych pielęgnowanie własnego ogródka, lub wir emigracyjnej aktywności, czasem celowej, często zupełnie bezcelowej.

Nawet z konsumpcją kulturalną nie jest tu zbyt dobrze. Jakie wydawnictwa się tu czyta? Rozchodzi się tu trochę ,,Kultury'', mniej ,,Wiadomości'', około 20 numerów ,,Myśli Polskiej'', 5 do 6 egzemplarzy ,,Orła Białego''. Wszyscy oczywiście czytają ,,Dziennik Polski'', choć wszyscy go nie lubią. Jest też rzeczą ciekawą, że czytelnictwo prasy katolickiej wygląda tu podobnie jak w ośrodkach czysto robotniczych : dużo ,,Gazety Niedzielnej'', prawie nic ,,Życia'', parę egzemplarzy ,,Tygodnika Powszechnego''. Z innych gazet krajowych czyty-

wane są tylko popularne ilustrowane tygodniki, takie jak „Świat", „Stolica" lub „Przekrój".

Dla wielu, sprawy bytu, ożywione życie towarzyskie, lub praca społeczna nie zostawiają wiele czasu na lekturę. Rozmowy rzadko dotyczą ostatnich nowości wydawniczych.

## ZAMOŻNOŚĆ INTELIGENCJI

Grupę najbiedniejszych stanowią ludzie starsi, wśród których przeważają oficerowie zawodowi. Część z nich żyje z zasiłku Assistance Board, inni wykonują prace niewykwalifikowanych robotników, jak czyszczenie platerów w hotelach lub sprzątanie miasta. Słynna jest tu tak zwana „Srebrna brygada" czyszcząca srebra w hotelu Caledonian.

Inteligencja pokolenia średniego potrafiła się na ogół urządzić. Oprócz dwóch wykładowców na uniwersytecie, jest paru nauczycieli, kilku właścicieli hotelów, czterech zegarmistrzów, grupa jedenastu lekarzy i dentystów, trochę właścicieli domów — i jeden „król wełny". On to jest bohaterem poniższej sceny, rozgrywającej się każdej niedzieli przed kościołem, w którym odprawia się msza polska (pióra p. Fusek-Forosiewicza):

*Zajeżdżają limuzyny,*
*Piękne panie pełne gracji —*
*Skąd też tyle tej benzyny*
*W politycznej emigracji?*
*Żeby była zarobkowa*
*To bym się tak nie dziwował.*

*Zajechał se jeden taki*
*Prawie jakimś Cadillakiem:*
*Spojrzał w koło, trzasnął w drzwiczki,*
*Białe wciąga rękawiczki,*
*Twarz czerwona, monokl w oku,*
*Trochę taki drobny w kroku —*
*Tuszy owszem, w sobie pełny...*

*Mówią, że to sam król wełny.*
*Ale mówią ludzie pewne,*
*Że on wżenił się w te wełne!*
*Ona wełny jest królową!*
*An on za nią troche w tyli*
*Niby taki polski Filip.*

Nie wszyscy jednak zdobyli swoje firmy poprzez ożenek ze Szkotką. Częściej wymagało to wkładu ciężkiej pracy. Niektórzy startowali z kapitałem przywiezionym z wojska, było paru tak zwanych kasztaniarzy, tym oczywiście przyszło łatwiej.

Ale byli też tacy, co względną zamożność zawdzięczają przede wszystkim pracy własnych rąk, pomysłowości i rzetelności.

Idziemy obejrzeć sklep jubilerski i warsztat zegarmistrzowski państwa Chróścickich. P. Chróścicki skończył w Polsce instytut pedagogiczny, choć zamiłowaniem jego była mechanika. Kiedy więc znalazł się w PKPR, poszedł na kurs zegarmistrzostwa. Po ukończeniu kursu, przyjmował naprawy do domu, szukając jednocześnie odpowiedniego lokalu na warsztat. Nie szło mu łatwo, gdyż był to okres dyskryminacji gospodarczej wobec Polaków. Wreszcie, w roku 1951, wciąż jeszcze praktycznie bez kapitału, państwo Chróściccy otrzymali pożyczkę i zdołali wynająć lokal w dogodnym miejscu. Początki były trudne — zakup precyzyjnych intrumentów jest rzeczą kosztowną. Klientelę trzeba było zdobywać szybszym wykonaniem, punktualnością i troskliwym podejściem nawet do najdrobniejszych zegarkowych kłopotów. Brak pieniędzy na urządzenie wystawy p. Chróścicki obrócił na swoją korzyść w ten sposób, że wykonywał robotę siedząc tuż przed gołym oknem wystawowym, widoczny dla całej ulicy. Okazało się to dobrym chwytem reklamowym. Dla tak realnego zegarmistrza klientela nabrała szybko zaufania, a co więcej, przekonała się, że tu można naprawić zegarek szybciej, otrzymać go z powrotem w ściśle oznaczonym terminie, a nawet zapłacić odrobinę mniej. Konkurencyjne firmy szkockie, zadomowione i prosperujące, przestały od dawna zwracać uwagę na tak drobne udogodnienia. Obecnie, po sześciu latach pracy, witryna kusi oko klienta bogatą wystawą zegarków i sztucznej biżuterii, a p. Chróścicki pracuje w głębi sklepu dobrze zaopatrzony w precyzyjne instrumenty. Przyszłość firmy zapewniona. Historia — na pewno nie w stylu amerykańskim — ale typowa i wzbudzająca szacunek.

Zamożną grupą są polscy lekarze, szczególnie dentyści, chociaż i im dobrobyt nie przyszedł bez dużego nakładu pracy. Do czasu przeprowadzenia nacjonalizacji służby zdrowia, lekarze polscy nie mieli prawa otwierać własnych praktyk.

W pół roku po nowej ustawie zostali jednak równouprawnieni z angielskimi kolegami. Istniał wtedy ostry brak lekarzy, tak że nie trudno było znaleźć pacjentów. Oprócz Polaków, pacjenci polskich lekarzy rekrutują się głównie spośród ,,europejczyków'', Murzynów i szkockich katolików. Katolicy szkoccy solidarnie popierają lekarza tej samej wiary, a Murzyni w obecności Polaków nie czują się ludźmi niższej rasy.

## ŻYCIE SPOŁECZNE I ORGANIZACYJNE

W Edynburgu, na 900 Polaków jest 27 organizacji! Najliczniejsza z nich, miejscowe Koło SPK, ma 230 członków. Niestety, na papierze. Połowa członków nie płaci składek. Za członków aktywnych można uznać jedynie zarząd. Związek Inwalidów ma 120 członków. Sytuacja podobna. Towarzystwo Polsko-

Szkockie dawno ma już za sobą okres swej świetności. Członków — 120. W rzeczywistości 40 czynnych. A czynnych, znaczy tu głównie płacących składki. Część zapłaciła składki dożywotnio. Ktoś charakteryzuje nam sytuację powiedzeniem, że w Towarzystwie tkwią jeszcze, siłą inercji, starsze panie których główną czynnością jest urządzenie raz do roku ,,a lovely tea''. Nie jest to całkowicie słuszne: Na przestrzeni ostatniego roku Towarzystwo wysłało do Polski około 5.000 sztuk ubrań, butów i bielizny dla repatriantów z Rosji (i — jako specjalny dar — futro dla kardynała Wyszyńskiego). Ale jest to dzieło paru osób.

Z innych organizacji dla przykładu warto wymienić: Koło Żołnierzy Dtwa I Korpusu W.P. i Oddziałów Pozadywizyjnych, Koło Studiów Wojskowych, Legion Żołnierzy Wiernych Przysiędze, Polską Macierz Szkolną i Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego, Związek Polek, Związek Lekarzy, Związek Ziem Wschodnich RP (który — jak pisze ,,Edynburski Biuletyn Informacyjny — ,,Odczytami p. prof. dr. Leona Koczego podtrzymał naszą dumę narodową oraz przypomniał, że Lwów i Wilno — to miasta polskie''), Komitet Parafialny i... Rada Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu (której celem jest koordynacja aktywności tych organizacji. Z ważniejszych organizacji do Rady nie należą Komitet Parafialny i Koło SPK).

Wszystkie te organizacje to w rzeczywistości 50 tych samych ludzi, którzy, by użyć słów jednego z naszych rozmówców, ,,tylko zmieniają czapki''. A więc dowódcy bez armii, prezesi trzech organizacji na raz, należący przy tym do różnych partii politycznych, i, co wciąż odgrywa rolę, dzielący się na dwie antagonistyczne, chociaż w tej chwili współdziałające frakcje: zwolenników ,,legalizmu'' i zwolenników generała Andersa i Egzekutywy.

Działalność społeczna?... Czy też aktywność organizacyjna i politykierstwo?!

Odpowiedź na to pytanie jest prosta: i jedno i drugie. Ale danie obrazu całokształtu działalności społecznej i aktywności organizacyjno-politycznej, nie jest wcale rzeczą łatwą. Sprawy osobiste krzyżują się tu z nastawieniami politycznymi ambicje personalne z dobrem i potrzebami społecznymi, instrukcje z central londyńskich z koniecznościami lokalnymi, celowość z bezcelowością, intryga z koncepcją, walka o środki finansowe ze zniechęceniem szerszego ogółu.

Wypadkową tych tak różnorodnych czynników najlepiej można pokazać na konkretnych przykładach. Przykłady te to 1. ośrodek życia społeczno-kulturalnego i towarzyskiego — Dom Polski, czyli Klub; 2. pracownik społeczny; 3. Szkoła sobotnia, jako instytucja w pewnym sensie nadrzędna, której celowość nie poddaje się w wątpliwość.

## DOM POLSKI

Polacy mają obsesję posiadania domów. Jest to naturalne, lata tułania się po różnych obozach, hostelach, lata tymczasowości uczyniły z nas ludzi chciwych na domy. Polacy mają więc obsesję domu indywidualnie — i gromadnie.

Życie społeczne, kulturalne, organizacyjne i polityczne, a co ważniejsze, życie narodowe, pielęgnowanie tradycji i poczucia przynależności nie jest oczywiście możliwe bez lokalu — bez domu Własny lokal, to sala taneczno-teatralna i „akademiowa", to biblioteka i czytelnia, pokój bridge'owy, polska restauracja i wyszynk, kancelarie organizacji i miejsca ich zebrań (a zebrania w życiu emigracyjnym to ogromnie ważny czynnik) — jednym słowem — to centrum życia emigracyjnego. Bez domu a co najmniej bez jakiegoś lokalu, życie to musi ulec atomizacji i zanikowi. Każda więc społeczność, którą na to stać, dąży do posiadania własnego Domu. Co więcej — każda silniejsza lub bogatsza organizacja dąży także do posiadania własnego Domu. Wynajmowanie lokalu w Domu organizacji bratniej nie zawsze wystarcza, tym bardziej, gdy w grę wejdą animozję, antagonizmy międzyorganizacyjne, czy względy polityczne (a więc tam, gdzie Dom miejscowy był w rękach Zjednoczeniowców — a SPK uważane jest za organizację popierającą Egzekutywę — tam Zamek, o ile był silny, dążył do kupna własnego Domu; podobnie ma się rzecz z parafią, ale o tym niżej).

W Edynburgu jest Domów Polskich — 5! — Najstarszy z nich, to Dom SPK, kupiony za ogromną sumę ponad £6.000. Jest to duży i ładny budynek, położony w punkcie dosyć centralnym, przy skwerze z małym parkiem pośrodku. Oprócz restauracji, otwartej codziennie (obiady i kolacje), mieści się tu bar, biblioteka i czytelnia, kancelaria Koła, biuro Polskiej Misji Katolickiej w Szkocji, i sala na większe imprezy. Poza tym kilka pokojów wynajęto na mieszkania, a jeden większy jest swego rodzaju pokojem hotelowym. Dom miał okres świetności, ale od czasu tak zwanego rozłamu i otwarcia w pobliżu trzech innych lokali, frekwencja i obroty spadły. Obecne utargi tygodniowe wahają się od 50 do £60. Głównym źródłem dochodu są bar i imprezy; urządzanie imprez opłaca się zresztą głównie ze względu na dochody z baru; zabawa zaczyna się w barze, a dopiero po godzinach wyszynku (10 wieczór) przenosi się na salę taneczną. Pomysłowym sposobem zbierania składek jest notatka umieszczona nad okienkiem baru apelującym o ich zapłacenie. Barman jest tu równocześnie skarbnikiem. Restauracja nie przynosi dochodu ze względu na konieczność utrzymania niskich cen posiłków.

Dochód Domu SPK wyniósł w roku 1957-1958 — £448; z tego ponad £350 poszło na wydatki związane z amortyzacją i spłaceniem raty pożyczkowej, a £50 zostało odprowadzone do

Zarządu Głównego Oddziału Wielka Brytania w Londynie (patrz: Sprawozdanie z działalności za rok 1957-1958 — Oddział Wielka Brytania).

Jeden z dwóch prywatnych Domów, położony o kilka dosłownie kroków od Klubu Kombatanta, powstał jako lokal świadomie konkurencyjny. Właścicielem jego jest były kierownik Domu SPK. Także niedaleko znajduje się Dom Inwalidy, piękny i stary budynek, ładnie choć nieco w wulgarnym stylu urządzony, kupiony niecałe dwa lata temu częściowo z inicjatywy zwolenników prezydenta Zaleskiego, częściowo jako rezultat potrzeby własnego lokalu, odczuwanej przez Związek Inwalidów. Odciągnął on od Domu SPK część organizacji, jak na przykład Scottish-Polish Society, korzystające przedtem z gościnności SPK; przeniosła się do niego Rada Stowarzyszeń, uprzednio rezydująca w lokalu p. Olejnika. Oprócz tego, mają tam obecnie swoją siedzibę: Polska Macierz Szkolna, Koło Polek i Legion Żołnierzy Wiernych Przysiędze. ,,Mieć siedzibę'' — oznacza korzystać z sali; opłata za wynajęcie sali na zebranie wynosi 17/6d., na zabawę — £1.10.0. Na początku tego roku powstał w pobliżu jeszcze jeden Dom Polski — Dom Robotników i Rzemieślników. Polski ,,publiczny'' stan posiadania w Edynburgu powiększa się więc nieustannie. Nagromadzenie jednak, jeden obok drugiego, czterech lokali, opierających swój dochód głównie na sprzedaży trunków klienteli polskiej i na imprezach taneczno-rozrywkowych, nie wróży żadnemu z nich łatwego życia.

## CZTERY SYLWETKI DZIAŁACZY SPOŁECZNYCH

Ktoś w Londynie, dając nam adres prezesa edynburskiego Koła SPK, dr. Stanisława Mgleja, wyraził się, że to ,,bardzo morowy endek''. Nie cechuje nas specjalna sympatia do Stronnictwa Narodowego, ale osoba dr. Mgleja z miejsca ujęła nas swą bezpośredniością i poczuciem humoru. W kołach szkockich, w których dr Mglej ma wielu przyjaciół z czasów gdy prowadził kursa weterynaryjne przy uniwersytecie edynburskim, nazwisko jego wymiawiane jest na modłę szkocką: MacKlej. Zarówno duże poczucie taktu i umiejętność pójścia na kompromis, jak i przecięta w dwóch miejscach z tyłu marynarka w kratkę, mają w sobie coś, jeżeli nie wyłącznie szkockiego, to na pewno brytyjskiego. Dr Mglej ma zresztą swoje wyrobione zdanie o edynburskich Szkotach, śmieszy go ich snobizm, ale ma również podziw dla ich rezerwy w stosunkach osobistych i dla ich stałości w przyjaźni. Szkot, z chwilą gdy się staje przyjacielem, zostaje nim na zawsze. Może zerwać kontakt na trzy miesiące, może zniknąć z horyzontu na rok, zawsze jednak przyjdzie chwila, kiedy zjawi się znowu, równie przyjazny jak przedtem. Obok weterynarii i pracy społecznej, głównym zamiłowaniem dr. Mgleja jest sztuka Dalekiego Wschodu; zamiłowanie to podziela jego żona, która w czasie wędrówek podczas ostatniej wojny

skompletowała wcale pokaźny i z dużym smakiem dobrany zbiór rzeźby, wyrobów srebrnych i miedzianych (talerze, tace), wyrobów tkackich i akwarel japońskich, chińskich, perskich i hinduskich. Mieszkanie państwa Mglejów ma więc atmosferę małego ale wybornego muzeum.

Z informacji udzielonych nam przez dr. Mgleja dowiadujemy się, że Stronnictwo Narodowe ma w Szkocji kilka silnych ośrodków: w samym Edynburgu, w niedalekim Kirkaldy, w Dundee i w Glasgow. Niedaleko Dundee jest nawet zapalony fanatyk Stronnictwa, prosty, małorolny chłop, który prenumeruje kilkanaście numerów „Myśli Polskiej" i rozdaje je znajomym w okolicy za darmo. Dr Mglej opowiada nam o tym nie ukrywając dumy. Akcja Stronnictwa polega na urządzaniu odczytów, działalności uświadamiającej i kontynuowaniu żywej, polskiej myśli politycznej. Dr Mglej jest zdania, że istnienie stronnictw politycznych na emigracji jest rzeczą pozytywną. Zapytany, czy walka stronnictw na emigracji nie stwarza dodatkowych konfliktów i utrudnień w pracy społecznej, odpowiada, że owszem, ale że w jego Kole do konfliktów takich stara się nie dopuszczać.

Praca społeczna pochłania dr. Mgleja całkowicie i z uszczerbkiem dla jego innych zainteresowań. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jest nią już trochę zmęczony. Prawdopodobnie wycofałby w ostatnim roku swą kandydaturę na prezesa Koła SPK, gdyby nie to, że centrale londyńskie pokładają w nim duże zaufanie. Zgoda więc na ponowne postawienie jego kandydatury miała niewątpliwie także i swoje podłoże polityczne. W każdym razie jedno jest pewne: z chwilą jego wycofania się z pracy społecznej, Kołu SPK i polskiemu Edynburgowi ubędzie jeden z najbardziej dynamicznych, ujmujących, świetnie znających teren i rozsądnych działaczy społecznych.

Dr Mglej jest oczywiście także Zjednoczeniowcem. Ale w jego Kole wiceprezesem jest Zamkowiec, a ponadto około 30 członków to także Zamkowcy. Jak nas informuje są to najbardziej czynni członkowie Koła i świetni pracownicy.

Na SPK dr Mglej patrzy jako na organizację, która ma największe szanse przekształcenia się w ogólnopolską, powszechną organizację emigracyjną w Wielkiej Brytanii. Zapytany o stosunek do Kraju, odpowada prosto: „My wciąż wierzymy, że wrócimy do Polski wolnej i niepodległej".

Gdy jemy nasz ostatni obiad w Edynburgu w restauracji SPK, do stołu nam i innym podają państwo Mglejowie. Jak się okazuje, pracownik obsługujący restaurację, zachorował.

2.

Pan Stanisław Maj, M.A. (z pedagogiki) jest właścicielem pięknego i ekskluzywnego hotelu — Palmerston Hotel. Przyjmuje nas w ładnie urządzonym hallu wejściowym. Wzrostu śred-

niego, z małym wąsikiem, z nieświadomie może i bardzo nieznacznie ironicznym uśmiechem na twarzy — p. Maj jest w obejściu człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, chłodnym i z dużą rezerwą. Już po pierwszych słowach uderza nas jego inteligencja. Ubrany jest bardzo elegancko.

P. Maj jest prezesem aż trzech organizacji : od jedenastu lat — edynburskiego Koła Zrzeszenia Nauczycielstwa, od czterech lat — Koła Polskiej Macierzy Szkolnej i ostatnio Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu. Poza tym jest członkiem co najmniej sześciu organizacji, w tym SPK, i Inspektorem Szkół Sobotnich na Szkocję. Wypełnianie tak wielkiej ilości funkcji ułatwia mu niewątpliwie jego dobra sytuacja materialna. P. Maj jest Zamkowcem, gdyż uważa, że lepsze jest nawet złe prawo, od bezprawia. Przyznaje jednak, że podział na Zjednoczenie i Zamek nie powinien mieć wpływu na pracę społeczną. Gdyby urządzono wiec polityczny, wypowiedziałby swoje zdanie, ale w pracy społecznej zachowuje je dla siebie.

Rozłam, według jego informacji, w początkowej fazie zaszkodził bardzo pracy społecznej, były nawet w niektórych ośrodkach w Szkocji próby tworzenia odrębnych Szkół Sobotnich; zwyciężył jednak rozsądek nauczycieli. Obecnie nastąpiło złagodzenie konfliktu, polegające być może bardziej na taktyce, niż dobrej woli. Rozłam spowodował także upadek autorytetu inteligencji w oczach nieinteligencji. Widok kłótni publicznych między członkami tej samej warstwy nie pozostał bez rezultatu. Z obserwacji p. Maja wynika, że inteligencja na ogół odsunęła się od spraw społecznych i zobojętniała dla spraw polskich. Właśnie raczej inteligencja nie posyła swych dzieci do Szkół Sobotnich. Edynburg jest wyjątkiem o tyle, że istnieje tu silna presja wewnętrzna, środowiska, które się dobrze zna nawzajem i które żyje w dosyć zamkniętym kręgu.

P. Maj nie sądzi, aby SPK lub jakakolwiek inna organizacja społeczna, mogła się ostać, czy też przekształcić w powszechną organizację polską w Wielkiej Brytanii. Nie sądzi także, by Komitety Parafialne podołały w zaspokojeniu potrzeb społecznych i kulturalnych emigracji, lub by mogły stać się bazą przyszłej organizacji powszechnej. A to głównie z dwóch powodów:

1. Emigracja polska w Wielkiej Brytanii nie jest tylko emigracją zarobkową, o elemencie czysto robotniczym; dawanie więc jako przykładu Polonii Amerykańskiej, gdzie parafia jest głównym, a często jedynym ośrodkiem życia społecznego i narodowego, nie jest miarodajne.

2. W Wielkiej Brytanii brak jest duszpasterzy polskich, chociaż księży jest dosyć duża liczba. Bez prawdziwych duszpasterzy parafie nie podołają w akcji skupienia życia polskiego wyłącznie wokół siebie i zaspokojania potrzeb emigrantów.

(Nawiasem trzeba dodać, że problem zajęcia stanowiska wobec tej sprawy jest rzeczą zupełnie naturalną; istnieje bowiem tendencja wśród parafii polskich na Wyspie brytyjskiej do mo-

nopolistycznego skupiania życia polskiego wokół siebie, często z uszczerbkiem dla istniejących obecnie organizacji społecznych, takich jak SPK).

Rozwiązanie problemu przerostu organizacji i powstanie jednej organizacji polonijnej p. Maj widzi w akcji scaleniowej. Fazą przejściową mogą być organizacje koordynujące, w typie Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu. Rada powstała w roku 1945, po cofnięciu Michajłowiczowi uznania przez rządy zachodnie. Ponieważ liczono się z tym, że podobne cofnięcie uznania nastąpić może i w stosunku do rządu polskiego, funkcją Rady miało być wypełnienie luki jaka by się w takim wypadku wytworzyła: celem jej miało być reprezentowanie Polaków wobec władz szkockich i praca koordynacyjna dla uniknięcia wielotorowości poczynań. Przypomnijmy, że Rada skupia obecnie 13 organizacji społeczno-zawodowych i że nie należą do Rady — SPK i Komitet Parafialny. Rada wydaje także od dziesięciu lat „Edynburski Biuletyn Informacyjny" (powielany (2).

P. Maj twierdzi, że Rada wyrobiła już sobie pewną tradycję i pozycję, i że z biegiem czasu może mieć szanse przekształcenia się w rodzaj Gminy Polskiej w Edynburgu; organizacje skupione w Radzie stałyby się wtedy jej sekcjami. Oto więc pewna koncepcja na przyszłość.

Innym przykładem przekonania o potrzebie akcji scaleniowej p. Maja jest jego pogląd, że obecne formy szkolnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii są niewystarczające. Jest rzeczą absurdalną by nie istniała dla szkolnictwa polskiego jedna centralna komórka, ciało zupełnie niezależne, złożone głównie z fachowców. Mówimy mu o naszych obserwacjach na temat konfliktów istniejących między SPK a Macierzą Szkolną na tle przynależności organizacyjnej Szkół Sobotnich; podobny konflikt istnieje między SPK a niektórymi parafiami. P. Maj odpowiada nam na to dowcipnie, że będąc członkiem i SPK i Polskiej Macierzy Szkolnej, a równocześnie będąc Inspektorem Szkół Sobot-

---

(2) W jednym z numerów tego „Biuletynu" (Nr 26/219), znajdujemy ciekawostkę, która warta jest przedrukowania. Jest to list z życzeniami z okazji Bożego Narodzenia i Nowego Roku przesłany Radzie przez istniejącą w Anglii organizację Kozaków Nacjonalistów. Oto on w transkrypcji Biuletynu:

Prawlennuju Polskoju Rady w Szkotłandii

Prawitelstwu Polskoj Rady i wsiech bratniew rycarej Polaiakow proisiwajuszczych na emigracji w Szkotłandii od imieni Kazakow Nacjonalistow na emigracji w Korolestwi Anglii pozdrawljaju s pridstisajuszczym torżestwiennym praźnikom roizdżiestwom Chrystusowym i na nastupajuszczym 1958 nowym godom soizwoltie priniat naszej bratskie kozackie najłuszczyje i szczastliwie poislanja w skorom griaduszczym daj Boże Wam i wsiemu Polskamu Narodu byt swobotnym i niezawisłym kak od wnutriennego polskawo komunizma a takie samoje i od rosyjskawo krasnawo imperializma.

Sława Polsze — Sława Kozakom !

Podpisano: Zacharnik, Przedstawiciel Kozaków Nacjonalistów w Anglii.

nich, jest nieraz w konflikcie z samym sobą. Szczególnie, że istnieją w tej chwili dwie główne komórki szkolnictwa polskiego w Wielkiej Brytanii: 1. Rada Kulturalna i Oświatowa i Komisja Nauczania Przedmiotów Ojczystych i 2. Wydział Oświaty i Wychowania — twór Zamkowy, powstały w roku 1953.

Bardzo interesujące są uwagi p. Maja na temat stosunku do podręczników krajowych. Sprawa ewentualnego używania tych podręczników w Szkołach Sobotnich wywołała już niejedną ostrą dyskusję na Radzie Macierzy Szkolnej (w Londynie). Zdaniem p. Maja krajowe podręczniki popaździernikowe z punktu widzenia dydaktycznego są bardzo dobrze opracowane, ich tematyka jest ciekawa. Ale dla Szkół Sobotnich są one bezużyteczne nie tyle ze względu na to, co w nich jest (parę kartek zawsze można wyrwać), ale ze względu na to czego w nich nie ma. A nie ma w nich zasadniczych momentów polskości — tradycji, religii, obyczajowości (np. brak Świąt Bożego Narodzenia), jak i pewnych wzniosłych momentów z historii polskiej. Te zaś elementy są podstawą utrzymania polskości na emigracji. I tak na przykład wzniosłe momenty z historii polskiej są rzeczą ogromnie ważną jeśli chodzi o uczenie chłopców.

Idealnym rozwiązaniem byłyby oczywiście wyjazdy dzieci na Kolonie Letnie do Polski. Ale żeby to nastąpiło, muszą być spełnione co najmniej dwa warunki (niezależnie od kwestii czysto politycznej): 1. Sytuacja w Polsce musi się najpierw jakoś ustabilizować; 2. Kraj nie może na tym tracić finansowo. Emigracja powinna opłacać kolonie letnie w Polsce.

P. Maj nie przypuszcza, aby była to sprawa najbliższej przyszłości.

Stosunek p. Maja do Kraju można by najlepiej określić powiedzeniem następującym: Naród się wzbogaca, reżymy mijają.

Kończąc rozmowę z p. Majem z przyjemnością myślimy, że jest to człowiek dopiero w średnim wieku.

3.

Pan Wilson, kierownik Domu Inwalidów, ma obywatelstwo angielskie, a wraz z nim angielskie nazwisko. W Szkocji jest już od siedemnastu lat. W czasie wojny służył w I Pułku Pancernym, ale na froncie nie był, gdyż zwolniony został z wojska w roku 1943 z powodu choroby płuc. Jest to tytuł p. Wilsona do inwalidztwa. Będąc współwłaścicielem sklepu z radiami, przyjął obywatelstwo myśląc, że to pomoże mu w prowadzeniu interesu. Niestety, interes nie poszedł dobrze i sklep zbankrutował.

P. Wilson z dumą pokazuje nam Dom Inwalidów, rzeczywiście piękny, a przy tym tani: kosztował tylko £2.900. Właścicielem Domu jest Zarząd Główny, Koło edynburskie dzierżawcą, a okoliczne Koła są udziałowcami. Początkowo Dom przynosił deficyt. Po objęciu jednak kierownictwa przez p. Wilsona daje wcale niemały dochód. Głównym jego źródłem jest oczywiście

bar, gdzie obrót tygodniowy wynosi £40 (piątki, soboty, niedziele). Czysty dochód roczny powinien wynieść około £500.

Koncepcja pracy społecznej p. Wilsona to głównie dobra gospodarka. Zasadniczym jego zarzutem pod adresem SPK jest marnotrawstwo funduszów i powojskowego sprzętu. Jako radiotechnika boli go najbardziej zmarnowanie przez SPK dużych ilości sprzętu radiowego, jaki znajdował się w magazynach w Szkocji. P. Wilson uważa, że tak majątek społeczny, jak i prywatny jest po to by go pomnażać.

P. Wilson jest także prezesem tak zwanego ,,wine committee''. W Szkocji ,,komitet wina'' jest fundamentem, na którym opiera się instytucja klubów, a bez przynależności do klubu wypicie w niedzielę kieliszka szkockiej whisky nie jest łatwe. Posiadanie licencji przez klub uwarunkowane jest istnieniem ,,wine committee'', którego czterej członkowie osobiście są odpowiedzialni za zakup trunków i prowadzenie ksiąg. Tak więc prezesura ,,wine committee'' to funkcja całkiem kluczowa.

Rozmowa z p. Wilsonem przeciągnęła się nam do późnego wieczora. O godzinie 11-ej, w godzinę po zamknięciu barów (a więc także baru w Domu Inwalidów) rozległo się potężne łomotanie do drzwi domu. Był to jakiś spragniony Szkot, któremu zdawało się, że tu można się napić nawet i o północy. P. Wilson grzecznie ale stanowczo wyjaśnił zbłąkanemu Szkotowi, że coś mu się musiało pomylić. Po tym incydencie wróciliśmy do rozmowy, którą tym razem przerwał jeden z mieszkańców Domu. Przysiadłszy się do nas, poczęstował nas serią namiętnych uwag na temat Żydów i tych którzy ich bronią. Zakończył je twierdzeniem, że antysemityzmu nigdy w Polsce nie było. Zaistniałą różnicę zdań próbował załagodzić p. Wilson, twierdząc, że antysemityzm był, ale mimo to Żydom nie działo się w Polsce najgorzej.

Rozstaliśmy się w jak najlepszej komitywie : obaj panowie zapewnili nas, że dla oczekiwanych zysków z Domu Inwalidów nie widzieliby lepszego przeznaczenia, jak przekazanie ich na Szkoły Sobotnie, lub na młodzież.

4.

Miss Young, sekretarz Scottish-Polish Society, to drobna, szczupła, leciwa już osoba. Oddana niewątpliwie swej pracy, Miss Young nie mówi o niej chętnie. W jej uprzejmych odpowiedziach na nasze pytania czaić się zdawał lekki cień nieufności. Rozmowa z nią nie dała nam żadnego klucza do odgadnięcia skąd wziął się jej sentyment do Polaków i sprawy polskiej. Nie cechuje jej ta łatwa, uczuciowa wylewność tak często spotykana wśród propolskich Brytyjczyków. W ostatnim roku absorbuje panią Young głównie akcja pomocy repatriantom.

W polskich emigracyjnych swarach miss Young jest albo mało zorientowana, albo bezpośrednio zaangażowana. Towa-

rzystwo — informuje nas — jest organizacją apolityczną i dlatego zaprosiło do Szkocji postać politycznie tak niekontrowersyjną, jak prezydent August Zaleski. Dodajmy od siebie, że wraz z jego przyjazdem i bezpośrednio potem spadł na Edynburg i okolice grad odznaczeń i awansów. Ze znanych szkockich przyjaciół Polski jedynie Lord Elgin odmówił przyjścia na wydane na cześć prezydenta Zaleskiego przyjęcie, tłumacząc się, że nie mógłby przyjąć dekoracji nadanej mu przez prezydenta, którego nie uznaje rząd jego kraju.

Obecny prezes Towarzystwa, płk. J.B.M. Scott ma swoje własne zdanie na temat polskiego rozbicia politycznego. W numerze 6/225 z 2 kwietnia br. ,,Edynburskiego Biuletynu Informacyjnego'' znajdujemy jego przemówienie, wygłoszone na ostatnim walnym zebraniu Towarzystwa, w którym strofuje Polaków za skłócenie, które utrudnia Towarzystwu akcję na rzecz wyzwolenia Polski. Rezolucja, wystosowana w tej sprawie do rządu brytyjskiego, nie spotkała się z odpowiednim poparciem wśród społeczeństwa polskiego. Przemówienie nabiera rysów groteski, kiedy płk. Scott wyrażając swoje głębokie zaniepokojenie postępami asymilacji wśród miejscowych Polaków, uskarża się na tych, którzy mówili mu, że ,,tutaj założyli przedsiębiorstwa, przyjęli obywatelstwo, kształcą dzieci i wobec tego nie interesuje ich praca Towarzystwa Polsko-Szkockiego''. Ktoś mu nawet powiedział, że ,,nie należy do żadnej z polskich organizacji, i nie widzi sensu ich istnienia''.

Towarzystwo Polsko-Szkockie wydaje się organizacją w ostatnim stadium zaniku. Poza centralą w Edynburgu istnieje Koło w Glasgow, i przedstawiciel Towarzystwa w Dundee. Przy życiu utrzymuje organizację jedynie upór ludzi takich jak płk. Scott czy miss Young. Sylwetki ich dwojga, przy całym szacunku dla ich działalności, pasują dobrze do galerii polskich niezłomnych.

## SZKOŁA SOBOTNIA W EDYNBURGU

Cokolwiek można by powiedzieć o działalności niektórych organizacji polskich w Edynburgu, nikt nie kwestionuje celowości istnienia Szkoły Sobotniej. A co więcej, właśnie ona nadaje czasem jedyny sens ich poczynaniom. Na dziesięcioletnią nieprzerwaną pracę Szkoły Sobotniej w Edynburgu złożyły się świadczenia i pomoc takich organizacji jak : Komitet Oświatowy, Towarzystwo Kultury Polskiej, Polska Macierz Szkolna, Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego, SPK, Fundusz im. gen. Sikorskiego i inne. Cechą charakterystyczną dziesięcioletniej historii Szkoły Sobotniej w Edynburgu jest stały wzrost dzieci małżeństw mieszanych, nie mówiących po polsku z chwilą rozpoczęcia nauki. Cyfry są tu wręcz rewelacyjne. W roku 1948-1949 w Szkole nie było dzieci nie mówiących po polsku. W roku 1951-1952, na ogólną liczbę 32, pięcioro nie znało języka polskiego. W roku 1953-1954, na 53 dzieci, już 25 po pol-

sku nie mówiło. A w roku 1957-1958, proporcja dzieci nie mówiących po polsku przekroczyła 50 procent. Ten stan rzeczy zmusił kierownictwo Szkoły do utworzenia specjalnych klas dla tych dzieci, które muszą uczyć się języka polskiego jako obcego. Nie zdarza się na ogół, aby przez cały kurs Szkoły dzieci z klas specjalnych doganiały dzieci z klas na normalnym poziomie. Praktycznie biorąc, tygodniowe przerwy między jedną lekcją a drugą, stosunkowo niewielka ilość godzin w wymiarze rocznym, długie wakacje, podczas których tylko mała liczba wyjeżdża na polskie kolonie letnie, lub obozy harcerskie, nieregularna frekwencja, powodują, że uczniowie klas specjalnych opuszczają szkołę bez dobrej znajomości języka. Negatywną rolę odgrywają także takie czynniki jak : brak autorytetu ,,szkółki'' polskiej w porównaniu ze szkołą angielską, brak współpracy ze strony rodziców, a w wypadku małżeństw mieszanych, fakt, że w domu mówi się tylko po angielsku. Jeżeli takie dziecko nie trafi do polskiej drużyny harcerskiej (a nie zdarza się to często), straci z czasem nawet tę ograniczoną znajomość języka, jaką uzyskało w Szkole Sobotniej.

Stąd też spotkaliśmy się w Edynburgu z opinią wśród pedagogów, że główny nacisk w Szkole Sobotniej powinien iść w kierunku nauczenia dziecka historii i geografii polskiej, na danie mu ogólnej wiedzy o Polsce, a nie na uczenie języka. Celem byłoby wtedy uczynienie z dziecka z biegiem czasu nie tyle ,,Polaka'', co przyjaciela Polski, człowieka związanego z Polską sentymentem i świadomością swego pochodzenia, niezależnie od tego, czy będzie on mówił po polsku czy też nie.

Ilość dzieci zapisanych do Szkoły Sobotniej w roku 1957-1958 wynosiła 73. Jest to jak dotychczas cyfra najwyższa. Zlikwidowano natomiast klasę gimnazjalną ze względu na brak zapisów, spowodowany głównie brakiem roczników wojennych.

Jeżeli jesteśmy już przy cyfrach, ciekawa jest zależność frekwencji i zapisów do Szkoły od spraw wewnętrzno-emigracyjnych. Tak na przykład, gdy w roku 1953-1954 ilość dzieci zapisanych do Szkoły wynosiła 53, to w roku Rozłamu politycznego (1954-1955) spadła do 40!

Nauczanie w Szkole Sobotniej stwarza ogromne problemy nawet dla w pełni wykwalifikowanych sił. Szkoła w Edynburgu rozporządza dobrym zespołem nauczycielskim, w pewnym stopniu dzięki istniejącemu na tym terenie w latach 1943-1946 Studium Pedagogicznemu.

Na konto Szkoły można już dziś zapisać fakt, że część jej wychowanków, obecnie ludzi już dorosłych, bierze czynny udział w życiu polskim.

*Bogdan CZAYKOWSKI* i *Bolesław SULIK*

---

Powyższy reportaż jest fragmentem, opracowywanej przez autorów książki, która ukaże się w ramach ,,Biblioteki KULTURY''. Zapowiadamy ją obszerniej na następnej stronie.

# Jeszcze o wypadku lotniczym gen. Sikorskiego

Relacja pułkownika Leona Mitkiewicza ogłosozna w *Kulturze* Nr 6/128 pod tytułem: „Z wypadków lotniczych gen. Sikorskiego" pozostawia w czytelnikach wrażenie że i wcześniej, przed katastrofą gibraltarską, ktoś czyhał na życie polskiego premiera i Naczelnego Wodza. Wprawdzie autor zaznacza, że nie zna wyników dochodzeń władz brytyjskich (a prowadziły je także polskie), niemniej stwierdza niezbicie, że bombę do samolotu wniesiono, że nie wybuchła dzięki pułkownikowi Kleczyńskiemu, meldującemu, że ją — już dymiącą — rozbroił. Zachowanie się i raporty tego oficera budzą w autorze relacji pewne wątpliwości, a pod datą 21 maja 1942 napisał: „W związku z tym byli u mnie w sztabie N.W. dwaj gentelmeni z I.S. celem badania mnie i pułk. Protasewicza. Z zachowania się ich i ze stawianych mnie i Protasewiczowi pytań odniosłem wrażenie, że się bardzo podejrzliwie i nieufnie odnoszą do zeznań pułkownika Kleczyńskiego".

Kto umieścił bombę w samolocie? — Na to pytanie nie ma w relacji odpowiedzi. Daje ją w londyńskim „Dzienniku Polskim" z dn. 1.7.58, p. K. Iranek-Osmecki w artykule: „Jeden z pasażerów zainscenizował „zamach" na gen. Sikorskiego". „Dochodzenia ustaliły niezbicie, że nie bombę, a świecę zapalającą wziął z sobą do samolotu ppłk. Kleczyński. Stwierdzono od kogo ją otrzymał..." Wówczas to Kleczyński przyznał się, że rzeczywiście świecę zapalającą, wręczoną mu przez por. D. zabrał ze sobą w drogę ze Szkocji przez ocean samolotem, którym leciał z gen. Sikorskim. Mając ze sobą tę świecę, ZAINSCENIZOWAŁ INCYDENT opisany przez płk. Mitkiewicza, stwarzając pozory udaremnionego przez siebie zamachu na Naczelnego Wodza.

---

*Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.*

Na zapytanie zespołu prowadzącego dochodzenia, jaki był cel tej inscenizacji, Kleczyński udzielił dość mętnych odpowiedzi. Tłumaczył, że chodziło mu o wywołanie wstrząsu dla ,,oczyszczenia atmosfery''. Motywy przytoczone przez ppłk. Kleczyńskiego nie miały logicznego powiązania i wskazywały na zachwianie jego równowagi psychicznej. W intencji jego nie leżało wyrządzenie żadnej szkody gen. Sikorskiemu, a tym bardziej dokonanie zamachu, który w tych warunkach byłby ze strony ppłk. Kleczyńskiego aktem samobójczym''...

*,,Przedstawiony opis jest streszczeniem udostępnionych mi aktów sprawy''.*

To ustaliły dochodzenia, prowadzone przez władze polskie i brytyjskie. Krążyło jednak i krąży wiele innych, nieprawdziwych wersji. Oto jedna, p. Edwarda Ligockiego, byłego oficera propagandy M.S. Wojsk, ogłoszona w warszawskim ,,Tygodniku Demokratycznym'', a powtórzona przez londyńskie ,,Odgłosy'':

,,Podczas przelotu nad Atlantykiem, w połowie drogi, z bagażnika wydobywać się zaczął dym o zapachu palącej się izolacji gumowej. Służba samolotowa rzuciła się w tę stronę; dym wydobywał się z walizki, zaopatrzonej biletem wizytowym lecącego również płk. K. Tymczasem płk. K. był nieprzytomny — znany zresztą narkoman, zaaplikował sobie za dużą dawkę przed podróżą. Jakoś się go docucono. Dobry specjalista od materiałów wybuchowych rozdarł walizkę i odłączył druty od zegarowej bomby. Klucza od tej walizki, rzekomo nie miał, gdyż była ona podrzucona w New Yorku i opatrzona jego nazwiskiem, a on w chwili odlotu był w stanie zamroczenia i nie kontrolował swoich bagaży.

Generał nie chciał nadawania rozgłosu tej sprawie. Płk. K. powędrował wprost z lotniska w Anglii do sanatorium dla narkomanów''.

Zaznaczmy naprzód zupełną niezgodność tej wersji z relacją płk. Mitkiewicza. Pomylony jest nawet kierunek lotu, zapewne i źródło. Według p. Ligockiego ma nim być ks. Kaczyński, a wiemy, że nie mógł on opowiadać ani o pożarze, ani o interwencji załogi samolotu, których nie było.

Skąd ta wersja ? — Ja słyszałem podobną z ust pułkownika Kleczyńskiego.

To co mi mówił zapisałem w notatniku pod datą 29 marca 1944 r., pisząc swe wrażenia z pogrzebu ppłk. Kleczyńskiego. Ciało jego pochowano na cmentarzu lotników polskich w Newark, opodal grobu generała Sikorskiego. Niewiarogodne dla mnie to opowiadanie zanotowałem dopiero wówczas, choć myślałem o nim często i parokrotnie szukałem sposobności otrzymania dalszych wyjaśnień, gdy karta była zamknięta. Aby to co mi opowiadał mogło być należycie zrozumiane wydaje mi się konieczne, przed dosłownym zacytowaniem mej notatki, dać charakterystykę ppłk. Kleczyńskiego i pobudki psychiczne, które

spowodowały go do podania mnie, a zapewne i innym, nieprawdziwego przebiegu wypadków.

Ppłk. Kleczyńskiego poznałem w r. 1936, gdy jako kapitan-pilot został odkomenderowany na dwuletni kurs w paryskiej Ecole Supérieure de Guerre. Przypadł mi z miejsca do serca. W każdej rozmowie z nim, u mnie w domu czy w attachacie, znajdowałem prawdziwą przyjemność bo jasno i zwięźle formułował swe sądy. Widać było nadto, że dużo studiuje i czyta. Miły w obyciu, skromny, robił wrażenie nad wiek poważnego człowieka. Rad byłem, że po ukończeniu kursu został wykładowcą w naszej Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie.

Straciłem z nim kontakt na kilka lat. Pierwszą o nim wieść w czasie wojny otrzymałem odwiedzając szpital polski w Szkocji. Powiedziano mi, że był tam operowany i przebywa na oddziale nerwowym, gdzie leczony jest z nałogu morfiny.

Gdzieś w zimie 1942-43 ppłk. Kleczyński został przydzielony do polskiej szkoły wojennej w Black Barony, gdzie i ja byłem wykładowcą. Słyszałem kilka jego wykładów. Były świetne i były słuchane jak ewangelia. Prócz bogatej wiedzy miał on za sobą doświadczenie bojowe, jak mało który inny lotnik. Latał w Polsce podczas kampanii wrześniowej, we Francji, brał udział w wielu wyprawach bombowych na Niemcy z Wielkiej Brytanii. Latał mimo odniesionej w Polsce rany, by, jak mi mówił, zamknąć usta naszym młodym lotnikom, obciążającym starszych winą za stan naszego lotnictwa w chwili wybuchu wojny.



12 marca 1943 roku komendant Szkoły zebrał nas, wykładowców, i odczytał nam treść swego meldunku do Prezydenta Rzeczypospolitej, że nie zgadza się z polityką premiera. Treść meldunku odesłał Szefowi Sztabu. Tłem było zagadnienie naszych Ziem Wschodnich. Protest miał specyficzny charakter, bo przecież premierem był Naczelny Wódz.

W oczach żołnierzy osoba dowódcy wiąże się nierozdzielnie z odnoszonymi zwycięstwami ale i z każdą klęską. Zwycięstwa rodzą legendy — klęski je burzą i obniżają zaufanie i wiarę w wodza. Tak było i będzie. Wie o tym każdy historyk. ,,Wrzesień'' zniszczył sławę dowódczą marszałka Rydza-Śmigłego. We Francji ponieśliśmy nową klęskę. Ze sformowanego tam wojska wyprowadziliśmy tylko strzępy. Ta klęska odbiła się echem na stosunku żołnierzy do gen. Sikorskiego, zachwiała wiarę i zaufanie, sprzyjała plotkom, wyolbrzymiała fakty. Do obozów w Szkocji doszła wiadomość o udzielonej generałowi dymisji i o interwencji oficerów, która miała spowodować zmianę decyzji prezydenta. Dochodziły echa otwartego listu generała Dąb-Biernackiego, złych wieści z Kraju, o tym co się tam dzieje z polecenia ,,Londynu''. Plotka wszystko przewiększała. Teraz przyszło zagadnienie wschodnich granic. Lęk budziły niedowiedzenia w prasie brytyjskiej, a grozę głosy prasy irlandzkiej, nie-

skrępowanej interesami wojny. Głosy te były sprzeczne z wypowiedziami naszego rządu. Nikt nie brał pod uwagę realnych możliwości generała Sikorskiego, nie starał się dociec jakimi drogami generał cel swój chce osiągnąć. Wielu mając w oczach matejkowską postać Rejtana z grodzieńskiego sejmu chciało wołać: ,,Nie pozwalam''. Groźba nowego rozbioru Polski — ich zdaniem — wymagała przede wszystkim protestu.

I ja daleki byłem wówczas od entuzjazmu dla polityki naszego rządu, niemniej czynne wystąpienie w sprawych politycznych uważałem za niedopuszczalne dla żołnierzy. Komendantowi szkoły i kolegom, gdy mnie oto pytali, oświadczyłem, że takiego protestu nie zgłoszę. Decyzją swą powziąłem niemal odruchowo. Zasada apolityczności wojska była w moim umyśle święta i niewzruszalna. Gdy wracałem ze szkoły do domu nasunęły się i inne zasady: ,,Salus Reipublicae — suprema lex'', ,,Qui tacet consentire videtur'' — czy mamy biernie godzić się na utratę połowy kraju?

Z tymi myślami w głowie wstąpiłem na kwaterę ppłk. Kleczyńskiego, chorego od kilku dni.

Pokój zajmowany przez niego w starym wiejskim domku był mroczny. Powietrze przenikała woń aptecznych chemikalii, pułkownik leżał w łóżku. Siadłem koło niego i zaczęła się długa rozmowa. Naprzód o nim samym. Nie mógł wstać bo znowu otwarła się mu rana w nodze sięgająca do kości. Sam sobie ją przemywa i przewiązuje, do szpitala iść nie chce, bo robiono operacje nie dały skutku. Twierdził, że obumierał nerw uszkodzony pociskiem ,,we wrześniu'', a każde jego zapalenie powoduje otwieranie się blizny. Teraz zrozumiałem powody wyrazu bólu widocznego na twarzy, gdy chodził o lasce do szkoły no i powody nabycia nawyku używania morfiny. Pytany czemu do mnie, mieszkającego o kilka domów, nigdy nie zachodzi, usprawiedliwiał się, że widok moich dzieci sprawia mu ból, budząc tęsknotę za jedyną córeczką pozostawioną w Polsce. Potem przeszliśmy na rozmowę o polskiej polityce. Podałem mu moje stanowisko w sprawie protestu uzasadniając je jak tylko umiałem z podkreśleniem złego wrażenia jakie tu, w Wielkiej Brytanii musi wywrzeć politykujące wojsko, jak to obniży powagę naszego rządu. Liczyłem, że przyzna mi rację, był przecież jak i ja wychowankiem francuskiej szkoły z jej tradycjami ,,La grande Muette''. — Podpisał już meldunek podobnej treści co Komendant Szkoły, choć miał zastrzeżenie co do przysłanej mu formy. Formy, ale nie treści. Bronił swego stanowiska, mimo, że godził się z zasadą apolityczności wojska, lecz nie w tym wypadku. Naszych mężów stanu sądził bardzo surowo, bezwzglednie. Wtedy to opowiedział mi historię lotu z generałem Sikorskim do Stanów Zjednoczonych w r. 1942, zaznaczając, że jestem jednym z pierwszych ludzi, który ją słyszy i że jest to dowód zaufania, jakim mnie zawsze darzył.

Oto urywek z moich notatek oddający treść opowiadania

,,Wiadome mi było, co działo się w Polsce po wrześniu. Rząd nasz myślał więcej o sprawach partyjnych niżeli o odzyskaniu niepodległości. Tworzył wojska partyjne, zwalczające się wzajemnie. Ludzie niewygodni oddawani byli Niemcom.

Uznałem generała Sikorskiego winnym lub bodaj współwinnym i zdecydowałem się działać.

Wyznaczony na attaché lotniczego do Nowego Yorku, podróż miałem odbyć wspólnie z generałem Sikorskim i kilku jego doradcami. Zabrałem do walizki bombę, nastawioną tak, by wybuchła, gdy będziemy nad pełnym morzem. Kiedy bomba wybuchnie nikt z jadących nie zdoła się wyratować. Samolot pójdzie na dno, jak tyle innych, które zginęły bez śladu.

Po paru godzinach lotu waliza moja zaczęła się palić. Załoga pożar ugasiła. Sprawa się wydała.

Po powrocie do Anglii byłem z tego powodu z generałem Sikorskim u Churchilla''.

Słuchałem tych słów patrząc w oczy mówiącego i chcąc odgadnąć czy mówi przytomnie, czy to halucynacje chorego. Jakże? — ,,Sprawa się wydała'', a ujawniony zamach na życie tylu osób pozostał bez konsekwencji, bez sądu i kary? Czyjeś wejście przerwało rozmowę.

W jakiś czas potem zaszedłem znowu na kwaterę pułkownika Kleczyńskiego, mieszkającego teraz w budynku szkoły. Znalazłem go w stanie okropnym, z twarzą szarą, zapuchniętymi na pół przytomnymi oczami, mówiącego wolno, jakby z wysiłkiem. Podziwiałem czego dokonać może kilka gramów morfiny, gdy w myśli porównywałem go z widywanym na szkolnej katedrze. Nie był sam, nie czas był wracać do opowiadania.

Przydzielono nam na wykładowcę drugiego lotnika, ppłk. Jungrafa, starego przyjaciela Kleczyńskiego. Ten dokonał cudu swym wpływem na chorego i swą opieką. Pułkownik przestał używać morfiny. Jego stan poprawiał się z tygodnia na tydzień. Zginął w Edynburgu, wysiadając z tramwaju, dostał się pod koła samochodu.

Jego opowiadanie przypomniało mi się raz jeden, gdy przyjechała do Włoch pani Kleczyńska z córką, wdową po powstańcu warszawskim i z jednoroczną wnuczką. Nie wiedziały o śmierci pułkownika. Nie podałem im treści opowiadania o zamachu, nie wierzyłem w całą tę historię, tym bardziej że w lipcu 1944 podczas wspólnej podróży do Włoch pułkownik Protasewicz wspomniał mi w jakiejś rozmowie, że to była tylko chęć zwrócenia na siebie uwagi ze strony pułkownika Kleczyńskiego.

Odrzuciłem z miejsca tę supozycję. Nie mogłem sobie wyobrazić ppłk. Kleczyńskiego szukającego na tej drodze zdobycia wdzięczności Naczelnego Wodza i robienia kariery. To całkiem do niego nie było podobne. Byłem już raczej skłonny uwierzyć w prawdziwy zamach. Dziś wiem i wierzę, że był pozorowany. Przypuszczam, że to raczej ktoś inny, mało znający charakter generała Sikorskiego, podsunął ppłk. Kleczyńskiemu ten pomysł, by groźbą zamachu na życie osiągnąć dymisję premiera. Nawet

w relacji płk. Mitkiewicza znajduję potwierdzenie, że „bomba" w czasie lotu leżała cały czas spokojnie w walizie ppłk. Kleczyńskiego. Patrzmy na stronę 125.

„Nastaje świt" — Pułkownik Mitkiewicz widzi, że „z dołu samolotu wyłazi pułk. Kleczyński i trzymając jedną rękę w kieszeni kombinezonu, wychodzi na tył samolotu". — Gdzież jest bomba i oderwana dymiąca pokrywa? — Nie w drugiej ręce, bo to autor relacji by widział. Bomba ma wymiar 8.5 cala (tj. 21 i 1/2 cm). Jeśli kieszeń kombinezonu mogła ją pomieścić, to odstawałaby od ciała i zauważyłby to obserwujący go autor lub ktoś z załogi, która na pewno czuwała. Jakże potem bomba wróciła w posiadanie pułk. Kleczyńskiego. Nikt nie widział by ją wnosił i nikt nie zauważył jej w garderobie.

Moim zdaniem pułk. Kleczyński niósł w kieszeni kombinezonu strzykawkę do morfiny, a może i opatrunek na swoją ranę. To zastrzyk morfiny spowodował, że gdy „wyszedł z garderoby i powrócił na dawne miejsce. Miał jakby lepszą minę".

Wątpię, by dało się odnaleźć prawdziwy i pełny przebieg zdarzeń poprzedzających tragiczną decyzję pułkownika Kleczyńskiego i odgadnąć jej motywy. Zabrał je ze sobą do grobu. Pokuszę się natomiast wydedukować powody, dla których on sam puszczał w świat całą dorobioną przez siebie baśń o zapaleniu się bomby w walizce, o jej ugaszeniu przez załogę no i czemu siebie oskarżał o planowanie istotnego zamachu.

Fanatyk patriotyzmu i służby, nieznający litości dla siebie i mający w oczach ofiarną pracę swych kolegów-lotników, nie łatwo mógł zrozumieć słabości ludzkie i kompromisy z sumieniem rzeczywiste czy suponowane. Na pewno najlepsze intencje kierowały nim, gdy zdecydował się przeprowadzić swój — a może że zaproponowany mu — inscenizowany zamach. Podchodził do sprawy prostolinijnie, po, żołniersku: — „Napędzi się generałowi strachu — zlęknie się i odejdzie".

Na rzeczywisty zamach nigdy by się nie zdecydował. Wychowanie jakie otrzymał kazało mu patrzeć z odrazą na każdą formę skrytobójstwa — zbrodni tak obcej polskim tradycjom. Człowiek obcujący często ze śmiercią na wojnie, walczący o życie swoje i załogi samolotu nie nastawia się psychicznie ani na samobójstwo ani na masowy mord kolegów.

Zainscenizowany zamach zawiódł. Nie skłonił generała do ustąpienia z zajmowanych stanowisk. Przeprowadzone dochodzenia skompromitowały pułkownika, a co gorsza ośmieszyły. On — dumny lotnik— skalał swój honor kłamstwem i niepoważnym postępowaniem. Wstyd i wyrzuty sumienia łączyć się musiały z żalem, a może i lękiem, że nie potraktowano go poważnie nie oddano pod sąd, nie ukarano, postąpiono jak z człowiekiem nieodpowiedzialnym za swoje czyny. Zwolniono go ze stanowiska — a po jakimś czasie dano inne. Wielkoduszność czy litość i dobroć gen. Sikorskiego — zamiast wdzięczności — dała żal do niego i niechęć.

Cała ta sprawa stała się psychicznym urazem. Męczyła i wracała na pamięć przy każdej okazji. On, człowiek ambitny, na dużym, jak na swój wiek stanowisku, najbardziej bał się śmieszności. Obawa przed nią kazała raczej przedstawiać się za człowieka, który był gotowy na wszystko, który chciał dokonać zamachu. — Nie dokonał go przez zły przypadek. Przez jaki? — przez pożar walizy!

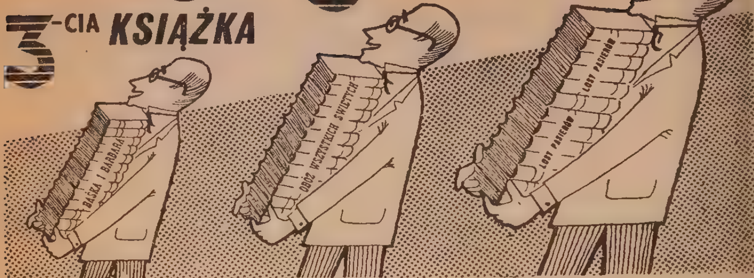
W chwilach żalu do losu i ludzi opowiadał swą fikcję. Może w nią i uwierzył. Może plany, refleksje i żale zatarły granice między tym co było, mogło być i być powinno. Uraz psychiczny nie dopuszczał myśli o wrażeniu, jakie jego opowiadania robią, jak traci w oczach słuchających — on — zasługujący za swą wojenną pracę tylko na uznanie — a dziś na najlepszą pamięć.

Dążąc do odtworzenia myśli ppłk. Kleczyńskiego, zdaję sobie sprawę że nie uwzględniam tych jego zmian psychicznych jakie mogło sprowadzić wyczerpanie nerwowe dwuletnią wojenną pracą, przy cierpieniu fizycznym i używaniu narkotyku, by mimo cierpień, kosztem zdrowia zdobyć się na wysiłek woli i nerwów, konieczny lotnikowi w wypełnianiu zadań bojowych.

Trudno też pod jedną miarę brać wypowiedzi człowieka, którego mózg raz pracuje sprawnie — dając myśl jasną, a raz leniwie i z wysiłkiem w okresach, gdy narkotyk działać przestaje.

*G. ŁOWCZOWSKI*

Londyn, 3. 7. 1958.


LIBELLA
3-CIA KSIĄŻKA
3-CI SUKCES
BAŚKA I BARBARA
OBOZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
LOSY PASIERBÓW

# *Kronika kulturalna*

## Zamglone profile

Dzięki inicjatywie wytwórni RCA-Camden, ukazała się niedawno wolnoobrotowa płyta, na której został wskrzeszony znakomity uczeń Liszta, Maurycy Rosenthal (1862-1946). Nazwisko to przywodzi na myśl zaszczytną rolę, jaką Polska odegrała w historii pianistyki. Rosenthal, Paderewski, Godowski, Hofmann, Landowska, Friedmann i Rubinstein stanowią najpiękniejszą plejadę pianistów, jaką wystawił w dwudziestym wieku *jeden* kraj.

Nowa płyta składa się z pięciu niewydanych poprzednio i niezaaprobowanych przez Rosenthala nagrań, które zachowały się w archiwach RCA. Słyszymy artystę w jego własnej parafrazie walca Straussa *Nad Modrym Dunajem* (nagranym w r. 1928), w *Wariacjach E-Dur* Handla (1939), w *Sonacie h-moll* Chopina (1939), *Mojej Pieszczotce* Chopina-Liszta, oraz chopinowskiej *Tarantelli* (1942) nagranej gdy sędziwy mistrz liczył sobie 80 lat.

Urodzony we Lwowie, w r. 1862, Rosenthal wcześnie rozpoczął naukę muzyki. Pierwszy jego nauczyciel nie dbał o elementarne wyszkolenie chłopca, pozwalając *Wunderkindowi* grać ze słuchu, improwizować i ćwiczyć utwory dowolnym palcowaniem. Dowiedziawszy się, że osławiony pianista Joseffy przebywa w Austrii, dziewięcioletni Rosenthal udał się pieszo do Wiednia. Wyprawa została uwieńczona powodzeniem, ale młodziutki artysta nie pozostał długo u Joseffy'ego, którego zastąpił wybitny uczeń Chopina, Karl Mikuli. Studia z Mikulim wydały wczesne owoce: jedenastoletni Rosenthal wystąpił publicznie ze swoim nauczycielem, z którym wykonał *Rondo C-Dur* Chopina na dwa fortepiany. Minęły trzy lata i młodym wirtuozem zainteresował się pałac rumuński — Rosenthal został mianowany nadwornym pianistą Księcia Karola Pierwszego. Najgorętsze życzenie Rosenthala miało się jednak spełnić dopiero w roku 1877, gdy go przyjął do swej klasy sam Liszt! Dostać

się do Liszta, o którego łaski zabiegały największe talenty, było uroczystym wyróżnieniem. Z bożyszczem pianistów Rosenthal pracował rok, aby wznowić cenne studia w latach 1884-6 to jest do zgonu Liszta. Trudno było marzyć o pomyślniejszej muzycznej atmosferze. Rosenthal spędzał większość dnia przy instrumencie, zaabsorbowany odkrywaniem nowych pianistycznych horyzontów. Wpływ Liszta przybierał coraz wyraźniejsze kształty. Wspominając potem studia z trzema znakomitościami Rosenthal oświadczył, że znacznie więcej skorzystał obserwując grę swoich mistrzów niż słuchając ich wskazówek.

Po śmierci Liszta Rosenthal zaczął szukać samodzielnych dróg. Zwycięski debiut w Lipsku, 1886, otworzył mu wrota do innych sal koncertowych. Potem turnée po Europie i obu Amerykach. Pierwszy recital w Nowym Jorku wywołał tak gwałtowną burzę entuzjazmu, że nie obeszło się bez interwencji policji. Wszechstronna technika lisztowskiego ucznia była jego najpewniejszym środkiem ,,uwodzenia''. Pianista ćwiczył zapamiętale, wszędzie, gdziekolwiek się znajdował, nawet — w pociągu — woził ze sobą stale tzw. ,,niemą klawiaturę'', przystosowaną specjalnie do jego wymagań. Miało to swoje komiczne momenty. Zajechawszy pewnego dnia do hotelu, polecił służbie ostrożnie wnieść sprzęt do pokoju. Widok dziwacznego instrumentu pochłonął uwagę pokojówki. Zaintrygowana, nie zdołała powstrzymać ciekawości: ,,Co to jest, proszę łaskawego pana?'', zapytała. ,,To jest — odparł z emfazą Rosenthal — fortepian; fortepian, który tylko *bezgrzeszni* mogą słyszeć''. Mówiąc to teatralnie przejechał *glissando* wzdłuż całej klawiatury. Gdy się obrócił, pokojówki już nie było...

W ciągu długiej kariery Rosenthal opublikował szereg wartościowych artykułów o interpretacji. Wydano również jego salonowe kompozycje i fortepianowe transkrypcje, ciekawe tylko z punktu widzenia pianistycznego. Muzykę tego rodzaju komponował niemal każdy wirtuoz ówczesnej epoki i zbyteczne jest dłużej się nad nią zatrzymywać. W liczbie publikacji figuruje także techniczny traktat na fortepian, opracowany przez Rosenthala z współudziałem Ludwika Schytte. O talencie pedagogicznym Rosenthala świadczą zarówno jego ogłoszone prace, jak krążące ustne relacje uczniów. Niemniej, wygłaszane poglądy wielkiego pianisty nie zawsze harmonizowały z jego własną metodą ćwiczenia. Publicznie, Rosenthal potępiał ćwiczenie pięciopalcówek *ad nauseum*, ,,bez inteligencji i imaginacji''; prywatnie — można go było zastać ćwiczącego i *jednocześnie* czytającego rozłożoną na pulpicie fortepianu gazetę. Jego wspomniana słabość do ,,niemej klawiatury'' także pozwala domyślać się rozdźwięku między teoriami a praktykami mistrza.

Pozamuzyczne zainteresowania Rosenthala miały daleki zasięg. Studiował filozofię i filologię, literaturę i sztuki piękne, władał biegle siedmioma językami, oraz uprawiał niektóre niebezpieczne sporty. Po brzegi wypełnione życie zostawiło jeszcze szczelinę na ,,dzienniczek'', w którym Rosenthal gromadził ma-

teriały do autobiografii. Po zajęciu przez Hitlera Austrii gdzie mieszkał, przerwał pisanie, dając niedokończonemu dziełu wymowny tytuł „Od Liszta do Hitlera".

Jednym z mniej znanych zamiłowań pianisty była jego pasja do atletyki. Obdarzony niepospolitą fizyczną siłą, artysta kultywował boks i ju-jitsu. Jego trener, champion Tommy Farr, odkrył w nim materiał na obiecującego boksera. Pianista wołał jednak spożytkować swoje fizyczne walory w bojach z własnymi karkołomnymi transkrypcjami lub akrobatycznymi utworami Liszta. Każdemu wirtuozowi mogło się zdarzyć wybicie struny na koncercie. Rosenthal pobił rekord, gdy raz, w Cincinnati, tak dramatycznie się rozegrał (*Don Juan* Liszta) że odpadła noga fortepianu. „Musiałem kontynuować grę bez pedału — opowiadał pianista — i dokończyłem utwór podtrzymując instrument *moją* nogą".

Herkulesowe siły Rosenthala przetrwały długą próbę czasu. Mając lat 75, potrafił unieść 500-funtowy ciężar i poradzić sobie „odręcznie" z bandytami. Jako 80-letni weteran fortepianu ukazał się raz jeszcze na estradzie. Suma jego występów dobiegała wówczas fantastycznej liczby 3.500.

Nazwisko Rosenthala rzadko występuje w kontekście historycznej dyskografii. Jednakże jego 25 komercjalnych płyt nagranych między r. 1928 a 1939 reprezentowały tak efektowne firmy jak Odeon, Ultraphone, Telefunken, Kalliope, Electrola, Parlophone, Edison US, Amer. Decca, Columbia oraz Victor (HMV) — wszystko nagrania elektryczne. Istnieją poza tym inne, niewydane, jak *Koncert Es-Dur* Liszta, nagrany w Europie, oraz kilka nietkniętych matryc amerykańskiej firmy Edison Bell, dla której Rosenthal nagrywał w r. 1929. Kolekcjonerzy wiedzą również o pięciu miniaturach nagranych dla „Victor", ale miejsce ich „pobytu" nie zostało dotychczas ustalone.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czemu Rosenthal nie nagrywał w okresie swojej najlepszej formy, lecz przeczekał 25 lat by zdecydować się na pierwszą płytę gdy miał już lat 66? Niestety pianista nie darzył zaufaniem akustycznych płyt i odrzucił szereg propozycji. Złagodniał dopiero gdy gramofon obchodził srebrny jubileusz i mógł zaofiarować ulepszoną metodę utrwalania, zwaną „elektryczną". Istotnie, gatunek płyty uległ w tym czasie poprawie, ale nie można było tego powiedzieć o samej grze Rosenthala, którą zaczynał rządzić coraz częściej przypadek. W ten sposób większość jego płyt rzuca mgliste światło na jego sztukę, gdy zaledwie kilka może potwierdzić reputację mistrza.

Nasz przegląd zaczniemy od tych płyt, które Rosenthal nagrał zanim czas wycisnął na jego grze dominujące piętno. Wzorowe nagranie chopinowskiej *Etiudy Op. 10 Nr 1* (Parlophone, 1930) pod każdym względem dorównuje znanej wersji Bakhauza. Pianistyczna i dźwiękowa równowaga jest także utrzymana w rosenthalowskiej rendycji *5-go Walca* Chopina (1930). Mniej ortodoksyjnie wypadł *Walc cis-moll*, nagrany w tym samym roku.

Z nagranych ośmiu chopinowskich mazurków wyjątkowo udały się Rosenthalowi popularny *D-Dur, Op.* 33 *Nr* 2 oraz *Mazurek G-Dur,* Op. 67 Nr 1. Ten ostatni (1930) przedstawia jedną z najszlachetniejszych interpretacji utrwalonych kiedykolwiek na płycie. Rytm, dźwięk, ekspresja, oddane są z najwyższym artyzmem. Uświadamiamy sobie nagle, jak wyraźny był wpływ Rosenthala na jego młodszego kolegę Friedmanna, który również tak pięknie odtwarzał polską galanterię w mazurku i wiedeńską kokieterię w walcu.

Najdłuższym utworem nagranym przez Rosenthala jest *Koncert e-moll* Chopina. Historyczny i ekscentryczny Album składa się z trzech dziesięcio i dwóch dwunasto-calowych płyt. Jeżeli chodzi o literaturę gramofonową, jest to jedyny wypadek zastosowania przez pianistę krzykliwych wariantów Tausiga. Tutaj 68-letni Rosenthal traci częściowo techniczną elastyczność charakteryzującą inne jego nagrania z tego okresu. Niektóre szesnastki są silnie akcentowane w celu utrzymania jednolitego tempa. O ile ta płyta jest pierwszą jaka nam wpadnie do ręki, możemy się pomylić w ocenie techniki Rosenthala. Dla kontrastu posłuchajmy efektownej wersji *Etiudy Na Czarnych Klawiszach* (1930), którą artysta kończy swoim słynnym *glissando w podwójnych oktawach.* Znużeni technicznymi fajerwerkami, sięgnijmy po płytę retrospektywnego *Soirée de Vienne* (Schubert-Liszt) gdzie Rosenthal, wiedziony wdzięczną melodią, akompanuje sobie ledwo dosłyszalnym ,,mruczando'' (1930). Perłą rosenthalowskiej dyskografii jest jednakże jego wyjątkowa rendycja *Wiedeńskiego Karnawału* (Rosenthal na tematy Straussa), Parlophone 1930, która zawiera oszałamiające momenty. Sam utwór przedstawia kombinację wiedeńskiej nostalgii z orgią balowych walców, narastających do kulminacyjnego punktu w którym kilka splecionych tematów tworzy polifoniczną szaradę. Zagęszczenie tematyki jest tak obfite, że trudno się zorientować, która melodia której zawdzięcza swe narodziny. Imponująca technika Rosenthala, która znalazła tu szerokie pole do popisu, nie jest jednakże techniką całkowicie równą. Małe odchylenia od ,,doskonałej symetrii'' pianista nadrabia drapieżną energią i siłą, które stanowią główne źródło tego osobliwego wirtuozostwa. Z odwagą i zręcznością linoskoczka atakuje on diabelskie figuracje które, rozumie się, skomponował wyłącznie dla swych własnych rąk.

Doznajemy dziwnych wrażeń słuchając rosenthalowskiej wersji *Modrego Dunaju* (Camden). ,,Rzeka'' płynie tutaj gładko mimo licznych pianistycznych raf. Datowana 1928 (a wydana dopiero teraz) rendycja ta dziwnie przypomina inną płytę Rosenthala, nagraną w tym samym czasie dla Electroli (HMV). Obie interpretacje są do tego stopnia identyczne, że synchronizują nawet w rytmicznej punktacji. Choć RCA zapewniło, że są to rozmaite nagrania — przypadek wykluczony.

Najważniejszym dziełem na pośmiertnej płycie Camden jest *Sonata h-moll* Chopina (1939). Sposób w jaki utwór jest wyko-

nywany nie pozostawia wątpliwości co do sędziwego wieku artysty. Tak z punktu widzenia muzycznego jak technicznego, rendycja *Sonaty* przedstawia ruinę. Konwulsyjne frazowanie wskazuje na rozpaczliwą walkę 77-mio letniego pianisty z tyranią wieku. W krytycznych momentach użyty został pedał celem ukrycia smutnej prawdy. Równie opłakany widok przedstawia wersja *Mojej Pieszczotki* (Chopin-Liszt): — utwór się rozlatuje. Nawet w skromnych *Wariacjach* Handla zamiast zapowiedzianych na okładce sensacji słyszymy jedynie ostatnie tchnienie mistrza.

Szkoda, że ta jedyna dostępna obecnie płyta Rosenthala przedstawia go głównie w ostatniej fazie życia. Istnieje dosyć materiału, aby wypuścić drugą, ciekawszą, która nie tylko zapozna nas z walorami brakującymi płycie Camden, ale ukaże tę ostatnią w pełniejszej perspektywie. Dodajmy, że Rosenthal bynajmniej nie jest jedynym wybitnym eksponentem Liszta, który powinien zostać przepisany na nowoczesną płytę LP. Inni pamiętni uczniowie Liszta czekają na wspólny recital. Wśród nich Vianna da Motta, Emil Sauer, Frederic Lamond (tak mało dziś znany) i wspaniały Eugene D'Albert, który pozostawił po sobie co najmniej dwadzieścia akustycznych płyt. O ile finansowa i prawna bariera zostaną usunięte, wiele zapomnianych nagrań odżyje na naszych LP, aby rozjaśnić zamglone profile wielkich mistrzów klawiatury, którzy wraz z Rosenthalem tworzyli pianistyczną arystokrację minionej epoki.

*Jan HOLCMAN*

# Fundusz Skarbów Wawelskich

„Fundusz Skarbów Wawelskich" został założony przy Fundacji Paderewskiego w New Yorku. Ma on służyć do opracowania i wydania monografii narodowych zbiorów polskich, przechowywanych tymczasowo w Kanadzie. Monografia będzie wydana w języku angielskim z kolorowymi reprodukcjami zdjęć Yousufa Karsha.

Monografia ta ma być reprezentacyjnym dokumentem depozytu Skarbów Wawelskich na kontynencie amerykańskim i wkładem Polonii do obchodów tysiąclecia polskiej historii.

Komisja Rewizyjna Funduszu Skarbów Wawelskich składa się z następujących osób: Stanisław Gierat, Edward Kosowicz, Halina Mazaraki, ks. płk. Fr. Tyczkowski, Janina Węgrzynkowa.

Ofiary można wpłacać na *Paderewski Foundation, Inc.*, 55 West 42nd Str., New York 36, N.Y., z zaznaczeniem że wpłata jest przeznaczona na Fundusz Skarbów Wawelskich (Polish Royal Treasures Chest). Każda

wpłata będzie kwitowana bezpośrednio oraz wyszczególniona w komunikatach sprawozdawczych Komitetu.

## LISTA DOTYCHCZASOWYCH OFIARODAWCÓW:
(w dolarach)

Andrzej Rey, Downingtown, Pa., 10 dolarów; Bronisława Gerard, New York, N.Y., 50; Kazimierz Kramczyński, Chicago, Ill. 20; Adam Styka, New York, N.Y., 20; Damian Wandycz, New York, N.Y., 10; Antoni Szayna, Passaic, N.J., 10; Teodor R. Cieśla, Garfield, N.J., 10; M.K. Dziewanowski, Boston, Mass., 15; Henryk Feld, Waterbury, Conn., 5; Ks. Biskup Stefan S. Woźnicki, Saginaw, Mich., 25; Ks. Prałat Andrzej Lekarczyk, Webster, Mass., 10; Ks. Prałat Stanisław Musiel, Hartford, Conn., 20; Ks. Prałat Bronisław Socha, Bloomfield, N.J., 25; Dr Edward A. Bogdan, Amsterdam, N.Y., 15; Marylka Modrzejewska Pattison, Tucson, Arizona, 10; Henryk C. Craig, New York, N.Y., 10; A.L. Smongeski, Stevens Point, Wisc., 10; Konstanty Cieszko, Brooklyn, N.Y., 35; W.J. Klimkiewicz, Maywood, N.J., 15; Ks. Franciszek A. Duch, New London, Conn., 10; Zygmunt Protassewicz, Middlebury, Conn., 15; Ks. Aleksander W. Fronczak, Wallington, N.J., 10; Antoni L. Kamejsza, Buffalo, N.Y., 20; Stow. Polskich Kombatantów, Koło 36, Philadelphia, Pa., 10; Ks. Józef A. Becker, Menasha, Wisc., 10; Alice de Barcza, Oshkosh, Wisc., 5; Stow. Polskich Kombatantów, Koło 34, Pittsburgh, Pa. 10; Zarząd Główny Ligi Morskiej w Am., Chicago, Ill., 25; Komitet Wolnej Europy, New York, N.Y., 25; Karol T. Jaskólski, Boston, Mass., 5; R.M. Tychanowicz, Scarsdale, N.Y., 5; A.A. Bochnowski, East Chicago, Ind., 10; Jarosław Paszyński, Detroit, Mich., 5; Berta Siemiński, Tenafly, N.J., 15; Ks. S.C. Zdebel, Easthampton, Mass., 10; Janostwo Dembińscy, New York, N.Y., 5; J. Koziarski, Springfield, Pa., 2; Michał Kamecki Brooklyn, N.Y., 10; Zygmunt F. Sarnowski, Jamaica, N.Y., 10; Diana T. Jaszek, New York, N.Y., 3; Ludwik Honigwill, Jackson Height, N.Y., 3; E. Jan Sierociński, Chicago, Ill., 10; Herman Tenenbaum, New York, N.Y., 11; Ks. Piotr P. Walkowiak, Hamtramck, Mich. 25; Ludwik Koźbiał, Brooklyn, N.Y., 10; Państwo J. Szymańscy, Philadelphia, Pa., 2; Pinkhos Schwartz, Bronx, N.Y., 3; Stefan Palmer, Glendale, Cal., 10; Feliks i Małgorzata Krzan, Philadelphia, Pa., 5; John Murphy, Brooklyn, N.Y., 2; Polish Benevolent Society, Linden, N.J., 5; Ks. Stanisław B. Kuźniak, Browerville, Minn., 10; Mieczysław M. Zagayski, New York, N.Y., 10; Antoni Maryanowski, New York, N.Y., 10; Koło Macierzyste Stow. Polskich Kombatantów, New York, N.Y., 100; Zofia Nostitz, New York, N.Y., 3; Towarzystwo Bratniej Pomocy Białego Orła ZNP, Chicago, Ill., 10; Związek Miłośników Wilna, Chicago, Ill., 15; Czesław Pragacz, Elmhurst, N.Y., 2; Czesław J. Witkowski, Forest Hills, N.Y., 25; Polish Arts Group, Rochester, N.Y., 10; Polish Arts Club, Buffalo, N.Y., 100; Dr Ryszard J. Brzustowicz, Rochester, N.Y., 10; Aleksander i Helena Orze, Youngstown, Ohio, 15; Ks. Dr Ignacy Olszewski, New York, N.Y., 11; Ks. Prałat P.J. Adamski, Buffalo, N.Y., 50; Bolesław Jan Solak, Ridley Park, Pa., 5; Polish Arts League of Pittsburgh, Pittsburgh, Pa., 10; Ks. M.C. Lankau, Irvington, N.J., 20; Jan F. Kopczyński, North Tonawanda, N.Y., 10; Stow. Pol. Kombatantów, Koło 2, Cleveland, Ohio, 25; Dr Tadeusz Pogorski, Sharker Heights, Ohio, 10; Matthew Widlicki, Brooklyn, N.Y., 10; Witold W. Kosicki, Ogunquit, Maine, 15; Stella Juriewicz, Cleveland, Ohio, 10; Ks. Prałat V.V. Borkowicz, Detroit, Mich., 25; Marian F. Grohoski, Rochester, N.Y., 2; Feliks Basista, Chicago, Ill., 50; Ks. Jan Brzonkala,

Milwaukee, Wisc., 10; Ks. Prałat Maks Gannas, Detroit, Mich., 25; Stanisław Hyżewicz, Cleveland, Ohio, 10; Ks. Władysław J. Radzik, Gardner, Mass., 10; S. Aleksander Suchorab, Toronto, Ont., 100; Dr Matthew J. Pantera Sr., Buffalo, N.Y., 25; Aleksander Znamięcki, New York, N.Y., 5; Mitchell J. Różycki, New Haven, Conn., 25; Stow. Samopomocy Nowej Emigracji, Chicago, Ill., 10; Polish Am. Youth Association, Passaic, N.J., 10; Zjedn. Polskie Narodowe, Brooklyn, N.Y., 50; Wiktor Londzin, Chicago, Ill., 10; Julian Godlewski, Zurych, Szwajcaria, 500; Stow. Polskich Kombatantów, Koło 7, Detroit, Mich., 10; Felicja i Antoni Kutten, Brookline, Mass., 10; Stow. Lechia, Gr. 3090 ZNP., Cleveland, Ohio, 20; Ks. Józef Sieczek, Kingston, N.Y., 10; Wydz. Opieki Społ. Nowego Świata, New York, N.Y., 5; Kółko Dram. Muz. im. Moniuszki, Youngstown, Ohio, 15; Związek Nowo Przybyłych Polaków, Utica, N.Y., 10; Stow. Lotników Polskich w Ameryce, Buffalo, N.Y., 10; Ks. Fred. A. Milos M.S., Westfield, Mass., 10; Maria L. Corwin, New York, N.Y., 5; John H de Rosen, Washington, D.C., 10; Dr. and Mrs Mitchel J. Nowak, Rochester, N.Y., 10; Leopold Lorentz, Rochester, N.Y., 10; Aleksander Kierzkowski, Somerville, Mass., 5; Mrs. Stanley Meisser, Lowell, Mass., 10; Mec. Henryk A. Bartkiewicz, New Bedford, Mass., 15; Stow. Polskich Kombatantów, Buffalo, N.Y., 10; Pulaski Society, Central Falls, R.I., 10; Gmina Nr. 33 ZNP, Pittsburgh, Pa., 10; Dr Józef Łabędź-Kuderewicz, Manchester, N.H., 20; Wacław Stefan Flisiński, Brooklyn, N.Y., 5; T. Tarczyński, Upper Derby, Pa, 5; Polish-American Veterans Aux., Central Falls, R.I., 10; Atalanta Products Corp., New York, N.Y., 500; C.J. Kray, Boston, Mass., 10; Liga Niepodległości Polskiej, Chicago, Ill., 5; M.B. Frenkiel, Chicago, Ill., 10; Eugeniusz Blacharczyk, Chicago, Ill., 5; Ludwik Duda, Chicago, Ill., 2; Antoni S. Wondołowski, Worcester, Mass., 11; Centrala Polskich Organizacyj, Passaic, N.J., 10; Dr. Antoni S. Mallek, Pittsburgh, Pa., 25; Ks. Józef A. Tamiłowski, New Kensington, Pa., 10; Polish Women's Civic Club, Inc., Chicago, Ill., 25;Roman V. Cegłowski, Hamtramck, Mich., 10; Kazimierz A. Silski, Passaic, N.J., 5; Aleksander Orłowski, Pittsford, Vermont, 15; Polanie Club, Minneapolis, Minn., 100; T. Sendzimir, Waterbury, Conn., 50; Jerzy i Anna Radziejowscy, New York, N.Y., 10; E. Łakaszewicz, New York, N.Y., 3; Tadeusz Ullman, New York, N.Y., 15; Romuald Grodzki, Newark, N.J., 10; Władysław Zachariasiewicz, New York, N.Y., 5; Józef Faltus, Chicago, Ill., 5; Maria Mackiewicz, New York, N.Y., 5; Felix Bara, Jackson Heights, N.Y., 10; Club Polonaise, Passaic, N.Y., 5; Bolesław Rodowicz, New York, N.Y., 15; Klara Swieczkowska, Detroit, Mich., 10; Dr. Lewis E. Yager, Detroit, Mich., 10; Elżbieta Nechay, Detroit, Mich., 5; Stow. Lotników Polskich, Skrzydło Detroit, 10; Ryszard Łopacki, Detroit, Mich., 10; Bolesław Basiński, Hamtramck, Mich., 10; Janostwo Poray-Wybranowscy, Brooklyn, N.Y., 10; Dr. Gustaw Bychowski, New York, N.Y., 20; Maria Kunycia, Camden, N.J., 5; Joseph i Chester Kohn, Salem, Mass., 3; Leopold i Jadwiga Wellisz, Eastchester, N.Y., 25; Polish University Club of N.J., Newark, N.J., 10; Polanki, Inc., Milwaukee, Wisc., 10; Ewa i Stanisław Gierat, New York, N.Y., 5; Bronisław Pojemski, New York, N.Y., 2; Edward Baummiller, Leonard, Mich., 50; Stanisław J. Rozmysłowicz, Detroit, Mich., 10; W. Domaniewski, Waterbury, Conn., 20; Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (Koło 13), Utica N.Y., 11; General K. Pulaski Association, Croup 149 of PNA, Huntington Station, L.I., 20; Rudolf Rathaus, Forest Hills, N.Y., 10; Angela V. Zybal, East Orange, N.J., 5; Michał Kwapiszewski, Washington, D.C., 15; Ignatius Nurkiewicz, Colts Neck, N.J., 25; Julius Curtis, New York, N.Y., 10; Józef Z. Jabłoński, New York, N.Y., 25; Adolph Bilton, Washington, D.C.,

10; Alfred Zega, New York, N.Y., 25; Polski Klub Towarzyski, Windsor Ont., 10; Ks. Edward K. Maliszewski, Turtle Creek, Pa., 15; W. St Flisiński (po raz wtóry), Brooklyn, N.Y., 5; Jan Kaczmarek, Passaic, N.J., 10; Victoria Rydzewska, Los Angeles, Calif., 10; Kazimierz Bazanowski, Bronx, N.Y., 2; George J. Sumowski, Forest Hills, N.Y., 10; B.S. Baszkowscy, Jersey City, N.J., 3; A. Lewandowski, New York, N.Y., 5; Sylvia Andronik, New Canaan, Conn., 10; Maria Samms, New York, N.Y., 20; Helena i Oskar Haleccy, Scarsdale, N.Y., 10; Chester Pogorzelski, Harrison, N.J., 2; Zrzeszenie „Polonia", Albany, N.Y., 21; Koło Armii Krajowej (Zarząd Główny), New York, N.Y., 10; Walter Hlabny, New York, N.Y., 5; Gen. Kazimierz Sosnkowski, Arundel, P.Q., 20; Edmund Andronik, Washington, D.C., 15; Sarmatia Universal, Inc., Boston, Mass. 30; W.A. Stachecki, Southampton, L.I., N.Y., 10; Cecylia Sokalska-Zawilska, New York, N.Y., 25; Generał Kazimierz Sosnkowski (za pośrednictwem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Obczyźnie, Londyn), 75; Czysty dochód z przedstawienia „Od Fredry do Żeromskiego", ofiarowanego na Fundusz Skarbów Wawelskich przez Lidię Próchnicką i Leonidasa Ossetyńskiego 172,56; Z donacji po $1.— (za kolorową reprodukcję arrasu tronowego), 225,50; Wydział Stanowy Kongresu Polonii, Hartford, Conn., z okazji obchodu 3. Maja 1958 150 dolarów. RAZEM : $4.357,06.

# Komunikat Sądu Konkursowego

Dnia 9 lipca 1958 roku odbyło się posiedzenie Sądu Konkursowego powołanego przez Koło Księży Kapelanów w Stanach Zjednoczonych A.P.

Sąd Konkursowy został powołany w związku z ogłoszeniem przez Koło Księży Kapelanów Nagrody Literackiej imienia Prymasa Polski Kardynała Augusta Hlonda na pracę związaną z kultem Matki Bożej pośród żołnierzy polskich wszystkich epok.

Na konkurs nadesłano dziesięć prac.

Sąd Konkursowy w składzie : Jan Fryling, Ks. Dr Ignacy Olszewski, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Ks. Prałat W.A. Rojek postanowił nie nagradzać żadnej z nadesłanych prac, natomiast wyróżnił dwie prace a mianowicie : 1) „Tajemnica" — godło „Porucznik"; 2) „Dwa medaliki" — godło „Danebola Leonis".

Po otwarciu kopert okazało się, że autorką „Tajemnicy" jest Teodozja Lisiewicz (Londyn), zaś autorem „Dwu medalików" — Bolesław Pomian Piątkowski (Montreal).

P.T. Autorzy nadesłanych prac proszeni są o przesłanie swoich adresów na adres : Rev. A. Prusinowski, 120 Sussex Street, Jersey City, N.J. celem ich odesłania.

# Książki

## Zasady etyki

W ubiegłym roku Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało w krótkich odstępach czasu trzy książki Czesława Znamierowskiego — ,,Oceny i Normy'', ,,Wina i Odpowiedzialność'' oraz ,,Zasady i Kierunki Etyki''. Czytelnicy ,,Kultury i Społeczeństwa'' wiedzą również o tym, że niebawem ukazać się ma spoczywająca od dawna w rękopisie ,,Socjologia''. Ten obfity plon myśli świetnego i zasłużonego tłumacza angielskich filozofów — Moore'a, Hume'a i Hobbesa — jest dziełem wielu lat, spisanym w okresie okupacji i w okresie powojennym. Okoliczności polityczne winne były temu, iż to co mogliśmy otrzymywać dawniej i kolejno, to dostajemy obecnie do rąk w takiej zagęszczonej koncentracji. Zaleca się przeczytanie przedmowy do ,,Ocen i Norm'', która informuje o swoistych losach tej książki i jednocześnie stanowi ważny przyczynek do dziejów myśli w Polsce w okresie od końca Drugiej Wojny Światowej do października 1956 roku.

Ze wspomnianych trzech publikacji pragniemy omówić tylko jedną, mianowicie ,,Zasady i Kierunki Etyki'' i polecić ją gorąco czytelnikom. Wybór ,,Zasad i Kierunków Etyki'' podyktowany jest nie tylko względem, iż dwie pozostałe są przeznaczone dla węższych kręgów odbiorców, podczas gdy ,,Zasady i Kierunki Etyki'' pisane były z myślą o szerokich kołach publiczności. Wybór ten dyktuje również fakt, iż mimo swej popularyzującej formy i niewielkich rozmiarów ,,Zasady i Kierunki Etyki'', jak się wydaje piszącemu, przedstawiają w sposób najpełniejszy poglądy Czesława Znamierowskiego na ten splot zagadnień, dyscyplin lub umiejętności, które noszą tradycyjnie miano etyki. Albowiem zapowiedź autora w przedmowie, iż jego zamiarem było danie czytelnikowi skromnego przewodnika w wędrówce myślowej wśród najważniejszych zagadnień etycznych i ich historii trzeba uzupełnić komentarzem, iż przewodnik ten jest napisany przez myśliciela reprezentującego okre-

ślone stanowisko w omawianych zagadnieniach, który swe opinie uzasadnia, systematyzuje i broni przed krytyką stanowisk odmiennych, poddanych z kolei krytycznej ocenie. ,,Zasady i Kierunki Etyki'' nie są przeglądem problemów i stanowisk w etyce w ich oszałamiającej różnorodności i skomplikowaniu z pozostawieniem czytelnikowi wolnej ręki co do tego, jak dokonać wśród nich wyboru. Przegląd ten zawiera w każdym punkcie jasno i wyraźnie wypowiedziane preferencje, uzasadnione ze względu na pewne podstawowe przekonania autora, obrazujące przeto łącznie jego własne stanowisko.

Maria Ossowska zastanawiając się nad przyczynami niepowodzenia podjętej w ,,Podstawach Nauki o Moralności'' (1) próby analitycznej definicji oceny moralnej doszła do wniosku, iż były one dwojakiej natury. Pierwszą z nich jest niespojność tej dziedziny teoretycznej i praktycznej myśli jaka nosi miano moralności; termin ten obejmuje zlepek różnorodnych spraw, splątanych z sobą zarówno w praktyce ludzi, jak i ich teoretycznej refleksji. Powtóre, nawet gdyby moralność stanowiła jednolitą całość, zagadnienia moralne przedstawiają się inaczej w różnych grupach społecznych. Moralność posiada treść klasową, specyficzne właściwości związane ze środowiskiem, jego materialnymi warunkami życia i ethosem. Moralność nie posiadając gramatycznego pluralis występuje faktycznie w liczbie mnogiej i w tej różnorodności musi być rozpatrywana. *Contra factum non valet argumentum,* jakkolwiek dostojnie i wzniośle argument ten brzmieć może. Tezę o której mowa, Ossowska wykazała w swej pionierskiej książce ,,Moralność Mieszczańska'', monografii klasowej moralności.

Jeśli chodzi o pierwszą z wymienionych przyczyn, mianowicie niespojność zagadnień stanowiących przedmiot moralnej refleksji, niespojność ta jest wynikiem trzech różnych wątków przewijających się w różnych proporcjach w dziełach pisarzy etycznych i w myślach ludzi zastanawiających się nad moralnością. Pierwszy z nich to wątek terapeutyczny, troska o zdrowie duszy, leczenie od cierpień i wskazanie drogi do szczęścia człowiekowi wziętemu w odosobnieniu, niezależnie od warunków społecznych, w których żyje, bez brania pod uwagę tego, czy warunki te można zmienić i ulepszyć. Drugim wątkiem jest troska o własną doskonałość, szukanie wzorów osobowości spełniających aspiracje perfekcjonistyczne. Trzecim wreszcie wątkiem jest przekonanie, iż moralność ma nade wszystko funkcję społeczną, służy ułożeniu ludzkiego współżycia i stworzeniu harmonii między jednostką i zbiorowością. Ossowska propono-

(1) Pierwsze wydanie ,,Podstaw Nauki o Moralności'' ukazało się w 1947 roku. Było wydrukowane w Szwecji jako dar Rządu Szwedzkiego dla odbudowy kultury w Polsce. Od lat książka ta była wyczerpana i trudno dostępna. W 1957 roku PWN wydało drugie wydanie bodaj z wyjątkiem kilku skreśleń i kilku zdań wtrąconych niezmieniony przedruk wydania pierwszego.

wała, by każdy z wymienionych splotów zagadnień wyodrębnić w osobną całość, nadać jej odrębną nazwę, badać metodami właściwymi dla każdej z nich. Proponowała ona również, by nazwę etyki posługiwać się tylko w odniesieniu do zagadnień dotyczących ludzkiego współżycia, a rezerwowała tę historyczną nazwę dla tego właśnie splotu zagadnień, gdyż — jak twierdziła — są one dzisiaj dominujące w refleksji etycznej.

Zarzucano kiedy Ossowskiej w kołach ludzi kompetentnych, iż rezultaty jej obszernego i niezwykle erudycyjnego dzieła były czysto negatywne, a nawet destruktywne. Jak się wydaje, była to krytyka niesłuszna. Trud wprowadzenia jakiegoś ładu w nieład, pisała Ossowska w końcowych zdaniach ,,Podstaw Nauki o Moralności'', wyczerpywało zadanie tej książki. Dywidendy jej trudu zbieramy dzisiaj. Korzysta z niego bodaj każdy, kto w Posce pisze o zagadnieniach moralności.

,,Zasady i Kierunki Etyki'' opierają się pod niejednym względem na rezultatach Ossowskiej. Nie należy dopatrywać się w tym komentarzu próby pomniejszania oryginalności omawianej książeczki. Kooperacja umysłów, kontynuacja zagadnień i oryginalność nie wykluczają się, lecz przeciwnie — wspierają się wzajemnie, a łącznie prowadzą do wytworzenia się pewnej tradycji i klimatu myślowych poszukiwań, w jakich dopiero powstać mogą dzieła wielkie i nieprzemijające.

Etyka w sensie szerszym jest dla Znamierowskiego nazwą ogólną zespołu dyscyplin teoretycznych i praktycznych. Na etykę składa się teoria ocen, norm i postępowania, którą autor rozpatruje w pierwszych dwudziestu paragrafach swej książki. Ta teoria jest jego zdaniem częścią psychologii, dokładniej — psychologii uczuć, dążeń i działania, względnie dyspozycji do nich, zbiorem zdań ogólnych sprawdzalnych przez wypowiedzi introspekcyjne i inne zdania psychologiczne. Należy o tym uprzedzić czytelnika, gdyż ktoś może być zdumiony, iż książeczka poświęcona zadaniom i kierunkom etyki wprowadza go najpierw w świat doświadczeń wewnętrznych i zachęca do przeprowadzenia introspekcji. Jest to niewątpliwie najbardziej kontrowersyjna część książeczki, tak w swej tezie podstawowej — nie każdy się bowiem zgodzi, iż ocena jest zdaniem psychologicznym — jak i w poszczególnych opisach przeżyć introspekcyjnych. Piszący te słowa, a zapewne nie tylko on sam, ma np. trudności w znalezieniu w swym doświadczeniu wewnętrznym jakiegoś ,,dążenia kontrolnego do maksimum przyjemności, jakie w danym przypadku było możliwe, przy minimum przykrości'', czuwającego nad wszelkimi dążeniami. Wydaje mu się, że to, co autor czytelnikowi sugeruje, polega na introjekcji do doświadczenia wewnętrznego treści, jakie bezpośrednio dane nie są.

Do etyki należy dalej etnologia i historia o tyle, o ile one opisują, jak w różnych czasach i środowiskach ceni się różne rzeczy i według jakich wzorów (norm) się postępuje. Łącznie z teorią ocen stanowią one w ramach etyki w szerszym tego

słowa rozumieniu zespół dyscyplin teoretycznych i spełniają podobną rolę podbudowy opisowo-empirycznej w stosunku do normatywnej części składowej etyki, jaką Ossowska wyznacza nauce o moralności.

Tą normatywną i praktyczną częścią etyki w sensie szerszym jest prakseologia, czyli nauka stosowana, dotycząca skutecznych sposobów działania, wraz z techniką międzyludzkiego obcowania; technika szczęścia jednostkowego czyli wskazania co do tego, jak osiągnąć w życiu jednostkowym maksimum szczęścia, które jest stanem równoważnym z największą nadwyżką przeżyć przyjemnych nad przeżycia przykre (2); oraz technika postępowania jednostki zmierzającego do największej sumy szczęścia zbiorowego wszystkich jednostek razem wziętych, czyli technika działania dobrego lub słusznego, zgodnego z pozytywną oceną moralną.

Etyka w węższym i właściwym tego słowa znaczeniu to tylko technika postępowania zwróconego na innego człowieka, ich grupę lub całą zbiorowość, gdyż tylko takie postępowanie podlega moralnej ocenie, jest złe lub dobre, w sensie jaki trzeba jeszcze bliżej określić. Dążenie do własnego szczęścia jest dążeniem naturalnym każdego i ze względu na to podlegać może utylitarnej, lecz nie moralnej ocenie (mamy tu pewne podobieństwo do poglądu Kanta, którego koncepcji moralności Znamierowski nie ocenia entuzjastycznie). Wynikają z tego pewne pozornie lub faktycznie paradoksalne konsekwencje. Tak np. trzeba stąd wyciągnąć wniosek, iż stoicki ideał mędrca lub pewne formy hedonizmu nie należą do etyki. Normy stoickiego mędrca lub hedonisty ze szkoły Arystypa dotyczą bowiem postępowania zwróconego ku samemu sobie, a nie ku innym ludziom lub ku zbiorowości, są więc techniką jednostkowego szczęścia, a nie techniką działania dobrego. Te konsekwencje są nadto z tej przyczyny paradoksalne, iż ludzie oceniają moralnie również postępki, które nie są skierowane na inne osoby, inaczej — iż w mniemaniu oceniających skierowanie postępowania na innych nie jest warunkiem niezbędnym oceny moralnej. Tak np. często przypisuje się tzw. cnotom osobistym wysoką wartość moralną i potępia się surowo działania pozbawione wszelkich efektów społecznych.

W pierwszej części ,,Zasad i Kierunków Etyki'' Znamierowski stara się wykazać, iż ocena jest pewnym stanem wzruszeniowym, który podobnie jak światło pozwalające postrzegać barwy i kształt przedmiotu ukazuje nam coś jako dodatnio lub ujemnie cenne. Z ocen budujemy normy, które jeśli są normami postępowania zalecają lub ostrzegają przed postępowaniem w określony sposób, inaczej — wskazują pewne wzory postępowania stosownie do wzruszeń, jakie wywołują i ocen związanych

(2) Tę równoważność autor stwierdza na stronie 73, chociaż uprzednio (p. 32) mówi ostrożniej, iż jest to jedno ze znaczeń słowa ,,szczęście'' i że tak ,,z gruba rozumie się potocznie szczęście''.

ze stanem wzruszeniowym. Normy, które wskazują wzory postępowania w stosunku do innych osób, kształtują lub w jakikolwiek inny sposób wpływają na międzyosobnicze stosunki, są normami moralnymi. Nie wystarcza to jednak do odróżnienia norm moralnych od innych typów norm (np. zwyczajowych lub prawnych), jeśli nie dodamy, że normy moralne wyrastają ze szczególnych stanów wzruszeniowych i zawartych w nich motywów działania. Te szczególne stany wzruszeniowe określa Znamierowski terminem powszechnej życzliwości. ,,Życzliwość powszechna winna kierować czynami ludzkimi'' jest podstawową normą moralną. Nie ma normy od niej ogólniejszej, z której możnaby ją wyprowadzić i każdą inną normę można z jej pomocą uzasadnić. Jest ona powszechna; daje bowiem wskazanie, jak każdy człowiek winien odczuwać i działać we wszelkiej sytuacji. Z niej, jak Znamierowski twierdzi, wynika naczelna dyrektywa utylitaryzmu — człowiek winien tak postępować, by realizować największą sumę szczęścia dla największej liczby ludzi — którą wolałby nazwać poglądem społecznego eudajmonizmu, bo przecież zaleca postępować z myślą o szczęściu wszystkich. ,,Szczęście'' zaś, przypomnijmy, to tyle co ,,globalna nadwyżka przyjemności nad przykrością''.

Naczelna norma społecznego eudajmonizmu nie jest normą projektowaną. Jest ona, jak Znamierowski sugeruje, faktycznie uznana jako norma naczelna, co oczywiście nie znaczy, iż jest zawsze i przez wszystkich praktykowana. Powszechna życzliwość jako stan wzruszeniowy jest rezultatem długiego rozwoju społecznego. Z tej przyczyny starożytność nie znała eudajmonizmu społecznego, chociaż we fragmentarycznej formie możemy odnaleźć jakieś jego elementy u Demokryta, Sokratesa i Epikura. Myśl o powszechnej życzliwości pojawia się jako miłość bliźniego w filozofii chrześcijańskiej, lecz zostaje przytłoczona przez ideę pozagrobowej sankcji i przez teologiczne dociekania nad naturą Boga, w których moc i mądrość Boża zajmuje wyższe miejsce niż dobroć. Dopiero w etyce utylitarystów od Hume'a, poprzez Adama Smitha do Benthama i Milla kształtuje się myśl, iż podstawą oceny moralnej są uczucia społecznej sympatii i życzliwości zwrócone ku innej osobie i zbiorowości. Dzisiaj nosicielami tego przeświadczenia o powszechnej życzliwości jako źródle moralności nie są wybitne jednostki i wielkie umysły, lecz szarzy ludzie, którzy z grozy wojennego i powojennego bytowania wynieśli ,,zdrowe poczucie moralne'', swym życiem inspirowanym powszechną życzliwością dają świadectwo temu, iż norma oparta na tym wzruszeniu jest naczelną normą moralną.

Szczegółowa treść norm moralnych wyprowadzonych z normy naczelnej społecznego eudamonizmu nie jest wyznaczona wyłącznie na drodze postępowania dedukcyjnego. Wskazania społecznego eudajmonizmu muszą się liczyć z konkretnymi warunkami historycznego, społecznego, gospodarczego bytowania. Struktura społeczna zbiorowości dostarcza ram ograniczających, w których realizują się następstwa jednostkowego postępowania

i bądź powiększają, bądź pomniejszają jego skuteczność. Ram ograniczających dostarcza nie tylko rzeczywistość społeczna, lecz i świat fizyczny. By działać celowo i skutecznie, znać trzeba tworzywo, na które działamy, a nasz obraz świata częściowo oparty na doświadczeniu, częściowo uzupełniony przez spekulację, jest tylko śmiałym domysłem. Szczególna treść norm moralnych kształtować się będzie stosownie do tego, jakie możliwości otwarte są dla ludzkiego działania w obrazie świata leżącym nieodmiennie u podstaw refleksji etycznej. Normy moralne bądź odzwierciedlają optymizm i ufność w zdolność człowieka realizowania jego zamierzeń, bądź ostrożność i powątpiewanie co do plastyczności społecznego i fizycznego świata, w którym żyjemy i działamy.

Znamierowski należy do umiarkowanych optymistów. Chociaż bowiem skłonny jest uznać, iż pierwszym i minimalnym wskazaniem powszechnej życzliwości jest ,,nie szkodzić innym'' (,,życie zbiorowe układałoby się już znośnie, gdyby każdy człowiek czuwał nad tym, by nie czynić krzywdy innym''); chociaż w powściągliwości i wyrzeczeniu widzi nieodzowny składnik postawy moralnej i twierdzi, iż dobrą rzeczą jest nosić w samym sobie najwięcej warunków swego szczęścia; chociaż w dziejach nie widzi nieustannego doskonalenia się moralnego, lecz odwrotnie — częste cofnięcia się i upadki, jednak mimo tych regresji postęp, mówiąc słowami zaczerpniętymi z ,,History of Europe'' H.A.L. Fishera, jest dla niego wypisany wielkimi zgłoskami na kartach historii.

,,Normy społeczne coraz bardziej usuwają tarcia między ludźmi, coraz skuteczniej bronią słabych przed mocnymi i chronią ich przed krzywdą. Zniknęło niewolnictwo, zmniejsza się w koloniach wyzysk człowieka kolorowego, a wyzysk gospodarczy w społeczeństwach cywilizowanych zostaje wstydliwie zamaskowany i nawet prawem ograniczony. Budownictwo socjalistyczne zaś w czyn wprowadza najdalej idące postulaty życzliwości powszechnej. I już nie w pouczeniach moralnych, lecz w rzeczywistej praktyce życiowej człowiek coraz bardziej liczyć się musi i liczy z człowiekiem, jak tego żąda życzliwość powszechna. I sama ta życzliwość zapuszcza coraz głębiej korzenie w życie zbiorowe, tak dalece, że można jeszcze wprawdzie uchylać się przed jej nakazami w czynie niezbyt widocznym, ale nie można sprzeciwiać się im jawnie w słowie. Na ustach każdego jest bliźni i dobro powszechne'' (p. 106-107).

Trudno jest powiedzieć, czy jest to wyznanie wiary myśliciela oparte jakoś na globalnej, chłodnej i bezstronnej ocenie względnej miary szczęścia w świecie, czy też głos pedagoga pragnącego obudzić wśród swych słuchaczy dążenia i poczucia, które by te kredytowe oceny zamieniły w rzeczywistość.

Piszący te słowa nie formułuje w słowach tych znaków zapytania, jakie tu i ówdzie postawił na marginesie ,,Zasad i Kierunków Etyki''. Jest w tej książeczce wiele rzeczy nowych i trafnych, dotyczących meritum rzeczy, w szczególności jeśli chodzi o koncepcję etyki, jak i wiele świeżych, odbiegających od st

reotypu uwag o rozwoju idej etycznych. Sprawy sporne, np. o to czy winniśmy oceniać postępowanie ze względu na intencję, jak autor sugeruje, czy też raczej ze względu na skutki, ku czemu skłania się piszący, należą do tych różnić poglądów, których nie umiemy dzisiaj rozstrzygnąć konkluzywnie i zadowalająco. Jeśli chodzi o umiejętność doboru celów w życiu, podzielam pogląd autora, iż daje ją mądrość życiowa, ,,która rośnie z doświadczeniem i wiekiem''. Jego mądrości życiowej zdobytej długim życiem poświęconym refleksji nad dolą człowieczą chcemy wysłuchać z należnym szacunkiem i innych do tego zachęcić.

Jednej krytycznej uwagi piszący jednak nie może pominąć milczeniem. Wśród imiennie wspomnianych przodowników ludzkości, których ,,myśl niby szybowała górnym, niemal ponadludzkim lotem'', a którzy jednak tajemnie wielbili nietzscheański ideał przemocy, znalazł się i Bertrand Russell.

**,,Bertrand Russell choć mienił się wielbicielem wolności, marzył o tym by tyrania jednego narodu czy państwa objęła żelaznym pierścieniem i chwytem świat cały i ustaliła pokój powszechny wśród równych między sobą niewolników'' (p. 111).**

Powyższa charakterystyka zapewne oparta jest na artykule Russella ,,The Atomic Bomb and the Prevention of War'', opublikowanym w ,,Polemic'' (July-August, 1946), którego zawartość rozpowszechniona została kiedyś w niedokładnej, jeśli nie we wręcz zniekształconej formie. Piszący te słowa wspomniany numer ,,Polemic'' chętnie udostępni do wglądu, celem przekonania osób prawdziwie zainteresowanych, iż uproszczona wersja wypowiedzi, a przeto również oparta na niej ocena Bertranda Russella, nie posiada uzasadnienia w pełnym tekście artykułu. Jeśli zaś pełny tekst nie przekona, należy ponadto dodać, iż Bertrand Russell stanowisko zajęte w omawianym artykule porzucił Wiedza i mądrość nie chronią przed wypowiadaniem błędnych opinii, przyznanie się do nich jest miarą wiedzy i mądrości.

*Zbigniew JORDAN*

# Sąsiedzi ciemności

Czy ziemia, gwiazda na której żyjemy, jest okrutna? Jest. Okrutna, dobra, błogosławiona. Tyle określeń, ile punktów widzenia: przeciwstawnych, uzupełniających się, innych. Tu jest punkt wyjścia i punkt powrotu. Jaka jest ziemia? Nijaka. Neutralna. Różna, bo inna gdy patrzymy inaczej. Zmienna, bo obraz

jej zmienia się wraz z punktem z którego obserwujemy. Więc wybór: miejsca, spojrzenia. Lecz jeśli wybór, to jakie są jego kryteria? Czy możemy zająć pozycję, z której, wiemy to, obserwacje potwierdzą nasze przeświadczenie? Lub taką, z której patrząc, zaprzeczymy temu co nam bliskie, co uważamy za słuszne? Czy słuszne staje się wtedy niesłusznym, bliskie wrogim? I czy wolno nam w takim razie wybierać wprost, między wnioskami? Które z nich wolno pominąć, o których zapomnieć?

Jaka jest ziemia? Nijaka, neutralna. A ludzie, jej mieszkańcy? Różni. Okrutni, dobrzy. Nijacy, neutralni. Okrutni i dobrzy równocześnie. Zmienni, zależni od sytuacji. Determinowani przez gwiazdę, którą zamieszkują. Jaka jest ziemia? Chcą ją ujarzmić określeniem. To wyższość natury żywej i myślącej nad martwą. Jej zaś wyższością jest żadność. Podatność i odporność na definicję.

Określenia się różnią (okrutna, błogosławiona), cel określeń jest zawsze ten sam: poprzez poznanie charakteru determinanty, poznanie i zrozumienie determinowanego, człowieka.

Woroszylski (1) nie jest filozofem. Do wniosków swoich nie dochodzi drogą spekulacji intelektualnych. Obserwuje ludzi, ich dążenia i limitacje. Wnioski dyktują mu epitet: okrutna. Okrutna, gdyż nijakich zmusza do okrucieństwa. Gdyż okrucieństwem muszą torować sobie drogę do chleba, szczęścia, istnienia. A tego chcą. To ich problem centralny. Dość walki, dość potomności, dość historii. Żyć. Po ludzku. Odetchnąć, zapomnieć, odrzucić to, co się ich chceniu sprzeciwia. Uporządkować swoje życie, zacząć je inaczej, „po ludzku", od nowa.

— „Ja już dłużej nie wytrzymam — mówił mężczyzna. — Rzucę to wszystko, wyjedziemy do Warszawy, wydzierżawię taksówkę...

— Nie, to niemożliwe — błagała kobieta — taki grzech. Sakrament" — („grzech").

Kto stwarza dylemat, który rozstrzygnąć muszą ksiądz i matka jego dzieci? Oni? Ich wiara? Ludzie? Woroszylski nie daje na te pytania odpowiedzi. Z jego punktu widzenia, ważne jest to, że dylemat istnieje, że bohater opowiadania „dłużej już nie wytrzyma", pragnie spokoju, domu, zwykłego ludzkiego szczęścia. Ktoś między ich „chcę" i „mogę" rzucił przepaść. Woroszylski sygnalizuje jej istnienie. Nad jej krawędzią kręcą się bliżej nieznani nam ludzie. Z ich ruchów wnosimy, iż pragną ją przekroczyć. I to wszystko. „Tylko", czy „aż" tyle?

— „To jak — zapytał ochrypłym szeptem — tu mam pić?
— Tam są goście.
— A ja nie mogę z gośćmi? Dzisiaj święto.
— Niech tatuś je i pije co dałam.

---

(1) Wiktor Woroszylski, „Okrutna Gwiazda", Warszawa, PIW 1958. str. 63.

— Na podłodze mam usiąść? Jak pies? To na to was wychowałem? Oddajcie pieniądze, które na was łożyłem. Pójdę do restauracji.

— Nic tatuś na nas nie łożył. Tylko mamę tatuś do grobu wpędził. My chcemy żyć po ludzku, rozumie tatuś?'' (,,ojciec'').

Rozumie. On również chce ,,żyć po ludzku''. Dwa chcenia, podobne a przeciwstawne zderzają się ze sobą i opadają martwe, jak modlitwy widziane w magicznej kuli Faraona. Bo suma szczęśliwości jest sumą skończoną, czerpiąc z niej, odbieramy ją innym. Fakt ten, w połączeniu ze świadomością własnych limitacji, rosnących wraz z mijającym bezpowrotnie czasem, rozbudza drapieżność w walce o ,,swój udział'' w życiu, z żalu, z przerażenia przeradza się w bezwzględność. Czasem świadomość ta działa hamująco, wtedy żołnierz ,,oszczędzi'' dziewczynkę, proszącą go, by jej nie ,,robił nic złego'', i ,,z tego zdziwienia zapamięta ją'' (,,wspaniałomyślność''); czasem staje się źródłem dodatkowych rozkoszy, wtedy była więźniarka wyliczy moment, w którym najpewniej zniszczy życie dziecka swego zmarłego oprawcy, wyjawioną prawdą o matce. (,,jej córka'') Najczęściej jednak podsyca zwierzęcy głód życia i ludzką chęć odrzucenia, usunięcia z drogi tego, co się nowemu życiu sprzeciwia. To nurt, który łączy wszystkie utwory ,,Okrutnej Gwiazdy''. I już jako wniosek przepisany z okładki, świadomość, że nic wykreślić się nie da, pamięć ludzka jest długa, przeszkody które napotykamy, to przede wszystkim ludzie, o podobnych pragnieniach, chceniach. Unerwieni, wrażliwi, słabi.

— ,,Dlaczegoś mi to zrobił? — zapytał cicho i serdecznie. — Dlaczego?

W głosie jego nie było złości, tylko jakiś nieśmiały wyrzut i oczekiwanie. Czułem, że odpowiedź moja będzie dla niego bardzo ważna, ale nie wiedziałem o co mu chodzi, nie pamiętałem żadnej krzywdy, którą bym mu kiedykolwiek wyrządził, zresztą nigdy do tej chwili nie wyobrażałem sobie że jego można skrzywdzić, raczej on wydawał mi się zdolny do skrzywdzenia innych''. (,,dlaczego?'').

Tu gdzieś są dolne granice ludzkiej wrażliwości. Wymykające się określeniom stanów emocjonalnych, gniewu, żalu, oburzenia, nieuchwytne inaczej niż naiwnym, dziecięcym pytaniem: dlaczego? Tu krąży duch Dostojewskiego, tędy prowadzi ścieżka na cmentarz, na której spotykają się ,,Życie i Śmierć'' w opowiadaniu Tomasza Manna.

Na tym powinienem mój essay zakończyć. Na tym zakończyłbym go, gdyby nie owa ,,wielość rzeczywistości'', podpowiedziana we wstępie; retoryka zobowiązuje. Jeśli istotnie zmądrzeliśmy o ,,punkt widzenia'', jeśli istotnie potrafimy pokazać człowieka z różnych stron, opisując różne, prawdziwe, jego cechy, pozycja jaką zajmujemy dla obserwacji, jest niemniej ważna niż jej obiekt. Spróbujmy więc umiejscowić autora ,,Okrutnej Gwiazdy'', nie-filozofa, który przed uogólnieniem chroni się w szczegół, w człowieka; równocześnie zaś anty-psychologa,

kreślącego sylwetki swoich bohaterów po reportersku, grubą, czarną kreską, cieniując je jedynie o tyle, o ile potrzebne jest to do naświetlenia sytuacji, problemu. Tego typu postawa podaje nam kierunek rozważań. Oto dwa możliwe wzory, sądzę, iż obydwa na czasie.

Propozycja pierwsza : ktoś oślepł. Ślepota, jeśli nie całkowita, jest kwestią stopnia. Widzę gorzej, widzę źle, widzę bardzo słabo. Metaforycznie mianem ślepoty określamy widzenie różne od naszego. Jeśli *tego* nie widzisz — ślepy jesteś. Ślepotą określamy również, i to w sensie przenośnym jak i dosłownym, wady wzroku, najczęściej krótkowzroczność, myląc ją zresztą niekiedy z jej przeciwieństwem.

Krótkowzroczność, jest to osłabienie wzroku, zacieśniające pole widzenia do najbliższego sąsiedztwa patrzącego. Kalectwo to, jakkolwiek przykre, nie wszystkim dotkniętym nim ludziom daje się równie silnie we znaki. Nie odczuwa go zegarmistrz, podczas gdy uniemożliwia ono wykonywanie zawodu szoferowi.

Niekiedy, choć nie zawsze, nie mogąc przybliżyć wzrokiem przedmiotu obserwacji, można się doń zbliżyć samemu. Cóż jednak ma począć krótkowidz, zmuszony do obserwacji rzeczy wielkich ? Powiedzmy gmachu, lub słonia ?

Do ogarnięcia całości, potrzebna mu jest perspektywa, której nie może osiągnąć, z niewielkiej odległości potrafi dostrzec szczegóły, których nie umie umiejscowić. Weźmy przykłady inne : Polskę, procesy które w niej zachodzą, weźmy za przykład Socjalizm.

Pisze Ważyk o ,,tajemniczej epoce'' :

,,z trudem dotarłeś do jej szyderczej reguły
teraz przejmują cię tylko ludzie i szczegóły''
(,,Wagon'' *Nowa Kultura,* nr. 46 (399) )

Pisze Woroszylski :

— ,,Klasa robotnicza musi wymierzać sprawiedliwość swoim prześladowcom. Podam waszą krzywdę do gazety, opinia publiczna się dowie''.

— ,,Niech pan idzie. Nic panu nie potwierdzę. Nikogo nie obchodzi jak ugniatałem kapustę''. (,,kapusta'').

Propozycja druga : ktoś odzyskał wzrok. Więc znowu : widzę lepiej, widzę dobrze, widzę świetnie. Poprawa wzroku następować może powoli, odkrywając przed rekonwalescentem wciąż nowe widoki, umożliwiając mu nowe spostrzeżenia. Już z masy którą widział do niedawna, wyrwać potrafi szczegół, sylwetki nabierają rumieńców, zmarszczek, poruszają ustami. W ,,ogólnych zarysach'' budzą się ,,indywidualne barwy'', wciąż nowe, o których istnieniu nie wiedział. Obrazy, tak przedtem statyczne, nabierają życia, nie mieszczą się w zakreślonych przez światopogląd ramach. Zdarzyć się może, że ,,ponurak'' się

roześmieje, marksista się przeżegna, przodownik pójdzie na dziwki. Obserwacje te mogą być źródłem nieustannych radości (lub rozczarowań), wygląd świata może napawać ufnością (lub trwogą), jakkolwiek jednak jest, w powolnej rekonwalescencji doznania systematyzują się bez „wstrząsów wewnętrznych", zwolna wyłania się obraz, dwa plus dwa jest cztery, wreszcie przychodzi określenie (okrutna, błogosławiona) — źródło spokoju.

„Jesteś jak rekonwalescent i ubrany w pokorę
zamiast milczeć rozmawiasz z jakim takim humorem"
(„Wagon")

„Są rzeczy na niebie i na ziemi" — mówi Szekspir, można odzyskać wzrok nagle. Wtedy objawiona rzeczywistość rzuca się na patrzącego, zalewa go, wtłacza się w jego nagle powstałą pustkę, wypełnia. Tu już nie ma miejsca na radość (lub rozczarowanie); jest gorączkowy pośpiech, chęć wypowiedzenia *całej* prawdy o objawionym z nagłą świecie; jest niecierpliwość, gwałtowność oskarżenia, chęć nadrobienia straconego czasu, gorączkowe szukanie we własnej, zamierzchłej przeszłość powodów nieszczęścia, które się nagle odkryło.

Pisze Ważyk:

„natrafiasz na dziwne zwroty nie wiadomo skąd wzięte
chcesz inne dawne słowa usłyszeć od podróżnych
kłócisz się z czasem i żądasz od niego jałmużny"
(„Wagon")

Pisze Woroszylski:

„Po raz pierwszy wymyśliłeś samego siebie wraz z milionem takich jak ty. W dodatku — powieliliście fikcję i usiłowaliście narzucić ją innym. Znienawidzono was za to. („rozmowa")

„Gdzie jest prawda?" — jak zwykli byli mawiać rzymscy cesarze? Sądzę, iż znaleźć ją można w męskiej, prostej i stanowczej postawie, która dyktuje Woroszylskiemu następujące słowa: „Czy nie sądzisz, że wtedy dopiero stajemy się prawdziwymi ludźmi, kiedy wymyślamy samych siebie, to znaczy wybieramy? Na czym jeszcze może polegać nasza wolność?"

..„ — Żal mi cię, nie ustrzeżesz się klęski". („rozmowa")



„inni się rozszczepiają na doświadczenie i wiarę
wyszli z obłędu i dalej są opętani
uwodzi ich rajski obłok który jest maską tyranii".
(„Wagon")

Woroszylski wybrał. Tym razem świadomie, bez histerii, na zawsze. Jest pisarzem lewicowym, odczuwa niesprawiedliwość tam, gdzie ją znajduje. Z jego zaangażowania się, ze sprzeciwu i afirmacji równocześnie, rodzi się ów gorzki grymas przewijający się przez wszystkie utwory ,,okrutnej gwiazdy''. Jest świadom własnych limitacji i własnego zaangażowania. Kryzys, którego ,,okrutna gwiazda'' jest owocem, nie jest kryzysem wiary, lecz konfrontacją przeprowadzoną z bezwzględną szczerością. Postawa taka jest na pewno trudniejsza niż odżegnanie się od tego, co uważało się i uważa za słuszne. ,,Żal mi cię, nie ustrzeżesz się klęski''.

Okrutna gwiazda, gdyż bawi się nami okrutnie. Trzeba widzieć, aby móc oślepnąć, trzeba być ślepym, by przejrzeć. W dół, w górę. Złe dziś, lepsze jutro. Nie będzie jutra, złe dziś.

,,rozdwojony obłok jest obrazem wieku
obłoczna technika doszła do wielkiej perfekcji w człowieku
(,,Wagon'')

To rozdwojenie, jest karą i nagrodą za wybór. Będzie je przenosił Woroszylski na całość obserwowanych zjawisk. Gdziekolwiek spojrzy, cokolwiek spróbuje nam przybliżyć, rozszczepi mu się w ręku; ktokolwiek szuka w ,,okrutnej gwieździe'' jedności, uspokojenia, dozna zawodu. Niekiedy zmusza Woroszylski swoich bohaterów do dokonywania wyboru między dwoma rozszczepionymi częściami; niekiedy rozszczepia siebie, na przeszłość wiecową (twórczą) i marynarkową teraźniejszość (jałową); na klęskę przeszłości (jałową) i klęskę przyszłości (twórczą).

Źródła tej swoistej schizofrenii przeczuł Leśmian, gdy pisał :

,,Nie umarła, lecz umarło jej odbicie w jezior wodzie''. Pisał o dziewczynie, bo i cóż mógł wiedzieć w dzieciństwie stulecia, o ,,sąsiadach ciemności i wiatru'' ?

*Jerzy S. SITO*

# Listy do Redakcji

Londyn, 10. 8. 1958.

Drogi Redaktorze,

Zanim będę miał przyjemność podzielić się z Czytelnikami „Kultury” wrażeniami z niedawnej podróży do Polski, proszę Pana o wydrukowanie załączonego odpisu mojego listu do redakcji tygodnika „Życie Literackie” w Krakowie, dotykającego sprawy mniej przyjemnej. List ten wysłałem po zapoznaniu się z nieścisłą i przeinaczającą moje wypowiedzi na wieczorze literackim w Krakowie notatką, wydrukowaną w „Życiu Literackim” z dnia 1. czerwca 1958. Pragnę przy tym stwierdzić, że redakcja „Życia Literackiego” dała mi pełną satysfakcję za swój błąd, zarówno w korespondencji prywatnej i osobistej rozmowie, jak i drukując mój list w numerze z dnia 29 czerwca (z pominięciem jedynie ostatnich dwóch paragrafów, drugiego i trzeciego zdania w paragrafie pierwszym i nawiasu o Winczakiewiczu).

List ten decyduję się ogłosić także w piśmie emigracyjnym, uważając, że opinia publiczna nie powinna być wprowadzana w błąd przez koła, które roztrąbiły fakt ukazania się notatki w „Życiu Literackim”, a — w sposób dla siebie dogodny — „nie zauważyły” mojego listu tamże. Mam na myśli zwłaszcza londyński „Dziennik Polski”, który po uprzednim zamieszczeniu kilku nieprawdziwych — a mających mi uwłaczać— notatek uważał za wskazane zaatakować mnie felietonem Z. Nowakowskiego w numerze z dnia 24 lipca, w oparciu o notatkę z dnia 1 czerwca, a ignorując całkowicie mój list, wydrukowany — jak wspomniałem — 29 czerwca. Zważywszy, że „Życie Literackie” dociera do Londynu w ciągu 4 dni od daty, z jaką się ukazuje, prawda o moim krakowskim wieczorze musiała być „Dziennikowi” znana na 3 tygodnie przed ukazaniem się felietonu Nowakowskiego, którego argumentacja i inwektywy pod moim adresem opierają się wyłącznie na zmyślonym cytacie i tendencyjnym streszczeniu. Takie postępowanie „Dziennika” nie wymaga komentarzy, ale i nie dziwi, bo jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Co do p. Nowakowskiego — rad bym wierzyć, że zrobił to nieświadomie, że go „napuszczono”. Ale nieodpowiedzialność, z jaką — bez zbadania faktów — „komentuje” moje postępowanie w kontekście węgierskich egzekucji, stanowi krzywdę, na którą nie ma wybaczenia.

*Bolesław* TABORSKI

Olsztyn, 9. 6. 1958.

Do Redaktora „Życia Literackiego”.

Wpadł mi dziś w ręce (z opóźnieniem spowodowanym rozjazdami po kraju) numer „Życia Literackiego” z dnia 1. 6. 1958, a w nim niepodpisana notatka o moim wieczorze literackim w Krakowie, który miał miejsce 22 maja. Byłem zdumiony tym, co tam wyczytałem i oburzony niesumiennością sprawozdawcy. Niesumienność ta wyraziła się zupełnym sfałszowaniem moich twierdzeń.

Pomijam drobne nieścisłości (np. nie czytałem na tym wieczorze utworów Winczakiewicza i nie wiem skąd autor notatki sobie to wymyślił). Pomijam nawet ogólny ton notatki, z której niesłusznie wnioskować by można, że wieczór miał charakter nie literacki a polityczny. Chodzi mi o „cytat”

z mojej rzekomo wypowiedzi, który brzmiał: ,,Czujemy, myślimy i piszemy po polsku. Uważamy, że ojczyzną nasza, rząd nasz, są tu w kraju. Chcemy być w całym tego słowa znaczeniu polskimi pisarzami".

Stwierdzam, że zacytowanych rzekomo moich słów nigdy i nigdzie nie wypowiedziałem. Cytat ten został całkowicie zmyślony przez autora notatki. Protestuję kategorycznie przeciw tego rodzaju chwytom, które w roku 1958 są już chyba mocno nie na miejscu i powinny były się skończyć z ,,minionym okresem". Wkładanie mi w usta truizmów w rodzaju ,,czujemy, myślimy i piszemy po polsku" jest nonsensownym uproszczeniem moich tez. Nie powiedziałem też słów ,,chcemy być w całym tego słowa znaczeniu polskimi pisarzami", tylko: ,,uważamy się za pisarzy polskich a nie polonijnych, to znaczy piszemy dla Polaków w ogóle a nie tylko dla emigrantów". W szczególności zaś na wieczorze tym — ani w prelekcji ani w części dyskusyjnej — nie mówiłem w ogóle nic o władzach PRL ani ich nie wymieniałem w jakimkolwiek kontekście. Przypisanie mi słów ,,uważam, że ojczyzna nasza, rząd nasz są tu, w kraju" jest już nawet nie uproszczeniem jakiejś mojej myśli, ale całkowicie nieprawdziwą inwencją sprawozdawcy ,,Życia Literackiego". Dodam, że jest to inwencja chybiona, bo określenia ,,rząd nasz" nie mógłbym użyć ani w imieniu własnym czy kolegów, którzy są naturalizowanymi obywatelami obcymi, ani w imieniu kolegów posiadających statut uchodźczy.

Odcinając się stanowczo od nieprawdziwych sformułowań zawartych w notatce ,,Życia Literackiego" stwierdzić muszę jedną rzecz wyraźnie (a do stwierdzenia tego mam chyba prawo jako ktoś, kto w jakimś stopniu przyczynił się do obalania na emigracji politycznych mitów): że o dalszych postępach w dialogu kraj-emigracja może być mowa jedynie, gdy w kraju zrozumie się wreszcie — między innymi na szczeblu prasy literackiej — że pozytywny stosunek do kraju nie oznacza i nie musi dla emigranta czy Polaka mieszkającego za granicą, oznaczać politycznych deklaracji w stosunku do takich czy innych władz państwa ludowego, w żadnym zaś razie deklaracji wiernopoddańczości.

Proszę o ogłoszenie tego listu w ,,Życiu Literackim". Do tego czasu zmuszony jestem wstrzymać współpracę z pismem Pana. Odpis listu przesyłam do wiadomości Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Zastrzegam sobie również prawo ogłoszenia go w pismach emigracyjnych, z którymi współpracuję.

*Bolesław* TABORSKI



Londyn, dn. 16 czerwca 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. J. Mieroszewski w artykule ,,Sens Lewicy" (Nr 6/128) pisze m.in.: ,,Jestem przekonany, że ustrój socjalistyczny najpełniej ucieleśnia naukowy pogląd na świat i wierzę, że jest to ustrój przyszłości. Jestem również przekonany, że ewolucja ku socjalizmowi jest historycznym ruchem nieodwracalnym". Z przekonaniami i wierzeniami nie dyskutuje się. Chodzi mi o zdanie ,,ustrój socjalistyczny najpełniej ucieleśnia naukowy pogląd na świat". A nawet nie o całe to zdanie, ale o określenie ,,naukowy pogląd na świat". Interesują mnie trochę owe ,,niebezpieczne" nauki — historia, socjologia, filozofia a także jeszcze kilka innych, które również nazwałbym ,,niebezpiecznymi": ekonomia, filozofia prawa, psychologia indywidualna i społeczna, antropologia, etyka, filozofia polityczna i nawet estetyka. Przy tej okazji spotkałem się z różnymi poglądami na świat, sformułowanymi przez poszcze-

gólnych uczonych i rozpracowanymi przez różne szkoły. Nie potrzebuję chyba dodawać, że te bardzo liczne poglądy nie pokrywają się ze sobą, ale miałem wrażenie, iż wszystkie były naukowe. Ze słów p. Mieroszewskiego wynika jednak, że może być tylko jeden naukowy pogląd na świat. Ponieważ nie czuję się na siłach rozstrzygać, który z poglądów na które się natknąłem jest naukowy, a które nie naukowe byłbym bardzo wdzięczny — a myślę także, że i wszyscy inni, którzy odnoszą się z respektem do nauki i mimo to tkwią w głębokiej niewiedzy — gdyby p. Mieroszewski podał choćby w krótkich słowach treść tego naukowego poglądu na świat. Czyżby to był tzw. socjalizm naukowy (w odróżnieniu od utopijnego) oparty na marksizmie? Marksizm — metoda badawcza i systemat filozoficzny — miał stać się w intencjach twórcy filozofią proletariatu. W rezultacie po wielu latach i na dużej części naszego globu stał się filozofią proletariatu umysłowego — ludzi nie umiejących myśleć samodzielnie i bojących się jak ognia samodzielnej myśli. Przyjęli oni słowo Marksa (wyinterpretowane przez Lenina) jako objawienie prawdy, a więc ich dogmatyzm jest całkowicie uzasadniony.

W innym miejscu swego artykułu p. Mieroszewski pisze: ,,Wolność bycia racjonalistą stanowi fundament cywilizacji zachodniej...". Nie. Fundamentem cywilizacji zachodniej jest wolność myśli i słowa, prawo do nonkonformizmu, prawo do herezji. ,,Wolność do racjonalizmu" — nie byłaby wolnością, gdyż musiałby wtedy istnieć jakiś organ orzekający ,co jest racjonalizmem a co nie jest nim. W ramach wolności zachodniej jest miejsce i na racjonalizm i na irracjonalizm, na idealizm i realizm, na spirytualizm i materializm. Dlatego jest ona wolnością.



Do p. H. Schoenfelda mam prośbę o wyjaśnienie zasady parzystości. Nie mam dostępu do polskich książek fizycznych, więc nie mogę sprawdzić a angielskiego terminu nie znam. W swym artykule p. Schoenfeld pisze: ,,Ni mniej ni więcej jak możliwość samorzutnego powstania materii w przestrzeni nie zawierającej energii". Domyślam się, że ta przestrzeń nie zawiera również materii. Jeśli tak to sformułowanie autora byłoby nawróceniem do newtonowskiej koncepcji absolutnej przestrzeni. Przyzwyczaiłem się już od lat do myślenia, że obecnie uważa się czaso-przestrzeń za stosunek między wydarzeniami. I materia i energia są to zgrupowania wydarzeń. Z chwilą więc, gdy gdzieś nie ma materii ani energii — nie ma wydarzeń, a więc nie można mówić o czaso-przestrzeni. Jest nicość. ,,Jest" — użyłem z wielkimi oporami wewnętrznymi, bo wątpię, czy mówiąc o nicości mamy prawo mówić — jest. Jest jako koncepcja naszego umysłu a nie jako rzeczywistość.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

*Henryk KLEINERT*



Jackson Heights, L.I.,N.Y.

Szanowny Panie Redaktorze !

Pod pióro p. Józefa A. Zarańskiego, gdy pisał recenzję o książce Herberta Feisa, *Churchill, Roosevelt, Stalin* Kultura, Nr 7-8/58) wkradła się pewna niedokładność, która, zresztą, nie podważa wniosku autora który to wniosek doprowadził do, niewłaściwej asocjocji.

Jeżeli pozwalam sobie zwrócić na to uwagę to jedynie dlatego, że p. Zarański niewłaściwie powołał się na Prawo Rzymskie.

Na str. 212 przytoczone zostało powiedzenie: „Qui tacet, consentire videtur", o którym autor twierdzi, że jest „dobrą zasadą prawa rzymskiego".

Dobrą zasadą Prawa Rzymskiego, jak i każdego innego, jest absolutne przeciwieństwo przytoczonego twierdzenia: milczenie nie może być przyjęte za wyraz zgody ani w aktach prawnych, ani w postępowaniu sądowym.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w postępowaniu przed sądem jak i poza sądem każde zachowanie człowieka, a więc i milczenie, może być tak czy inaczej rozumiane w zależności od towarzyszących okoliczności i odpowiednio kwalifikowane. Ale to zawsze będzie wniosek wyciągnięty z danego faktu, a nie NORMA prawa, która ma moc wszechobowiązującą.

O ile zdołałem ustalić, to przytoczony przez p. Zarańskiego aforyzm pochodzi z jednej z tragedii Eurypidesa. W poezji starożytnej znajdujemy i wręcz przeciwny aforyzm: „Qui tacent-clamant". W tym powiedzeniu — nie pozbawionym głębokiego sensu i w obecnych czasach — milczenie jest protestem i wątpię czy znajdzie się ktoś, kto by je rozumiał jako zgodę. Aczkolwiek może być i inaczej: pamiętam rosyjskie powiedzenie: „mołczat bo błagodenstwujut". To chyba dla uspokojenia despotów.

Z wyrazami poważania

*Ludwik HONIGWILL*

◆

Bejrut, dnia 29.VII. 1958

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałem „elaborat" p. płk. Michniewicza w ostatnim numerze „Kultury" i pragnę sprostować pewne jego twierdzenia.

Pisząc moje uwagi w sprawie śp. Hulanickiego w czerwcu 1957, a więc przeszło rok temu, oparłem się na tekście ówczesnego oświadczenia p. Michniewicza. Ponieważ wyraził się on lekceważąco o zamordowanym moim koledze, zarzucając mu jakieś niewłaściwości rozrachunkowe, zakwalifikowałem zarzuty te jako małostkowe. O żadnych szpiegostwach, zdradach itp. historiach w tym pierwszym oświadczeniu p. M. nie było mowy.

Do prowadzenia dochodzeń w sprawie śp. Hulanickiego nie otrzymałem w swoim czasie ani obecnie żadnego mandatu od moich władz, a obecnie nawet żadnej możliwości praktycznej w tym kierunku nie posiadam, mimo, że „siedzę o miedzę od Izraela", jak pisze p. M. Trudno przypuścić, żeby p. M. nie wiedział, że dostęp do Izraela dla osób zamieszkujących w krajach arabskich jest zamknięty, a urzędnik czy b. urzędnik R.P. mógł otrzymać prawo wertowania archiwów.

W konkluzji mogę jedynie powtórzyć, że nie wydaje mi się by było właściwe podejmować atak przeciw umarłemu, zwłaszcza, że interesy narodowe czy inne równorzędne, jak wynika z wywodów p. M., nie wymagają tego.

Z wywodami p. M. w sprawie żydowskich i cypryjskich organizacji terrorystycznych (słusznie pisze on o nich razem, gdyż za obydwiema stała i stoi Moskwa) można by polemizować, stawiając jednak na jednym poziomie Okrzeję, Piłsudskiego i Akowców z jednej strony a komunistycznych terrorystów z drugiej, zmusza on do zrezygnowania z takiej dyskusji.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku szczerze oddany.

*A. ZAWADOWSKI*

*Zapowiedź wydawnicza*

**TOM XXXIII BIBLIOTEKI "KULTURY"**

**SIMONE WEIL**

# WYBÓR PISM

W TŁUMACZENIU I ZE WSTĘPEM

**CZESŁAWA MIŁOSZA**

*Sława Simone Weil jest zbyt dobrze ugruntowana, żeby trzeba było wyjaśniać czytelnikom wyjątkowe znaczenie tej pisarki w dziejach myśli XX-go wieku. Niestety dzieło jej, znane najczęściej we fragmentach, jest trudno zrozumiałe — brak jest obrazu całości.*

*Przekład polski grupuje utwory Simone Weil w ten sposób, żeby jej poglądy RELIGIJNE I SPOŁECZNE ukazały się możliwie najpełniej.*

## *Zapowiedzi wydawnicze*

# BIBLIOTEKA "KULTURY"

JAMES BURNHAM

**REWOLUCJA MANADŻERSKA**

*w tłumaczeniu Jerzego Horzelskiego i ze wstępem autora do czytelnika polskiego*



ALBERT CAMUS

**CZŁOWIEK ZBUNTOWANY**



JAN KOWALIK

**KULTURA**

**Bibliograficzna analiza 10 lat, 1947-1957**



TADEUSZ KATELBACH

**ROK ZŁYCH WRÓŻB**

**(1943)**



PAWEŁ ZAREMBA

**HISTORIA POLSKI**

(*DO ROKU* 1957)

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

*Cena ogłoszeń : cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

*Wydawca :* Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

*Directeur-gérant :* Mme Christiane Karasiewicz.
*Dépôt légal :* 3e *Trimestre* 1958.

# KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|---|---|---|---|
| | | 1/2-roczna | Roczna |
| **AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski,** 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski,** « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires | 22,50 peso | 135 peso | 270 peso |
| **AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,** Daking House, Rawson Place, Sydney | 5 sh. (a) | £.A.1.7.6. | £.A.2.12.6 |
| **BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky,** 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20 | 30 frb. | 145 frb. | 260 frb. |
| **BRAZYLIA :** Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo | | 4 dol. am. | 6 dol. am. |
| **BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski,** POBOX 5979, Nairobi, Kenya | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **FRANCJA : « Libella »,** 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4 | 220 fr. | 1.100 fr. | 2.200 fr. |
| **HOLANDIA : T. Szpilczynski,** Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538 | 2 fl. hol. | 12 fl. hol. | 24 fl. hol. |
| **KANADA : M. Jaxa-Debicka,** 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491 | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **MEKSYK : Victor Stanislawski,** Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci »,** Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1 | 2,50 DM | 13,50 DM | 25 DM |
| **NORWEGIA : Br. Lubinski,** Moss. Kongesgt. 2 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **SZWAJCARIA : Maria Wasung,** 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431 | 2,50 fr. s. | 13,50 fr. s. | 25 fr. s. |
| **SZWECJA : Red. Norbert Zaba,** Kallskärsgatan 3/IV Stockholm | | 18 kor. | 33 kor. |
| **U.S.A. : W. Bienkowski,** « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. | 75 cent. | 4 dol. | 6 dol. |
| **W. BRYTANIA : « Gryf »** Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11 | 3 sh. 9 d. | 21 sh. | 42 sh. |
| **WLOCHY : Aleksander J. Mikucki,** Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27 | 300 lires | 1.750 lires | 3.000 lires |

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
**Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**
**C.C.P. PARIS 7585-94**

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

**Cena 220 frs.**